

Kłodzińska Anna

Trzy ciosy sztyletem

Seria: Labirynt

Wydanie I

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1986



PROLOG

- Podoba się panu?

Mężczyzna jeszcze przez chwilę wpatrywał się w to, co leżało na ladzie - zdawał sobie sprawę, że mimo wszystko w bezpiecznej odległości od jego ręki - a potem z wolna uniół głowę i spojrzał na mówiącego. Oczy miał nieokreślonego koloru, ni to piwne, ni zielonkawe.

- Tak - odparł grzecznie. - Bardzo piękny.

- Oczywiście, nie mam tych najcenniejszych - ciągnął dalej jubiler, z upodobaniem patrząc na klejnot. - Tych absolutnie przezroczystych albo z delikatnym niebieskawym odcieniem. Ceny takich brylantów sięgają zawrotnych sum. Najwspanialsze okazy znajdują się w muzeach świata. W Tower, w Luwrze, w Diamentowym Skarbcu Związku Radzieckiego.

- Ma pan na myśli Koh-i-Noor?

Jubiler roześmiał się. To już była reguła: jeżeli klient chciał się pochwalić znajomością klejnotów, wymieniał właśnie ten. No, może jeszcze Orłów i Wielki Mogoł. A przecież jest ich kilkadziesiąt, cudów natury i ludzkich umiejętności.

- Cullinan, Gwiazda Sierra Leone, Gwiazdą Południa, Regent - wyliczał. Machnął ręką, co tam przebiegać pamięcią po muzeach. - Ten, na który pan patrzy, to zaledwie brylancik. Pamiętka rodzinna. Ktoś mi zostawił do sprzedaży. Przycisnęło go.

Przyjrzał się człowiekowi, który stał po drugiej stronie lady. Nie robił wrażenia klienta-amatora drogich kamieni, chociaż pozory czasem mylą.

- Sześćset siedemdziesiąt tysięcy - powiedział, ot, tylko z zawodowej uprzejmości, był kupcem starej, daty. - Niedrogo, jak na ładny kamień dobrego szlif. Dzisiaj robi się to maszynowo, poleruje na tarczach z pyłem diamentowym. - Wzruszył ramionami. - Technika zastąpiła człowieczy artyzm. Tak. Wolno spytać, w jakim celu wstąpił pan do mego sklepu?

Mężczyzna o piwno zielonych oczach zmieszał się lekko, potarł twarz nerwowym ruchem.

- Właśnie... ten napis na wystawie - wskazał ręką. - O brylancie, że na sprzedaż. Chciałem zobaczyć, bo... Tak się złożyło, że jeszcze nigdy, rozumie pan. - Umilkł, zawstydzony.

Jubiler pokiwał głową. Owszem, rozumiał, że można, mając na oko dobrze po czterdzieście, nie widywać dzisiaj brylantów. Prawdziwych, rzecz jasna. W modzie są

sztuczne, na wystawach pełno „efekownych szkiełek we wszystkich kolorach. Tanio. Nigdy nie zastąpią... ale to już mniejsza.

- A czy wie pan - podjął znowu rozmowę - skąd pochodzi nazwa diament?

- Nie.

- Od greckiego adamas, co znaczy: niepokonany.

Chciał mówić dalej, ale zdziwiła go nagła zmiana w twarzy klienta. Mężczyzna wyraźnie ożywił się, oczy mu rozbłyły. Spojrzał na klejnot, potem na jubilera i znów na klejnot.

- Jak pan powiedział? - zapytał, aby się upewnić. - Niepokonany?

- Ładnie, prawda? Grecy nazwali tak diamenty pewnie ze względu na ich niezwykłą twardość, odporność, a może i dlatego, że po oszlifowaniu są tak piękne, iż wytrzymują konkurencję wszystkich innych kamieni. Co prawda nie wytrzymują próby ognia.

- Co to znaczy?

- Po prostu spalają się! Przecież to węgiel.

- Adámas - powtórzył obcy człowiek. W jego głosie było zadowolenie, nawet radość. - Adatmas! - Patrzył jeszcze przez chwilę na klejnot, potem raptownie uchylił kapelusza, mruknął: - Do widzenia, dziękuję panu bardzo! - I wyszedł ze sklepu.

- Do widzenia - odparł jubiler. Wzruszył ramionami. Dziwny jakiś - myślał, spoglądając na zaśnięzoną ulicę. - Za co on mi właściwie dziękował? I czym się tak niespodziewanie ucieszył?

Ale na drugi dzień stary jubiler nie pamiętał już o tym zdarzeniu.

ROZDZIAŁ 1

Profesor Zawilski zsunął okulary na koniec nosa i popatrzał na zebranych. W zasadzie było mu obojętne, czy mówi do dwudziestu, dwustu czy nawet dwóch tysięcy osób, mimo to widok pełnej dziś sali, wpatrzone w niego oczy i - tak, o tym nie wątpił - skupione twarze, sprawił mu zadowolenie. Przywrócił okularom właściwą pozycję i kończył wykład:

- Dodam jeszcze, że rybitwa zwana zwyczajną w okresie godów wiosennych przywdziewa piękny czarny kask. Zaloty miłosne odbywają się w powietrzu, przy akompaniamencie głośnych okrzyków, czego bym nie radził próbować żadnemu Homo sapiens - uśmiechnął się do sali, która odpowiedziała przelotnym szmerem i śmiechkiem, gdyż nie wszyscy zrozumieli łacinę. Odnotował więc w pamięci, iż nie należy popisywać się obcymi zwrotami w trakcie popularnych wykładów.

Szedł potem ulicą, otulony w swoje kilkunastoletnie, ale wciąż jeszcze ciepłe i dobrze wyglądające futro, spoglądał to na wystawy sklepowe, i to na ludzi, którzy mijali go spiesznie, potracali, i tłoczyli się na wąskich chodnikach Nowego Świata. Czuł się ciągle młodo mimo przekroczonej siedemdziesiątki, był zdrow, umysł pracował pełną parą, ubywało tylko z każdym miesiącem siwych włosów, robiąc miejsce różowej łysinie.

Skręcił w Aleje, w barze przy Marszałkowskiej wypił kawę (jedna mała dziennie) i wszedł w Hożą. W starym, wygodnym domu mieszkali z Elżbietą od trzydziestu lat z okładem. Tu spędziło dzieciństwo dwóch ich synów - dzisiaj żonatych, po studiach, każdy w swoim domu, w nowych, odległych od centrum osiedlach. Tu Zawilski, kiedy jeszcze był adiunktem, pisał pracę, doktorską. Potem otrzymał tytuł profesora, dwa < krzyże zasługi, a w zeszłym roku „Komandorię”. Tutaj Elżbieta malowała realistyczne obrazy, stąd wyjeżdżali dla uzupełnienia wiedzy za granicę. Z tego domu Antoniego zabrało pogotowie, kiedy złapał zapalenie płuc, a Elżbietę dwa razy na oddział położniczy.

Takich rodzin jak Zawilscy było w kamienicy kilka solidnych, pracowitych, wykształconych i życzliwych światu. Znali się, wymieniali poglądy na „ różne sprawy, czasem odwiedzali. Kiedy synowie opuścili mieszkanie przy Hożej, rodzicom pozostały trzy spore, wysokie i ładnie umeblowane pokoje, sflacone spółdzielni. Z początku nie mogli się przyzwyczaić, że są teraz tylko we dwoje, chociaż dzieci (żonate, wąsate) odwiedzały ich każdej niedzieli i w święta. Potem ułożyli sobie życie, wypełnione pracą, spacerami, czytaniem i nie kończącymi się nigdy dyskusjami o wszystkim, co ich interesowało. Chyba jestem szczęśliwy - pomyślał kiedyś profesor, stwierdzając to z pewnym zdumieniem.

Owszem, nie ominęły ich kłopoty, smutki, nawet małe dramaty rodzinne. Ale to jedynie umocniło więź, łączącą od blisko czterdziestu lat Elżbietę z Antonim.

Wszedł na drugie piętro. Wycierając buty po raz któryś przypomniał sobie, że miał kupić nową słomiankę. Otworzył drzwi.

- Wiesz - powiedział, kiedy Elżbieta wyjrzała z kuchni - Witold opowiedział mi zabawną historię o swoim szefie. Wyobraź sobie, że... zaraz włożę pantofle, nie przerywaj mi. Więc jakiś ważny artykuł w drukarni złożyli garmondem, zamiast, jak było umówione, kursywą. Witek poszedł do naczelnego, bo na inny skład potrzebny był jego podpis. A ten bałwan mówi tak: „Po co składać na nowo taki duży artykuł? Przecież można pochylić czcionki!”

Elżbieta wybuchnęła śmiechem.

- I co na to Witold?

- A cóż mógł powiedzieć? To jego szef. Pamiętasz, jak pani Biernacka spytała mnie kiedyś zupełnie serio, czy Karol Maria Weber to małżeństwo?

- Pamiętam, że tyś wtedy z całą powagą odpowiedział: nie, to dziadek z wnuczką. A ona w dalszym ciągu nic nie rozumiała. Myj ręce, zaraz podaję obiad. - Co dziś mamy?

- Pomidorową zupę z ryżem i gulasz. Dlaczego palisz przed jedzeniem? W ogóle za dużo palisz. Nie chcę cię straszyć, ale podobno co piąty Polak umiera na raka.

- Ja jestem w pierwszej czwórce - odparł stanowczo. Nastawił radio, posłuchał komunikatów. - Wiosną pojedziemy do Jugosławii. Wczesną wiosną, kiedy tam jeszcze nie ma tłumy wycieczkowiczów. Będę miał zaproszenie dla nas dwojga.

- Od kogo?

- Od profesora Milanicia z Belgradu. Też ornitolog, poznałem go w ubiegłym roku na zjeździe w Budapeszcie. Teraz napisał, że zaprasza.

Elżbieta naląła zupę, zamyśliła się.

- Nie byłam jeszcze w Jugosławii - powiedziała. - A bardzo bym chciała tam pojechać.

- Wiem przecież, że nie byłaś, bo i ja nie byłam.

Popatrzyli na siebie, Antoni uśmiechnął się. Wszędzie jeździli razem, nie przyjałyby zaproszenia wyłącznie dla „pana profesora”.

Zjedli obiad, Elżbieta krzątała się w kuchni, a profesor stanął przed sztalugą z nie dokończonym obrazem i wpatrywał się w niego, zadumany. Na płótnie dziecko kilkuletnie bawiło się z psem, płowym wilczurem. Twarz miało jednak zwróconą nie do psa, lecz wprost - do każdego^ kto oglądał obraz. I właśnie oczy dziecka pochłoneły uwagę Antoniego. Zmarszczył brwi, próbował przez dzieło lepiej odczytać jego twórcę. Wtedy zrozumiał.

- Przecież to jest Michał! - powiedział, kiedy weszła do pokoju. - Jego oczy, jego spojrzenie^

Objął żonę, stali tak razem i patrzyli.

- Michał - potwierdziła. - Jak miał pięć, może sześć lat. Ale czy zdajesz sobie sprawę, że to jesteś również ty?

- Jak to ja? Jeżeli mnie pamięć nie myli, poznaliśmy się w okresie mojej męskiej dojrzałości - zażartował. - Nie w dzieciństwie.

- Mam w albumie kilka twoich zdjęć, od niemowlaka do dziesięcioletniego skrzata. Michał ma twoje oczy. I patrzy tak jak ty. Trochę z ukosa, z przymrużonymi powiekami. Jacek już jest zupełnie inny.

- Jacek jest podobny do ciebie, nie mogłabyś się wyprzeć! Nie wiesz, czy przyjadą w niedzielę?

- Jackowie tak, a Michał chyba zostanie z Jadzią, bo ona trochę źle się czuje. Tylko proszę cię, nie dyskutuj znowu z Jackiem o polityce/ Zapalasz się, drażni cię jego brak tolerancji, a potem są tabletki w robocie.

Usiadł w fotelu, skrył uśmiech. Tak naprawdę, to uwielbiał te słowne potyczki z młodszym synem, choć za nic nie przyznałby się do tego.

- Wiesz - sięgnął po papierosa. - Przeczytałem kiedyś u Pruszyńskiego, bodaj to było w jego książce „Droga wiodła przez Narwik”, zdanie, które często mi się przypomina, kiedy użeram się z własnym potomkiem. Pruszyński zastanawia się w jakimś momencie: „Czy mamy rację my, którzy chcemy zmieniać, czy oni, którzy chcą zachować?” Myślę sobie wtedy, że ja należę do tych ostatnich, a Jacek do pierwszych. Dobrze to czy źle? Nie wiem.

Nie odpowiedziała. Wzięła do ręki pędzel, umaczała w farbie, poprawiała coś na płótnie. A kiedy zagłębił się w tygodnikach i zapomniał już, o czym mówili, rzuciła jakby od niechcenia:

-- Nie ty należysz do tych, co chcą zachować, ale my. My oboje.

Drgnął, odłożył gazety. Czy mu się zdawało, że w jej głosie był smutek?

- Martwisz się tym? - spytał zdziwiony. - Jeżeli chcemy zachować wspólną przeszłość, taką jaka była, to jest to przecież nasze prawo i nasz ogromny dorobek, nie myślę tu o sprawach materialnych. Nikt go nam nie odbierze. I - dodał ciszej, jakby z lękiem - mam nadzieję, że zakończymy wszystko razem.

Listopadowy wieczór z nagłą sypnął śniegiem, wiatr rozdmuchiwał go po jezdni i chodnikach, zrobiła się zima. Zawilski głębiej wcisnął czapkę, podniósł kołnierz futra. Właściwie powinien był wsiąść do autobusu, bo w domu czekali goście ale po paru godzinach wykładów w klubie prasy i w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej czuł potrzebę ruchu na powietrzu, bodaj rozprostowania nóg i znużonych mięśni.

Szedł przez Ogród Saski, stawiając ostrożne kroki, bo ścieżki były śliskie, nieprzetarte. Przy takiej pogodzie o szóstej wieczorem ludzie nie spacerowali w parkach.

Czapka zasłaniała mu uszy, nie usłyszał więc kroków za sobą. Dopiero czyjś głos spowodował, że przystanął, aby zorientować się, kto i czego od niego chce.

- Spiesz się pan, profesorze?

Chyba nie znał tego głosu. Lecz tamten wiedział widocznie, kogo zatrzymuje. Zawilski usiłował w śnieżnej zadymce przyjrzeć się twarzy stojącego przed nim osobnika, ale mokre białe płatki przylepiały mu się do okularów i przesłaniały widok.

- O co chodzi? - spytał z niezadowoleniem. - Rzeczywiście, śpieszę się. Kim pan jest?

- Szczęśliwy człowiek! - mówił nieznajomy, zagradzając drogę. - Nie myślę się, prawda? Jest pan zadowolony z życia. Nawet bardzo.

Wariat - pomyślał Zawilski. - Albo pijak, chociaż nie czuję alkoholu w jego oddechu. Skąd on mnie zna?

- Pytałem, kim pan jest - powtórzył niecierpliwie. - Sądzę, że nie pora ani miejsce na takie rozmowy.

Chciał go wyminąć, ale nie udało się. Obcy zatrzymał Antoniego wyciągniętą ręką i mówił dalej:

- Czy nie pomyślał pan, profesorze, że nikomu nie wolno być naprawdę szczęśliwym?

- Kto panu powiedział, że ja nim jestem? - zachnął się mimo woli.

- Nikt. Ja wiem. Obserwuję pana, całą pańską rodzinę, od dawna. Widujemy się czasami. Nawet kłaniamy.

- Panie, ja naprawdę nie mam czasu ani ochoty na rozmowę! Ja się śpieszę do domu, nic mnie nie obchodzą pańskie dywagacje o szczęściu. Też pan sobie wybrał czas i pogodę... No? Odsuńże się, człowieku, bo mam już tego dosyć!

- Ja również - odparł nieznajomy.

Goście byli wyrozumiali. Wytłumaczyli pani domu, że widocznie profesora zatrzymały jakieś bardzo ważne sprawy, nie miał pod ręką telefonu, takie sytuacje się

zdarzają. Znany jest przecież jako człowiek niezwykle punktualny i gościnny. Trudno, przyjdą innym razem. Zjedli przygotowane kanapki, wypili kawę, koniak, popatrzyli na zegarki i wstali'. W przedpokoju jeszcze raz zapewnili Elżbietę, że nie mają żalu ani pretensji. No, a gdyby coś... W każdym razie, proszą jeszcze dzisiaj o wiadomość, kiedy Antoni nadejdzie. Mógł w tej zawiei przewrócić się, skrócić nogę, może trzeba podwieźć samochodem do pogotowia, służą wszelką pomocą.

Zrobiwszy, co do bliskich znajomych należało, wyszli i Elżbieta została sama. Dochodziła godzina dwudziesta. Sprzątnęła ze stołu, wyniosła naczynia do kuchni, zaczęła zmywać, ale przerwała-i wyszła do przedpokoju, bo zdawało jej się, że ktoś zatrzymał się przed drzwiami. Kroki minęły jednak ich mieszkanie. Usiadła na kuchennym taborecie ze ścierką na kolanach, czując, jak serce bije nierówno, za szybko, potyka się niczym człowiek na wyboistej drodze.

Pomyślała, że trzeba wziąć tabletkę propranolu, ale nie miała siły wstać. Dźwignęła się dopiero po kwadransie; bała się spojrzeć na zegar w dużym pokoju. Po schodach znowu szli ludzie, śmiali się i rozmawiali z ożywieniem. Skrobiąc pazurkami po śliskich stopniach zbiegł z trzeciego piętra pies sąsiadów, zaszczekał koło drzwi, przynaglając swego pana. Potem już było cicho.

- Przecież nie mogę tak czekać! - powiedziała na głos. Odłożyła ścierkę, podeszła do telefonu, nakręciła numer starszego syna. Kiedy odezwał się, poczuła jakby uspokojenie: Michał poradzi, na pewno będzie wiedział, co trzeba zrobić.

- Synku, martwię się o ojca - zaczęła, starając się opanować drżenie głosu. - Miał wrócić o szóstej, teraz już prawie dziewiąta, a jego nie ma. Państwo Mielniccy, nie doczekali się poszli a ojciec wiedział, że mają przyjść dzisiaj z wizytą. Popołudniowe wykłady, w klubie i w tewupe. Pogoda okropna, boję się, że przewrócił się i... Nie, jeszcze nigdzie nie dzwoniłam. Chciałabym, żebyś przyszedł. Boję się - powtórzyła. - Dobrze, czekam na ciebie. Ale jedź ostrożnie - dodała z nawyku, bo miał zwyczaj lekceważyć znaki drogowe.

Odłożyła słuchawkę. Dwudziesta pierwsza i trzy minuty.

Tam musiało coś się stać! - myślała, krążąc niespokojnie po mieszkaniu. - Niemożliwe, żeby zapomniał o gościach. Przecież zawsze można zatelefonować, choćby z automatu po drodze. Gdyby... gdyby znalazł się na pogotowiu, ktoś dałby znać!

Michał przyjechał po dwudziestu minutach. Wysoki, szczupły, jasnowłosy, zazwyczaj uśmiechnięty, teraz twarz miał zatroskaną. Jedno spojrzenie na matkę powiedziało mu, że ojca w dalszym ciągu nie ma. Zrzucił płaszcz i z miejsca zasiadł przy telefonie. Systematycznie obdzwaniał stacje Pogotowia Ratunkowego, dyżurne szpitale, potem - z

wahaniem - połączył się z Pogotowiem Milicji. A kiedy wszędzie otrzymał odpowiedź: nie ma, zaczął dzwonić do znajomych ojca, wpięrw tych najbliższych, potem dalszych.

Kilka minut po dziesiątej odłożył słuchawkę i spojrzął na matkę, która siedziała w fotelu na pozór spokojna, wyprostowana, ale coraz bledsza.

- A Jacek? - spytała. - Telefonowałeś do niego?

- Tak - odparł. - Jeszcze przed moim przyjazdem tutaj. Nic nie wie. - Umilkł, gryząc wargi, zastanawiał się nad czymś, wreszcie zapytał ostrożnie: - Słuchaj, mam, chyba ojciec... Mam na myśli, że chyba nie... No, czy w ostatnim czasie lubił sobie wypić?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Dobrze, zadzwoń do tej... jak tam się nazywa. Do tej Izby.

- Bez sensu - mruknął, ale zrobił to.

I tutaj usłyszał: nie ma.

Całe szczęście! - pomyślał mimo woli. - To zupełnie do niego nie podobne. Tak, ale wobec tego gdzie jest?

Nagle zadzwonił telefon. Elżbieta zerwała się z fotela, Michał szybko podniósł słuchawkę. To był Jacek, pytał o ojca. Na wiadomość, że do tej pory nie wrócił, powiedział tylko:

- Zaraz u was będę.

Siedzieli potem we trójkę, nad słuchując każdego szmeru na schodach, zgrzytu hamulców na jezdni, jakichś głosów, czegokolwiek, co mogło oznaczać jego powrót. Jacek zaparzył kawę, zmusił matkę, aby wypła pełną filiżankę. O północy Michał znowu zaczął wydzwaniać do szpitali, pogotowia, milicji. Bezskutecznie.

- Nie rozumiem! - wykrzyknął, gniewny na swoją bezradność. - Przecież gdzieś musi być! Dlaczego się nie odezwał?

Kiedy Elżbieta, osłabiona i bardzo zmęczona, poszła do sypialni, aby wyciągnąć się trochę na tapczanie, bracia patrzyli na siebie przez chwilę, jakby zastanawiając się, który z nich pierwszy zada to pytanie. Wreszcie Michał odezwał się szeptem:

- Słuchaj, chyba ojciec nie ma jakiejś baby?

Jacek wzruszył ramionami.

- W tym wieku? - burknął. - Jeżeli dobrze się orientuję, jest mamie tak wierny jak żaden mąż w Warszawie, a może i w całej Polsce. Nonsens. Ojciec i seksowe igraszki? Bzdura. Teoretycznie założmy, że ma kogoś, ale przecież nie uprawiałby takich szaleństw właśnie wtedy, kiedy w domu czekają goście. Nie, to odpada.

- Więc co, u diabła, mogło się z nim stać?

Śnieg padał przez całą noc. Nad ranem śnieżycą ustała, ale w dalszym ciągu szare chmury wisiały nad miastem. Około siódmej młody lekarz z miejskiego szpitala wyprowadził, jak codziennie, swego pokracznego basseta do parku. Był to ich poranny spacer, dla psa - przyjemność i pilna potrzeba, dla jego pana „przewietrzenie zdrowotne”. Mieszkali w pobliżu Ogrodu Saskiego, tam więc skierowali swoje kroki, człowiek duże, stanowcze, pies malutkie i podwójne.

Zaraz na początku basset wpadł po uszy w białą zaspę, wyskoczył z niej jak z procy i, zapadając się co chwila, pognął z głośnym szczekaniem przed siebie. Lekarz biegł z pewnym trudem, śniegu na ścieżkach było do pół metra. Skręcił w bok, potknął się o coś dużego, długiego, wyrócił i zaklął. Pies, uważając upadek za świetną zabawę, podskoczył do niego, ale raptem stanął jak wryty i warknął.

- Co jest, Budrys? - spytał lekarz; otrzepywał się ze śniegu, miał go pełno na karku i za uszami.

Basset nie ruszał się. Warczał niespokojnie, w pewnej chwili cicho zaskomlał. Potem ostrożnie zbliżył się do przeszkody, o którą jego pan się przewrócił, zaczął węszyć, odgrzebywać.

- Zostaw, to kawał drewna! - Lekarz chciał już iść, podniósł czapkę, która mu spadła właśnie na to zaśnieżone drewno, nagle przyjrzał się bliżej i włosy zjeżyły mu się na głowie. Do nieboszczyków wprawdzie był przyzwyczajony, ale nie w takiej scenerii.

- Odsuń się, Budrys - powiedział.

Przykucnął, odgarnął śnieg. Przemknęło mu przez myśl, że być może ten człowiek żyje, może leży od niedawna, pijany albo chory. Jednakże bardzo szybko zrozumiał, że się myli. Ciało było martwe, zimne jak kawał lodu. Musiało tu leżeć co najmniej pół nocy.

To był pierwszy wniosek, jaki mu się nasunął. Drugi przeraził go jeszcze więcej: ten ktoś został zamordowany, na piersiach miał ranę tuż koło serca albo w nim, zamarznęta krew zmieszana ze śniegiem zaszeleściła mu w palcach, kiedy rozpiął leżącemu futro, aby zbadać serce.

Wstał więc i przez chwilę zastanawiał się, co robić. Najprościej było odprowadzić psa do domu i pojechać do szpitala, zapomniawszy o wszystkim co się zdarzyło. Ale co proste, nie zawsze słuszne, powiedział sobie. Przecież nie zostawi tak człowieka na pastwę losu.

- Trzeba milicję - mruknął. Rozejrzał się po parku. Było już jasno, w pobliżu pomnika przechodzili ludzie. - Budrys! Zostań tu i pilnuj - rzekł do psa. - Siad! - Pokazał ręką obok ciała. - Waruj, słyszysz? Ja zaraz wrócę.

Basset, acz niechętnie, zajął miejsce w pobliżu zwłok. Był psem posłusznym i choć coś takiego spotkało go po raz pierwszy, nie próbował sprzeciwić się swemu panu.

Lekarz (specjalność chirurgia kostna) popędził, jak szybko zdołał, do najbliższego automatu. Oficer dyżurny z Pałacu Mostowskich obiecał, że ekipa przyjedzie w ciągu pół godziny, może kwadransa. Zalecił pozostanie przy nieboszczyku. Lekarz wrócił do psa, zatroskany swoim spóźnieniem do szpitala, co już teraz było nieuniknione. Pocieszyła go myśl, że pierwszą operację ma dopiero o jedenastej. Pouczono go o „niezacieraniu śladów”, ale przyjął to wzruszeniem ramion. Padało kilkanaście godzin i zasypało wszystko, co mogło oznaczać jakikolwiek ślad. Czekał więc niecierpliwie, przestępując z nogi na nogę, bo buty przemokły i miał już mokre skarpetki.

Wreszcie dostrzegł radiowóz, zatrzymujący się obok pomnika, a po chwili dwóch mężczyzn - jeden w mundurze, drugi w cywilnym kożuszk - podeszło do niego.

- Tutaj - powiedział.

Odsunął się od ciała. Ten w kożuszk przyjrzał się lekarzowi wąskimi czarnymi oczami, potem przykląkł obok zwłok. Porucznik w mundurze szybko wykonał kilka zdjęć, odgrzebał trochę śniegu dokoła nieboszczyka, pomógł koledze unieść go i położyć na najbliższej ławce.

- Powiedz, niech przysłą nysę - rzekł major Szczęsny. Patrzył przez chwilę na martwą twarz i przeniósł wzrok na lekarza. - Pan go znał?

- Nie. Ani znajomy, ani pacjent.

- Jak to było? Pies odnalazł? - Poglądził basseta, który przyjął to życzliwie, wciąż jednak najeżony, niespokojny w obliczu śmierci.

- Właściwie... No, potknąłem się o ciało, przewróciłem. Nie zauważyłem pod śniegiem. Wtedy Budrys zawarczał, chciał odgrzebywać. Kazałem mu pilnować, sam polecałem do telefonu. To tyle.

- Często pan tu przychodzi z psem?

- Prawie codziennie. Rano, koło siódmej. Biegamy - uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Bardzo zdrowo - zauważył porucznik. Przeglądał dokumenty, wyjęte z portfela nieboszczyka. - Antoni Zawilski, lat siedemdziesiąt dwa... Zaraz przyjedzie nysa - to do Szczęsnego. - Dwanaście tysięcy w banknotach, złoty schaffhausen, obrączka, bony. Futro, czapka z norek. Zastanawiające, że... - urwał.

- Tak - odparł major, kończąc myśl. - Nie zdążył, spłoszyli go. Albo nie chciał.

- Mogę już iść? - spytał lekarz. - Muszę odprowadzić psa, o jedenastej operuję.

Podał porucznikowi dowód osobisty, poczekał, aż jego personalia zostaną dokładnie spisane, dorzucił fachowo, że, jeżeli się nie myli, pan Zawilski został pozbawiony życia co najmniej kilkanaście godzin wcześniej, ale to oczywiście nie leży w jego kompetencjach kostnego chirurga. Potem odszedł.

Nysa wjechała w główną aleję, budząc zainteresowanie przechodniów, którzy szli przez park. Porucznik, po zabraniu ciała, zrobił jeszcze zdjęcia w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono zwłoki. Wraz z dwoma milicjantami przeszukali najbliższą okolicę, ale nie znaleźli noża, bagnetu czy czegoś takiego. Trudno było zresztą przekopywać się przez grubą warstwę śniegu i zeschniętych liści. Milicjanci jednak zostali, a dwaj oficerowie wsiedli do radiowozu i pojechali do Pałacu Mostowskich.

Pułkownik Daniłowicz, szef wydziału kryminalnego, zdziwił się na widok Szczęsnego.

- Co ty tu robisz? - spytał. - Miałeś spać po dyżurze.

Major zrzucił kożuszek, roztarł zmarznięte ręce.

- Poczekaaj, muszę umyć... - mruknął, znikając w korytarzu.

Kiedy wrócił, szef słuchał właśnie relacji porucznika Dębskiego o zwłokach znalezionych w Ogrodzie Saskim.

- Zawilski? - powtórzył nazwisko, zamyślił się. - To znany profesor, ornitolog, jeżeli się nie mylę. Zaraz, mamy tu - pogrzebał w papierach, wyjął poranny meldunek o wydarzeniach. - Zgadza się. Rodzina zgłasza o zaginięciu Antoniego Zawilskiego. Prowadził jakieś wykłady na mieście po południu. Czekali na niego, no i nie doczekali się. Telefonował syn, Michał Zawilski. Kilkakrotnie. Hoża jedenaście, mieszkania sześć. Nie odpowiedziałeś mi na pytanie? - zwrócił się do Szczęsnego.

Major wzruszył ramionami, siadł w fotelu.

- Dasz kawę?

Daniłowicz nacisnął guzik selektora, poprosił sekretarkę o trzy kawy.

- Siadaj, czego sterczysz? - rzekł do porucznika, stojącego wciąż służbiście przed biurkiem.

Dębski pracował w wydziale od niedawna i zwałista, sroga postać pułkownika niekiedy budziła w nim niejasne obawy. Przysiadł ostrożnie na krześle, gotów każdej chwili zerwać się i odpowiadać na pytania, odwrotnie niż Szczęsny.

Daniłowicz znał swego zastępcę od wielu lat, czasem myślał, od stu albo więcej, toteż nie przejął się brakiem odpowiedzi. Wiedział już, że Szczęsny zainteresował się sprawą

zabójstwa. Pojechał pewnie radiowozem, ot tak, przypadkowo, aby przy okazji wrócić do domu. Zobaczył coś, co go zaintrygowało, i został. Nie pierwszy raz tak było.

- No, to bierz sprawę - powiedział już tylko dla porządku.

- Sztylet - stwierdził major pozornie bez związku. - Mógł też być długi ostry nóż. Ewentualnie szpikulec. Wiesz, taki od szaszłyku. Tam jeszcze szukają, ale wątpię, żeby znaleźli.

- Kogo chcesz do pomocy?

- Jego - wskazał głową porucznika i ciągnął dalej: - Miał na sobie futro, marynarkę, sweter. Nóż, czy co to było, rozdarł tylko sweter i koszulę. Albo najpierw ktoś go ogłuszył i potem, żeby sobie ułatwić cios, rozpiął futro i marynarkę, albo, zakładając, że się znali i przystanęli, aby rozmawiać, mogła być kłótnia, Zawilskiemu w pewnej chwili zrobiło się gorąco i sam rozpiął swoje norki, jeżeli się orientuję w hodowli. Z tego, co obejrzałem, myślę, że w momencie uderzenia profesor leżał na śniegu. Zupełny pion ciosu, rozumiesz?

Daniłowicz kiwnął głową. Porucznik podniósł się, spytał, czy może odejść, aby wywołać zdjęcia, a otrzymawszy zgodę, wyszedł.

- To dobry chłopak - mruknął szef. - Nie męcz go za bardzo.

Szczęśny spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Czy ja kiedykolwiek kogokolwiek... - Urwał. Przesunął dłonią po zmęczonych oczach. - Stefan, to będzie trudna sprawa.

- Tak myślisz?

- Dziwne to wszystko. I miejsce, i osoba. Co profesor robił w parku w taką śnieżycę? Zresztą dobrze. - Wstał, wyciągnął rękę. - Daj te meldunki z nocy. I zgłoszenie rodziny. Powiem Dębskiemu, niech najpierw on idzie na Hożą. Albo nie. Sam pójdę.

Nalał sobie jeszcze kawy z termosu, pił zamyślony, jakby nieobecny. Pułkownik wiedział, że Szczęśny już rozpoczął śledztwo.

- Z twoją głową poradzisz sobie z tą sprawą - zauważył.

Rzadko mu się zdarzało chwalić, zresztą nie było u nich takiego zwyczaju.

Szczęśny odstawił szklanekę, popatrzał na szefa. W czarnych oczach błysnęło rozbawienie.

- Pozwolisz, że ci przypomnę Norwida? - spytał stojąc w drzwiach z kożuskiem naciągniętym na jedno ramię.

- Co ma do tego Norwid?

- „Lecz z ludźmi różnie bywa, mówiąc bez przymówki, że złożyć jedną głowę muszą dwa półgłówki”. Wychodzi, że ja i Dębski. Cześć!

Było mu żal tej rodziny, naprawdę serdecznie żał, ale nie przyszedł tutaj w roli przyjaciela, który składa kondolencje. Do niego należało wykrycie zabójcy i tylko to powinien brać pod uwagę. Siedział w dużym, ciemnym pokoju, może jadalni, może saloniku, umeblowanym po staroświecku, a choć ze swego dzieciństwa nie znał takich salonów, mimo to odczuwał jego niecodzienną atmosferę. Portrety o przygasłych barwach, długi stół na środku, krzesła wyplatane złotą słomką, w rogu szafkowy zegar z opuszczonymi wahadłami, w kredensie za szkłem połyskujące kolorowe kielichy i jakaś delikatna japońska filiżaneczka, pewnie tak krucha, że obawiałby się wziąć do ręki.

Czekał na przyjście pani Zawilskiej. Jej syn Michał, który jeździł do Zakładu Medycyny Sądowej; aby rozpoznać ciało, przeprosił majora za krótką zwłokę: matka źle się czuje, ale przyjdzie. zaproponował kawę; Szczęsny odmówił, poprosił, aby pani Zawilska nie śpieszyła się, on ma czas, poczeka. W rzeczywistości chciał jeszcze przez kilka minut pozostać sam, rozejrzeć się, zastanowić - co to za dom i jacy są jego lokatorzy.

Po chwili zrozumiał, że dziwi go cisza, tak dzisiaj niezwykła w warszawskich mieszkaniach, pełnych radiowo-telewizyjnego hałasu, muzyki, głośnych rozmów. Oczywiście, ten dom pogrążony jest w żałobie. A mimo to, sądził, tutaj częściej rozmawia się niż siedzi przed telewizorem, częściej czyta niż nastawia radio. Książek było mnóstwo, w kilku językach, dużo prac naukowych z dziedziny ornitologii i historii sztuki. Dostrzegł w kącie pod oknem ustawione sztalugi, lecz obraz był zasłonięty, pudełka z farbami zamknięte. Pomyślał, że ktoś w tym domu maluje, być może Zawilska, bo wiedział już, że obaj synowie mieszkają oddzielnie. Chyba, że profesor?

Weszła tak cicho, że nie dosłyszał kroków na dywanie. Kiedy odezwała się, drgnął jak nagle przebudzony i odwrócił się. Zobaczył panią wysoką, szczupłą - w czarnej sukni wydawała się jeszcze szczuplejsza - o twarzy bardzo bladej, lecz spokojnej. Włosy bujne, całkiem siwe, ułożone w niedbały węzeł okalały tę twarz w typie bizantyjskiej madonny z trochę za długim nosem i podłużnymi oczami o zaczerwienionych od płaczu powiekach.

Schylił się nad jej dłonią, milcząc zajął wskazane miejsce na fotelu. Michał Zawilski siadł z boku, patrzył gdzieś w dół, na dywan, nerwowo splatając i wyłamując palce. Nie mógł zapomnieć martwej twarzy ojca tam, w prosektorium zakładu.

Elżbieta sama zaczęła rozmowę. Cicho, wyraźnie oddzielając zdania, które być może wcześniej sobie przygotowała, opowiedziała wszystko, co zdarzyło się poprzedniego dnia i wieczoru. Szczęsny patrząc na nią z uwagą, notował w pamięci słowa, gesty, drgnienie powiek, akcent położony na to czy inne zdanie. Na razie o nic nie pytał. Z kolei zabrał głos

Michał: dorzucił to, o czym major wiedział z milicyjnych meldunków, potem zawahał się i umilkł.

- Pojechałem na Oczki... - nie dokończył, rzucił tylko przelotne spojrzenie na matkę.

- Rozumiem - odezwał się Szczęsny. - Tam już byłem. Chciałbym jednak zadać zasadnicze pytanie. Czy ktoś z rodziny państwa ma podejrzenie, choćby cień podejrzenia, jeżeli chodzi o przyczynę zabójstwa? Motyw, o to mi chodzi. Niezwykle ważne!

- Antoni nie miał wrogów - powiedziała Za-wilska. - Wiem, że to brzmi jak frazes, ale on rzeczywiście ich nie miał. Przez, całe życie otoczony był przyjaciółmi, bo umiał ich pozyskiwać. Lubili go i szanowali studenci, cenili koledzy. Nikomu nie stawał na drodze do kariery, raczej usuwał się na bok.

- Czy zwykle wracał do domu przez Ogród Saski? Jeżeli, powiedzmy, miał wykłady czy inne zajęcia w tamtej stronie?

Elżbieta zastanowiła się, potrząsnęła głową.

- Chyba latem - odparła. - Ale może chciał po prostu skrócić sobie drogę.

Michał chrząknął, spojrzał na oficera.

- Zdaje się, że wiem, o co panu chodzi - rzekł. - Czy to była codzienna droga ojca, bo ktoś mógł go obserwować. Więc raczej nie, wracał najczęściej autobusem albo ja po niego przyjeżdżałem wozem, jeżeli tak się umawialiśmy. Gdybym przypuszczał...

- Pan jest inżynierem elektrykiem?

- Tak. Pracuję w instytucie przy Świerczewskiego. Proszę pana - zawahał się znowu, przełknął ślinę - czy nie sądzi pan, że motywem jednak był rabunek, tylko morderca nie zdążył nic zabrać, ktoś go spłoszył?

Szczęsny milczał chwilę. Patrzył na jego wąską, delikatną twarz z gęstą grzywą włosów; pomyślał, że Michał jest podobny do ojca: te same rysy, kształt głowy, zarys podbródka, wszystko o ileś tam lat młodsze. Pożałował, że nie znał profesora, nie widział jego uśmiechu, nie znał sposobu bycia, prowadzenia dyskusji.

- Raczej nie - odparł wreszcie. - Sposób działania daleki jest od metod, jakimi zwykle posługują się złodzieje, pospolicci napastnicy, szukający swej ofiary wśród ludzi zamożnych, idących samotnie ciemną ulicą. Tamtej nocy padał gęsty śnieg, wątpię, żeby w takich warunkach przestępcę ktoś spłoszył, zaskoczył. Wystarczyło zresztą ogłuszyć, obrabować i uciec. Nie. Myślę, że mimo wszystko było to zabójstwo zaplanowane. Że napastnik z góry je sobie ułożył, znając mniej więcej rozkład dnia profesora i śledząc go, może nawet przez dłuższy czas. Dlatego proszę sobie przypomnieć, czy pan Zawilski nie wspominał, że ktoś go obserwuje, zaczepia, telefonuje z groźbami? Były może jakieś listy anonimowe?

- Nie - powiedziała Elżbieta. - Nic takiego się nie zdarzyło. Wiedziałabym, gdyby mąż dostawał jakieś listy z pogrózkami czy odbierał anonimowe telefony. Zresztą o co mogło komuś chodzić? O pieniądze? Nie mamy żadnych długów, ale do milionerów trudno nas zaliczyć.

Potem Szczęsny przeszedł z Zawilską do gabinetu profesora. Nie robiła trudności, kiedy rzekł bez ogródek, że musi przejrzeć zawartość biurka i szaf, zorientować się w papierach, przechowywanych dokumentach, listach, notatkach. Zostawiła go samego, widać było, że ledwie trzyma się na nogach, więc poprosił, aby poszła odpocząć, zastąpi ją syn. Przyszedł Michał, wspólnie zagłębili się w żmudnej, przykrej robocie.

- Może znajdziemy tu jakiś ślad, który naprowadzi na osobę zabójcy - wyjaśnił major, czując się trochę jak intruz, który wdzierają się w bardzo osobiste sprawy zmarłego.

- Ja rozumiem - mruknął młody inżynier.

Po godzinie Szczęsny wstał, zgarnął swoje notatki. Profesor trzymał dokumenty w idealnym porządku, posegregowane według problemów i tematów. Nie było tu rachunków za cokolwiek, wszystkie sprawy finansowe załatwiała Elżbieta. Zawilski zgromadził mnóstwo prac naukowych, artykułów dotyczących ornitologii, listów od zagranicznych kolegów po fachu, wyciągów z dzieł, niedostępnych w księgarniach. Aby się przez to przegryźć, trzeba było miesięcy.

Michał odprowadził oficera do przedpokoju i powiedział z zakłopotaniem:

- To pewnie nie ma nic wspólnego z tym... - Zająknął się, przygryzł wargi. - Chciałbym jednak, żeby pan wiedział.

- Słucham? - rzekł Szczęsny zachęcająco. I dodał: - Wszystko może być ważne, proszę mówić.

- Widzi pan, rodzice po prostu byli ze sobą szczęśliwi. Bardzo rzadko spotyka się dzisiaj takie małżeństwa. Dlatego boję się o matkę. Wydaje mi się, że bez niego nie będzie chciała żyć. Nie potrafi.

- Więc musi żyć dla was. Dla synów. Należy ją o tym przekonać.

Umówili się na rozmowę w Pałacu Mostowskich, miał tam też przyjść Jacek. Śledztwo ma przecież swoje protokolarne wymagania.

ROZDZIAŁ 2

Zaczęła się zmundna, nieefektywna robota. Obaj oficerowie rozmawiali z dziesiątkami osób, przesłuchali wszystkich mieszkańców domu przy Hożej jednaście, docierali do najdawniejszych znajomych profesora, do pracowników różnych towarzystw i klubów, w których wygłaszał prelekcje. Morderstwo znanego i cenionego naukowca poruszyło opinię społeczną, wzburzyło jego przyjaciół. Daniłowicz przydzielił Szczęsnemu jeszcze dwóch funkcjonariuszy, poszły w ruch teleksy, dzielnicowi informowali o wszelkich pogłoskach, plotkach, sugestiach w znanym im świątku przestępczym, w melinach, na bazarach i dworcach.

Napłynęło dużo wiadomości, listów, telefonów; wszystko należało sprawdzić, odrzucając to, co było tylko wynikiem zawiści czy pomówień.

Sekcja zwłok Zawilskiego wykazała, że został ogłuszony silnym uderzeniem w głowę, mogła to być pięść czy kawałek drewna, a kiedy upadł, zabójca wbił mu nóż niemal dokładnie w prawą komorę sercową, powodując natychmiastową śmierć. Narzędzia zbrodni nie znaleziono; anatomopatolog orzekł, iż ślady wokół rany wskazują na dość gwałtowne wyszarpięcie noża po zadaniu ciosu. Najpewniej więc przestępca zabrał go ze sobą. Nóż ten - jak mówił dalej lekarz medycyny sądowej - przypomina długi, bardzo ostry i wąski sztylet.

Szczęśny przyszedł na cmentarz, chciał przyjrzeć się ludziom, którzy odprowadzali zmarłego do rodzinnego grobowca. Było ich wielu, wypełnili sąsiednie alejki, tłocząc się i popychając. Złożono kilkanaście wieńców, trzech profesorów - w tym jeden z zagranicy - wygłosiło mowy żałobne, parę osób płakało. Dwaj synowie podtrzymywali matkę, która starała się wytrwać do końca uroczystości, ale chwilami brakowało jej sił.

- Nie rozumiem, absolutnie nie rozumiem tej śmierci! - mówił ktoś, stojący tuż za plecami Szczęsnego.

- Ja również - odparł szeptem drugi głos. - Nie dziwiłbym się, gdyby skończył na zawał albo raka. Ale morderstwo?! Przecież ten człowiek nikomu w życiu nie zrobił krzywdy. Podobno nic mu nie zabrali, ani pieniędzy, ani zegarka, miał też całkiem porządne futro i czapkę. Więc jeżeli nie rabunek, to co? Jakaś zemsta? Ale za co?

- Zastanawiam się, czy to nie stare porachunki. Wiesz, okupacyjne sprawy, ale...

- Zawilski był w oflagu - przerwał drugi rozmówca. - Jako oficer siódmego pułku strzelców konnych dostał się do niewoli. Wrócił do kraju jednym z pierwszych transportów.

Zresztą kto mógłby okupacyjne rozliczenia załatwiać czterdzieści parę lat po wojnie? Nie, to wykluczone. Chodź, podejźmy do pani Elżbiety.

Major obrzucił obu mężczyzn uważnym spojrzeniem, chociaż w ich rozmowie nie znalazł nic, co mogłoby pomóc w śledztwie. O Zawilskim - jego przeszłości, powiązaniach, krewnych - wiedział już dzisiaj z pewnością więcej niż znajomi, a nawet przyjaciele profesora. Wraz z Dębskim przenicowali jego życie, brali pod uwagę każdy rok, niemal każdy miesiąc, rozmawiali z oficerami rezerwy, którzy wraz z Zawilskim przebywali w oflagu. Starsi panowie (a niewielu ich już zostało) okazali dużo dobrej woli, starali się pomóc, ale w niczym nie posuwało to naprzód śledztwa.

- Zupełnie nic, rozumiesz? - powiedział Szczęsny, siedząc w gabinecie swego szefa. - Ani jednej nici, o którą można by się zaczepić. Żadnego motywu! Może rzeczywiście ktoś spłoszył zabójcę i uniemożliwił mu rabunek?

- Sam w to nie wierzysz - odparł Daniłowicz. - Złodziej uderza ręką czy łomem, zabiera co jest do zabrania i zwiewa. Natomiast tutaj mamy wyraźnie działanie z premedytacją: ogłuszyć, wbić nóż i odejść. Zauważ, jak on celował: prosto w serce. Nie śpieszył się, dobrze mierzył. Zimna, wyrachowana zbrodnia.

- Tak, masz rację. Myślałem więc o jakimś typie patologicznym, obłąkanym mordercy, który coś tam sobie w chorym mózgu uroił.

- Psychologia lekarska zna też różne przyczyny działania bez istotnych motywów. Przeglądałem wczoraj „Psychologię” Ernsta Kretschmera. Stara rzecz, wydana u nas jeszcze w latach pięćdziesiątych, ale szeroko i wnikliwie ujmuje temat. Autor mówi na przykład o najróżniejszych cechach charakterów i temperamentów, czasem zaskakująco rozbieżnych, zmiennych. Posłuchaj - sięgnął po książkę, leżącą na biurku, wyjął zakładkę i przeczytał: - „...Z drugiej strony, ten sam głęboko uczuciowy, spokojny i wyrównany zawiązek temperamentu może doprowadzić do powstania zupełnie odmiennych właściwości charakteru, na przykład przemyślanej nienawiści, wielkiej mściwości.”

- Jeżeli zrozumiałem twoją myśl - odezwał się major - chcesz, abym szukał mordercy niekoniecznie wśród ludzi o negatywnych cechach charakteru. W skrócie: złego pośród dobrych. Piekielnie ciężka sprawa. Idąc po tej linii, powinienem podejrzewać Elżbietę Zawilską o zabójstwo męża. Albo któregoś z synów.

- A masz przekonujące dowody, że tego nie zrobili?

- Oczywiście, nie mam. Prócz absolutnej bezsensowności tego czynu. Chociaż... - Zamyślił się. - Kto wie, jakie były naprawdę związki uczuciowe pomiędzy nimi? Co się kryło w tych ludziach mimo pozornej szczęśliwości i harmonii rodzinnej? Michał i Jacek mają alibi,

poświadczony tylko przez ich żony. Więc zmowa? Zawilską mogła wyjść naprzeciw męża, zabić go, potem szybko wrócić, zanim przyszli goście, i udawać, że z niepokojem czeka na jego powrót. Śnieg zasypał wszystkie ślady. Tak teoretycznie mogło być. Tylko, że ja w to nie wierzę. Ale jeżeli się mylę?

Pod koniec listopada, w dwa tygodnie po zabójstwie, ranna poczta przyniosła do Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych list, który - zaadresowany do wydziału kryminalnego - znalazł się na biurku pułkownika Daniłowicza. Przyjrzał mu się wpierw, pomyślał, że pewnie jeszcze jedna „poufna informacja” o jakimś przestępstwie, które nigdy się nie wydarzyło (dostawali ostatnio i takie listy), bez pośpiechu rozciął kopertę. Przeczytał krótką treść, znieruchomiał na parę minut, potem nakręcił wewnętrzny numer.

- Szczęśny? Przyjdź do mnie... Tak, zaraz.

Major wszedł do gabinetu, trochę zniecierpliwiony, bo prowadził naradę z Dębskim i dwoma podoficerami.

- Co jest? - burknął.

Od kilku dni czuł wzrastające zmęczenie i gniew wskutek braku jakichkolwiek wyników w śledztwie. Takie okresy uważał za najgorsze: błądzenie po omacku, jak ślepiec.

- Zobacz - szef podał mu list.

Szczęśny siadł i zaczął czytać. Anonimowy, a raczej sygnowany pseudonimem człowiek pisał:

„Wy, którzy daremnie próbujecie odgadnąć, kto zabił profesora Antoniego Zawilskiego, dowiedzcie się, że nigdy - powtarzam: nigdy, nie znajdziecie zabójcy. Ja to zrobiłem. Nie dowiedcie się, dlaczego. To jest wyłącznie moja sprawa. Postąpiłem słusznie. Nie szukajcie mnie, bo nie mam nazwiska ani adresu.”

List podpisany był: „Adámas”, z małą ukośną kreską nad drugim „a”.

- Co o tym myślisz? - spytał pułkownik.

- Wśród powodzi innych anonimów ten wydaje mi się w każdym razie sensowny. Może nie tyle sensowny - poprawił się - ile są w nim jakieś akcenty szczerości. Jeśli założymy, że facet rzeczywiście zabił Zawilskiego, daje nam to jakąś minimalną szansę wykrycia go.

- Pamiętam szereg spraw, w których morderca pisywał do nas listy. Zazwyczaj jest to chęć odegrania się na milicji za coś tam, pokazania: ja jestem od was lepszy, popełniłem zbrodnię doskonałą. Albo też, jeśli przyjmiemy, iż zabił typ patologiczny, chory, to można uznać, że pragnie on jak gdyby wywnętrzyć się, podzielić swymi pobudkami, opisem zbrodni. Sprawia mu to ulgę. Uważam, że musimy podjąć tę grę.

- Ba! Ale jak? Nie napisał, czy mamy mu odpowiedzieć w prasie czy inaczej, tajna skrytka, poste restante. Adámas? Co znaczy ta kreseczką nad trzecią literą? Czy to coś od Adama, adamaszku, cholera go wie! Poczekaj, zobaczę.

Podszedł do regałów, pogrzebał wśród książek, wyciągnął pierwszy tom czterotomowej „Encyklopedii Powszechnej PWN”.

- Jest mnóstwo Adamów. I adamaszek. Ale tego nie ma.

- Daj spokój, gość wymyślił sobie dziwaczny pseudonim. Nieważne.

- Pismo maszynowe, koperta niebieska z tych najtańszych, stempel na znaczku miejscowy. Jeżeli poślinił przed nalepieniem, może coś wykaże, analiza śliny. Zaniosę ekspertom, niech pogłówkują.

Adámas - z kreseczką nad a - nie dawał Szczęsnemu spokoju. Sam nie rozumiał, dlaczego tak go zaintrygował ten podpis. Przez jakiś czas sądził, że to po prostu nazwisko, z pochodzenia francuskie. Potem odrzucił tę myśl; jeżeli autor listu napisał prawdę, nie demaskowałby się przecież. Zdanie, w którym mówi, że nie ma nazwiska ani adresu, major uznał za taktyczny wybieg albo drwinę.

Wieczorem zadzwonił do jednego ze swych licznych znajomych, docenta politologa, władającego biegle sześcioma językami, i spytał go, co może oznaczać słowo: „adamas”.

- Z kreseczką - dodał. - Ale jeżeli nie wiesz, to nie próbuj zgadywać.

Docent znany był bowiem z tego, że z miejsca dawał odpowiedzi na wszystkie pytania, a później z niektórych się wycofywał.

- Adámas? - powtórzył. - Z kreseczką, gdzie?

- Nad drugim a.

- Wiem, z całą pewnością. To greckie słowo, a znaczy niepokonany. Stąd nazwa diamentów. Rozumiesz, mała przeróbka: adamas, diament... Słuchasz mnie?

- Tak - odparł Szczęsny z roztargnieniem. - Po grecku, niepokonany? Ciekawe. Cześć, stary, i dziękuję.

Odłożył słuchawkę, głęboko zamyślony. Można było bowiem odczytać podpis dwojako. Albo autor listu uważa się za niezwycięzonego; zbrodnia nie do wykrycia, zwana doskonałą. Albo też ma on jakiś związek z drogimi kamieniami, biżuterią... Jubiler? Kolekcjoner diamentów? To drugie raczej wykluczone, za drogi interes. Chociaż wszystko jest możliwe na tym najlepszym ze światów - stwierdził, szykując sobie kolację.

Na drugi dzień postanowił odwiedzić znajomego jubilera i złotnika. Był to człowiek starszy, schorowany, od dawna nie pracował w swym zawodzie, umysł miał jednak wciąż świeży, doskonałą pamięć i ogromną wiedzę w dziedzinie mineralogii, zwłaszcza drogich kamieni. Szczęsnemu oddał dwukrotnie cenne usługi, dokonując bezbłędnej analizy fałszywych szafirów i starej, autentycznej kolisty brylantowej z czasów Ludwika XIV.

Teraz ucieszył się z odwiedzin, postawił na stół domową nalewkę na czarnych porzeczkach, o nic nie pytał, wiedział, że w swoim czasie i tak się dowie. Rozmawiali chwilę o byle czym, ponarzekali na zimę, która w tym roku przysłała stanowczo za wcześnie, bo w połowie listopada, a potem major rzekł:

- Panie Franciszku, od czego pochodzi słowo diament?

- Z greckiego adamas. Po polsku niepokonany, niezwyciężony. Będzie o diamentach?

- Trochę.

- Przecudny kamień - westchnął stary złotnik. - Tysiąc razy twardszy od kwarcu. Oszlifowane brylanty mają piękne, egzotyczne nazwy: Radża Matański, Excelsior, Imperatorski, Gwiazda Egiptu, Szach. Ale przynoszą nieszczęście. Czy pan wie, że w dawnych czasach złodzieje diamentów przemycali je, zaszywając w ranie na nodze? Oto do czego doprowadziła ludzka chciwość. Chociaż ja rozumiem kolekcjonerów.

- Dlaczego powiedział pan, że przynoszą nieszczęście?

- Taka jest o nich opinia. Był słynny szafirowo niebieski diament Hope, ukradziony ponoć z czoła bogini w Indiach, z małej świątyni. Napis obok posągu głosił, że złodziejowi klejnotu i wszystkim jego właścicielom grozi na wieki klątwa i same nieszczęścia. I to się sprawdziło. Hope miał stu dwudziestu sześciu właścicieli, a każdy z nich ginął tragiczną śmiercią. Żeby pana nie znużyć, wymienię tylko niektóre przykłady. Wenecki szlachcic Morosini, kupiwszy Hope'a od francuskiego podróżnika, zmarł na jakąś straszliwą, nieznaną wówczas chorobę. Jedną z kolejnych właścicielek Maria Antonina jak wiadomo oddała swą piękną główkę katowi na gilotynie. Generał Lassalle, który zabrał klejnot do Włoch, zginął w bitwie. Jubiler holenderski popełnił samobójstwo, bogatego Hiszpana uśmierciła zazdrosna żona. Pani Hauteville posiadając diament zginęła w wypadku, jeden z jej synów oślepnął, drugi otrul się czy też został otruty. Podobno rumuński jubiler Balogu płynął przed wojną z tym feralnym diamentem „Batorym” i wyskoczył za burtę.

- Z klejnotem?

- Nie wiadomo. Hope zaginął. Istnieje taka wersja, że kolejna właścicielka, widząc, co się święci, odwiozła diament do indyjskiej świątyni. I przeżyła. Czy może pan mi powiedzieć,

o co naprawdę chodzi? Bo chyba nie ma pan zamiaru, majorze, kolekcjonować drogich kamieni.

Szczęśny roześmiał się. Coś mu przyszło na myśl i spytał:

- Zna pan wielu takich kolekcjonerów?

- Paru. Znałem przed wojną. Dzisiaj zbierają raczej znaczki, porcelanę, pudełka od zapalek... To interesujący ludzie - zamyślił się. - Muzeum Narodowe w Poznaniu wydaje różne broszury, nieduże książeczki i w jednej z nich przeczytałem o „Psychologicznych i socjologicznych przesłankach kolekcjonerstwa”, autor Kazimierz Malinowski. Pisze tak: „Kolekcjonerstwo jest rekompensatą przeżywanej pustki wewnętrznej”.

- Co właściwie kieruje zbieraczami?

- Malinowski podaje tu kilka przyczyn. Instynkt własności albo żądza posiadania, instynkt poznawczy, potrzeba doznań estetycznych, walor ekonomiczny. Istnieją też patologiczne objawy kolekcjonerstwa. Na przykład Don Vincente, księgarz z Barcelony, zamordował kilkunastu właścicieli cennych i rzadkich książek, aby zdobyć ich zbiory.

- A jeżeli ktoś zabija drugiego człowieka, nic mu nie zabierając, bez żadnego motywu... przynajmniej motyw ten nie jest nikomu znany, czy mógłby pan go zaliczyć do swego rodzaju kolekcjonerów?

Jubiler zatrząsł się jakby przejęło go nagie zimno.

- Chce pan powiedzieć, że byłby to zbieracz morderstw? Nie słyszałem o tym. Potworne. Określiłbym go jako istotę obłąkaną. Na początku naszej rozmowy zapytał pan, od czego pochodzi słowo diament. Po taką informację nie musiał pan do mnie przychodzić, wystarczyło poszukać w bibliotece. O co naprawdę chodzi? - powtórzył, patrząc z uwagą na oficera.

Szczęśny wahał się. Pomyślał jednak, że prędzej czy później wiadomość o tym wydostanie się na łamy prasy, bo okaże się to potrzebne. Odparł więc:

- Ktoś, kto okrutnie, z premedytacją, bez żadnej wiadomej nam przyczyny zamordował znanego, uczciwego obywatela, przysłał list i podpisał się: „Adámas”. W liście przyznaje się do zbrodni.

Stary złotnik milczał przez dłuższy czas. Jego sępia, sucha twarz z wyblakłymi niebieskimi oczami wyglądała jak nieruchomy posązek na tle czerwonej kotary, zasłaniającej drzwi do sypialni.

- Uważa siebie za niezwykłego - szepnął w zadumie. - Nie jest to kolekcjoner, panie majorze, ale człowiek działający pod wpływem zawiści, a przy tym zarozumiały. Może szaleniec. Zaręczam panu, że nie ma on nic wspólnego z tak szlachetnym kamieniem, jakim

jest diament! Oczywiście, nie mogę panu przytoczyć żadnego dowodu potwierdzającego tę opinię, przecież nie znam tego zbrodniarza. Ale moje wieloletnie doświadczenie mówi mi, że mam rację. Miałem w życiu do czynienia z tysiącami klientów, najróżniejszych ludzi, od zbieraczy czystej krwi, rasowych jak konie, do przemytników i handlarzy. Za niejednego z nich nie ręczyłbym, że nie zabije, aby zdobyć klejnoty. Ale tamten, mówi pan, nic nie zabrał. Więc niech pan nie szuka go wśród jubilerów i kolekcjonerów drogich kamieni. Ten podpis to kamuflaż.

„Szpileczka” ucieszył się. Aż czterdzieści butelek, żadna nie pęknięta, zarobi na piwo. Jego dziecinny, na wpół tylko, rozwinięty umysł rozróżniał najprostsze sytuacje życiowe: jeść. spać, ciepło, dobry człowiek - zły człowiek, sprzątać butelki, kupować piwo. Umiał liczyć, do dwustu pięćdziesięciu, dalej ani rusz, jeżeli zbierał więcej pieniędzy, składał na dwie, trzy kupki, każda po te dwieście pięćdziesiąt. Czasami czuł się oszukany, ale nie potrafił tego wytłumaczyć, więc uciekał na drugi koniec hali dworcowej. „Szpileczka” bał się obcych ludzi, zwłaszcza młodych. Tych w skórzanych kurtkach, z papierosem w ustach i rękami w kieszeniach; mieli ostre spojrzenie, kopali twardym czubkiem -błyszczącego buta, bili kantem dłoni, bez powodu, ot, tak dla wprawy. Instynktem bezdomnego psa wyczuwał z daleka ich obecność: wtedy krył się w barze na piętrze, pomagał wynosić śmieci, mył podłogę, za to dostawał talerz gorącej zupy i chleb.

„Szpileczka” nie był jedynym stałym lokatorem dworca. Wiedział o „Dziadku”, o „Gołębiarce” i kilku innych. „Dziadek” pomagał w restauracji, sprzedawał gazety, zaniósł komuś walizkę. Pracownicy kuchni żałowały go, bo zwierzył im się kiedyś ze swego losu. Miał w Gdańsku żonę, dzieci, mieszkanie, ale kobieta zapragnęła młodszego, przekabaciła dzieci na swoją stronę, wspólnie z nowym mężem wygnali „Dziadka” precz, bo zawadza. Mógł się procesować. Nie chciał. Cichy, spokojny, pewnego dnia przyjechał do Warszawy, rozejrzał się po dworcu i został. „Gołębiarka” od kilkunastu lat przychodziła tu każdego wieczoru, spała w ciemnych kątach, żyła z tego, co dali dobrzy ludzie. W dzień najchętniej karmiła na placu gołębie.

To byli porządni lokatorzy, nie wadzący nikomu. Ale dworzec miał też innych, zjawiających się najczęściej wieczorem, jesienią i zimą, kiedy chłód i bezlistne drzewa w parkach nie dają schronienia. Do takich należały dwie pijaczki o dziwnych pseudonimach „Atonia”, i „Atrofia”, kłótniwe, zaborcze, z tak rozległym zapasem wyzwisk, że mogły zakasować cały miejscowy margines społeczny i jeszcze by zostało.

Przychodziły pod wieczór do baru, brały z gablot na tace byle co, aby tylko zapłacić w kasie i przejść na salę. Tam z miejsca ustawiały się przy transporterze z brudnymi talerzami, odpychając wszelką konkurencję i zabierając co lepsze resztki pozostawionego jedzenia. Pieniądże, a miały ich najczęściej sporo, wydawały jedynie na alkohol i papierosy.

Te dwie nie bały się obcych mężczyzn, w razie czego potrafiły obronić się twardą pięścią lub chlusnąć w twarz gorącą herbatą (piwa szkoda). Wobec milicji czuły trochę respektu, nie za wiele. Co jakiś czas odsiadywały ileś tam dni za awanturowanie się nie godząc się nigdy na grzywnę. Znał je personel Izby Wytrzeźwień, umiały do niej trafić, kiedy chciały się porządnie wyspać w czystej pościeli.

Tego grudniowego wieczoru „Atonia” zapragnęła powłóczyć się po dworcu i zawrzeć jakąś korzystną znajomość, bo zabrakło im pieniędzy. Na oko prezentowała się lepiej niż „Atrofia”, miała dłuższe blond włosy, ładniejsze oczy; za to tamta była wyższa, szczuplejsza i czystiej ubrana. Obie, skłócone z całym światem, działały zgodnie, dzieląc się zyskiem. „Atonia” długimi zwinnymi palcami wyciągała z cudzej kieszeni dobrze nabity portfel, przez ten czas „Atrofia” zabawiała delikwenta, czyniąc mu najśmielsze propozycje, poparte wymownym zmrużeniem powiek i porozumiewawczym uśmiechem.

W pewnej chwili dostrzegły mężczyznę przyzwoicie ubranego, z papierosem w ustach. Stał w połowie schodów do baru, jakby nie mógł się zdecydować - w górę, czy w dół. Był dość wysoki, trochę przygarbiony, w ciemnym płaszczu i kapeluszu.

- Chodźmy - mruknęła „Atonia”, pokazując go oczami.

„Atrofia” wahała się. Mężczyzna z wyglądu przypominał jednego z jej przyjaciół, który lał ją w mordę każdej nocy, a rękę miał jak z żelaza.

- To nie. Józek? - szepnęła z obawą.

- Twój? - Koleżanka prychnęła gniewnie. - Dawno ziemię gryzie. No, idziesz czy nie?

Ale zanim doszły do schodów, mężczyzna podjął widać decyzję, bo zrobił kilka kroków w górę i wszedł do szatni przy restauracji.

- Cholera, skubaniec! - „Atonia” wiedziała, że na salę mogą ich nie wpuścić, kelnerzy nie lubili awantur z okradzionymi gośćmi.

- Chodź do baru, może się co trafi. O, tam stoi takich dwóch z walizkami. - Pociągnęła blondynę za sobą, oczy jej się zaiskrzyły, uśmiechnięta, tupiąc wysokimi obcasami, przysunęła się w stronę chłopaków.

Mężczyzna w kapeluszu zdjął go w szatni, oddał płaszcz i, przyglądając ręką włosy, stanął na progu sali, lustrując ją wzrokiem. W restauracji było pełno, dym z papierosów kłębił

się aż po sufit, kelnerzy uwijali się między stolikami. Stąd nietrudno uciec bez zapłaty, toteż musieli mieć baczne oko i szybki refleks.

Przybysz wypatrył wolno krzesło przy bocznym stoliku; siedział tam tylko jeden człowiek, zajęty jedzeniem. Miał na sobie szare ubranie z dobrej, drogiej wełny i elegancki krawat na białej koszuli.

- Czy można się dosiąść? - spytał obcy.

- Proszę - rzekł tamten i jadł dalej, nie zwracając uwagi na przygodnego towarzysza. Kiedy jednak w pewnej chwili spojrzenia obu spotkały się, drgnął, zmarszczył brwi z zastanowieniem, a potem rzekł niepewnie: - Przepraszam... Czy to może pan Jaszewski?

Przybysz wpatrzył się w niego ostrym, zaniepokojonym wzrokiem, zaraz jednak twarz mu złagodniała.

- Tak - odparł. - A pan nazywa się Bieliński, prawda? Janusz.

- Zgadza się! To przecież ty, Heniu?

Uścisnęli sobie ręce, uśmiechnęli się jeszcze niepewnie.

- Czekaj, ile to lat? - Pan w szarym ubraniu policzył w myśli i powiedział: - Jedenaście, co?

- Chyba tak. Kawał czasu.

- Zmieniliśmy się trochę. Ja utylem, a ty, wydaje mi się, schudłeś, chociaż zawsze byłeś suchy jak wiórek. Chorujesz?

- Nie.

Podszedł kelner; Jaszewski nie miał ochoty na późny obiad, więc zamówił tylko kawę.

- Czekasz na pociąg? - spytał, przyjmując od kolegi papierosa.

- Wracam do domu. Do Szczecina. Pojutrze wylatuję do Wiednia, posiedzę tam z dziesięć dni.

- Jedziesz prywatnie czy służbowo?

Bieliński roześmiał się. Miał twarz okrągłą, rumianą, z niedużym nosem nad ciemnymi wąsikami, śmiesznie zakręconymi w górę.

- Służbowo, oczywiście.

- Gdzie pracujesz?

- Ano, kieruję takim przedsiębiorstwem eksportowo-importowym z kapitałem pół na pół naszym i zagranicznym. Nazywa się „Intermex”, może słyszałeś. Rozwijamy się, na przekór kryzysowi - znowu zaśmiał się hałaśliwie. Odsunął talerz z nie dojedzonym kotлетem, sięgnął po kufel z piwem. - Na ogół nie wstępuję do takich knajp jak ta - popatrzał

wzgardliwie po sali. - Ale tak się złożyło, że nie zdążyłem zjeść w „Victorii” ani w „Forum”, więc musiałem tu.

- Kierujesz. To znaczy, że jesteś dyrektorem?

- Naczelnym. Mam dwóch zastępców.

- To pewnie zarabiasz nieźle?

Bieliński wzruszył ramionami, podłubał w zębach.

- Mam, co chcę - rzucił lakonicznie.

- Pamiętam, że na studiach byłeś dobry.

-- A tak. W ogóle jakoś mi idzie, nie mogę się skarżyć. Korzystne układy, ładna żona, mieszkanie umeblowane i działka pod własny dom. Stoi już do pierwszego piętra, wiosną będę kończył. No, ale ty nic nie mówisz o sobie? Przecież razem kończyliśmy chemię. Gdzie wylądowałeś?

- Różnie było.

- A teraz?

- W „czternastce”.

- Co to jest? - zdziwił się dyrektor.

- Przedsiębiorstwo badawczo-rozwojowe. Zapalniki elektryczne, przyrządy kontrolne. Nic specjalnego. - Wzruszył ramionami, bagatelizując swój zakład pracy.

Bieliński przypatrywał się dawnemu koledze z nie ukrywaną ciekawością. Zmienił się nie tylko dlatego, że schudł - myślał. - Ten ostry, cienki nos, usta zaciśnięte jak sznurek, worki pod oczami... A przecież jest w moim wieku, zaledwie trochę po czterdziestce. Tylko brwi mu zostały grube, zwichrzone, zawsze takie miał. Włosy też, nie siwieje, może dlatego, że ciemny blondyn, u nich to później przychodzi. Czy wtedy, na studiach, też był taki nieprzyjemny, jakby z pretensją do innych - o wszystko?

Przypomniał mu się fragment z jakiejś książki, gdzie autor pisze, że co drugi człowiek czuje się kimś więcej niż jest w istocie, uważa, że został stworzony do wyższych celów i ma okropne poczucie ciągłego niedoceniań własnej osoby. Takim, wydaje się, był - a być może i pozostał - ten cały Henryk.

- Ożeniłeś się?

- Byłem.

- Przepraszam. Jesteś wdowcem?

- Nie.

- Nie gniewaj się, sądziłem, że pogadamy tak szczerze, po koleżeńsku. No, a w pracy jak ci leci?

- Tak sobie. Powiedz mi - zawahał się, popił kawy - więc można określić to tak, że zrobiłeś karierę? Duży skok od ukończenia studiów?

Bieliński uśmiechnął się. Pytanie rozbawiło go, osądził je jako naiwne.

- Owszem - odparł. - Chociaż nie uważam tego za koniec mojej kariery, jak to nazywasz. Człowieku, przecież obaj jesteśmy w najlepszym okresie życia! Ludzie dojrzały, wykształceni, w sam raz dla co najmniej kilku jeszcze skoków w górę. To normalne, że chcę awansować, stopniowo polepszać warunki pracy, mieszkania. Teraz jadę do Wiednia, mam tam już nawiązane dobre kontakty. Być może na rok czy dwa przeniesiemy się z rodziną do Austrii, to też szansa na późniejszy awans. Nie rozumiem, że ty... - urwał, nie chciał obrazić kolegi, raczej z wrodzoną energią wolałby mu pomóc, popchnąć do przodu, denerwował go ten wyraźny pesymizm i jakaś apatia.

- Co ja?

- Opuściłeś ręce! To widać. Dlaczego nie próbujesz zmienić pracy, jeżeli ta „czternastka” cię nudzi, nie masz tam satysfakcji z roboty? Dlaczego nie założysz rodziny? Na co czekasz? Aż ci łeb posiwieje, złapie cię zawał albo rak?

Jaszewski nie odpowiedział. Usta wykrzywił mu ironiczny uśmiech. Palił, niedbale strzepując popiół na podłogę. Przechodzący kelner popatrzał na to złym okiem, ale nie miał czasu na wymówki.

- Czy możesz z czystym sumieniem powiedzieć, że ci jest dobrze? - spytał wreszcie. - Że ci los sprzyjał przez te lata?

- Los? Nie, chłopie, ja sam sobie to wszystko wypracowałem, wychodziłem, a raczej wywalczyłem. Owszem, sprzyjało mi szczęście, ale umiarkowane. To prawda, jest mi dobrze. Osiągnąłem wiele, mam zamiar jeszcze więcej. Byłem kilka razy pod wozem, częściej na wozie. - Spojrzał na zegarek, przywołał kelnera. Zapłacił i za kawę Jaszewskiego, tamten nie protestował. Potem wyjął z portfela wizytówkę, podał koledze. - Weź, tam jest mój domowy adres i telefon. Odezwij się gdzieś za dwa tygodnie, będę już z powrotem w Szczecinie.

- Po co?

- No, jak to - roześmiał się - przecież tam mieszkam!

- Ja nie pytam, po co będziesz w domu, tylko po co mam do ciebie się odzywać?

Bieliński zrobił niecierpliwą ruch ręką.

- Ech, ty ofiaro losu! Umieszczę cię w swoim przedsiębiorstwie, mamy kilka filii w Polsce. Chyba nie przyniesie ci ujmy, że dawny kolega będzie twoim dyrektorem? - roześmiał się. - Nie bój się, nie lubię zadzierać nosa. Wymagam po prostu rzetelnej pracy. Przecież to potrafisz?

Nie czekał już na odpowiedź. Wstał, uściskał mu rękę, zabrał podróżną torbę z jasnej ślicznej skóry i wyszedł. Jaszewski patrzył za nim długo, chociaż dyrektor dawno już znikł za drzwiami. Siedział przygarbiony nad pustą filiżanką, aż zniecierpliwiony kelner machnął mu przed nosem serwetą i zabrał naczynia. Kilka osób czekało na miejsce przy stoliku, więc podniósł się ociężale, powlókł do szatni. W płaszczu i kapeluszu wciśniętym na czoło przeniósł się do poczekalni. Usiadł na jednej z ławek, wsunął ręce w kieszenie i opuścił głowę. Za jego plecami dwóch mężczyzn rozmawiało półgłosem.

- I nie mogli go uratować?

- Widać, nie. W tym szpitalu są dobrzy lekarze. Starali się.

- Bardzo się męczył?

- Potem już był nieprzytomny. Chirurg mówił mi, że mózg... czekaj, jak to on się wyraził? Jakoś tak naukowo. Że nastąpiła śmierć kliniczna mózgu. I wtedy już nic się nie poradzi.

- A serce?

- Powiedział, że serce umiera ostatnie. Dlatego biorą je czasem do transplantacji. Rozumiesz, człowiek jest martwy, bo mózg mu wysiadł na amen, ale serce jeszcze bije.

Milczeli chwilę. Jaszewski słuchał z uwagą, na pozór zatopiony w drzemce. Serce? - pomyślał. - Ostatnie. Dlatego, żeby mieć pewność...

- Kitusiu, mogę się do ciebie przysiąc? - Poczł silny zapach perfum, jakaś kobieta przycisnęła się do niego, wionęła przetrawionym alkoholem.

- Poszła precz! - burknął.

Wstał i wyszedł z poczekalni. Dopiero w domu spostrzegł, że nie ma portfela z pieniędzmi. „Atonia” i „Atrofia” w jednym z nocnych lokali bawiły się do świtu.

Major Szczęsny zaszedł do laboratorium, choć mógł po prostu zadzwonić, ale lubił specyficzną atmosferę tego pomieszczenia. Lubiał także porucznika Michalskiego, który miał naturę kostyczną, sposób bycia gderliwy, nos zagięty jak Rak nad rudawymi wąsami i wesołe niebieskie oczy. Wszystko razem nie zgadzało się i dlatego major za każdym razem próbował rozszyfrować niezgłębiony charakter kolegi.

- Co to jest, takie czarne, lepkie? - spytał, dotykając ostrożnie zawartości plastikowego pudełka.

- Autokit - odparł Michalski.

- Masz samochód?

- Miałem. Teraz mam już tylko kit. Coś chciał, majorze?

- Rozwaliłeś wóz? - zaciekał się Szczęsny.

Jemu to się jeszcze nie zdarzyło, za bardzo lubił swego malucha.

- W drobny mak. Ale żyję, jak widzisz. Przyszedłeś po wyniki analizy tego listu „Adámasa”, jeżeli mnie pamięć nie myli.

- Nie myli. Masz?

Porucznik podsunął mu kartkę papieru i dalej zajmował się swoją robotą. Major rzucił okiem, wsunął kartkę do kieszeni, zamyślił się nad czymś.

- To jednak nie był zawodowiec - mruknął na w pół do siebie.

- Morderca z Ogrodu Saskiego? Dlaczego tak sądzisz?

- Oblatany bandyta, wykształcony przez wszystkie kryminały, nie użyłby własnej śliny do naklejenia znaczka i zaklejenia koperty, ale wzięłby zwykłą wodę. A tymczasem mamy już jego grupę krwi: AB-Rh plus.

- Nie napisałem tego, bo nie mam pewności, ale facet choruje na wrzód żołądka. Przypuszczalnie jest po czterdziestce.

- Więc coś już o nim wiemy. Diabelnie mało!

Michalski wytarł ręce, usiadł przy stole pełnym płam, wyżartych kwasem i wypalonych, popatrzał na Szczęsnego i rzekł:

- Znałem sytuację, kiedy po prostu należało czekać na następne zabójstwo tego samego rodzaju. Wiem - uniósł rękę, broniąc się przed atakiem - wiem, że nie wolno tak myśleć, trzeba działać, szukać. No, więc szukasz, ty i ten twój Dębski, nieopierzony żółtodziób... Przetrząsacie meliny, knajpy, dworce, wypytujecie lokatorów na Hożej, Marszałkowskiej, może sięgnęliście już na Pragę i Żoliborz. Zebrałeś mnóstwo domysłów, plotek, znalazłeś przy okazji paru, jak to się mówi „niebezpiecznych przestępców”, wystraszyłeś plotki złodziejskie. I co?

- O co ci chodzi? - wybuchnął major z irytacją. - Mam go szukać w kosmosie? Taka jest nasza cholerna robota i nic na to nie poradzę.

Porucznik milczał, bawiąc się pincetą. W końcu powiedział:

- Ty wiesz, że ja mam rację. Podświadomie czekasz na drugie morderstwo, bo może wtedy on się czymś zdradzi, zostawi jakiś ślad. Teraz znasz jego grupę krwi, jeżeli ten „Adámas” rzeczywiście jest zabójcą Zawilskiego. Przyjąłeś też mój pogląd o jego chorobie i wieku. Następnym razem dowiesz się, powiedzmy, jak wygląda. Albo gdzie mieszka.

Szczęsny wstał, rozejrzał się po laboratorium. Czarne wąskie oczy paliły mu się złym blaskiem. Porucznik trafił bezbłędnie w bolące miejsce. Niemal w trzy tygodnie po

zabójstwie wiedzieli o sprawcy tyle co nic. Nie znali motywu zbrodni, żadnych powiązań z osobą profesora, żadnych śladów, które poprowadziłyby we właściwym kierunku.

Tak, Michalski właściwie miał rację. Nie przyznając się do tego nawet sam przed sobą, Szczęsny bezwiednie czekał na następny krok przestępcy. Jeżeli działa bez motywów, jeżeli to szaleniec, nikt nie będzie w stanie uchronić kolejnej ofiary. A bezsilność to było to, czego Szczęsny nienawidził z całego serca.

Machnął ręką na pieniądze, nie było ich zbyt wiele w portfelu, ale bez dowodu osobistego i legitymacji służbowej nie mógł się obejść. Zwłaszcza przy realizacji planów, które sobie nakreślił. Więc następnego wieczoru znów pojawił się na dworcu, bo sądził, że rozpozna tę kobietę. Wprawdzie widział ją zaledwie dwie, trzy minuty, miała jednak charakterystyczny wygląd prostytutki, nieco już podstarzałej, ten wyraz wymalowanej twarzy z bezczelnym, a jednocześnie przymilnym uśmiechem, rozbiegane oczy pełne tupetu i arogancji.

Posiedział jakiś czas w poczekalni, zaszedł do baru, zajrzał do restauracji, włóczył się w podziemiach dworca, zaglądając wszędzie, gdzie byli ludzie. Tamtego wieczoru zdawało mu się, że kręciły się koło niego dwie dziewczyny, a nie jedna. Ta, która usiadła przy nim, nosiła krótkie futerko z białoszarych królików i włochatą czapkę; ta druga... chyba ciemny płaszcz z lisem wokół szyi?

Szukał teraz kobiet o podobnym wyglądzie, nie mając pojęcia, że „Atonia” i „Atrofia” siedzą w jednej z melin na Północnej Pradze i wcale nie mają zamiaru łapać klientów na dworcu. Nie wiedział również, że nie minie godzina, a ktoś inny znajdzie jego dokumenty i portfel.

Na Pradze bowiem odbywała się tej nocy milicyjna penetracja melin, knajp, prywatnych „przedsiębiorstw” sprzedaży alkoholu, piwnic, podwórek i zakamarków. Metodą zaskoczenia, przy pomocy nieco zwiększonych sił (pożyczyła inna dzielnica), funkcjonariusze wkroczyli w sam środek złodziejsko-pijackiego półświatka, budząc popłoch i przykre zdumienie. W pewnym mieszkaniu na parterze znaleźli dwie przytulone do siebie pary w stanie takiego upojenia denaturatem, że żadne z nich nie było w stanie nawet unieść głowy z brudnego wyra. Na kulawym stołku leżały resztki kiszzonego ogórka i kromka chleba. Poza wyrkami bez pościeli i stołkiem nie było w mieszkaniu nic.

- Właściwie trzeba by ich wszystkich do szpitala - powiedział kapral z zafrasowaniem.

- Człowieku, a który szpital ich przyjmie? - sierżant wzruszył ramionami. - Nawet do Izby nie warto. To już wraki. Próbowaliśmy dziesięć razy coś z nimi zrobić, gdzieś umieścić, ale zawsze uciekali.

Podszedł do jednego ze śpiących mężczyzn, rozgarnął mu nigdy chyba nie praną marynarkę, wyjął z kieszeni zatłuszczony, poplamiony papier. Kapral zajrzał mu przez ramię.

- Tydzień temu wyszedł z kicia - mruknął. - Sześćdziesiąt trzy lata. Mieszka w Wołominie. To on tak do niej? - Pokazał na kobietę.

Mała, zasuszona, owinięta w brudne szmaty, przyłgnęła do boku mężczyzny, nie zwracając żadnej uwagi na milicjantów.

- Chodźmy! - Sierżant machnął ręką, odłożył dokument na stołek. Wyszli z meliny. - Z pomocy społecznej dawali im ubrania, kartki do baru mlecznego na obiady, nawet jakieś meble. Co z tego? Po paru dniach już nic nie było, wszystko sprzedali i przepili. - Podszedł do radiowozu. - Wzywali nas? - spytał kierowcy.

- Jak dotąd, nie.

- To pojedziemy na Brzeską. Wiesz, Kazek, tam gdzie w zeszłym tygodniu...

- Wiem - przerwał kierowca.

Zapuścił silnik, ruszyli przez zapełnione tłumem przechodniów uliczki Pragi. Ruch przedsięwziętchny gnał ludzi do sklepów i na targowiska. Zatrzymali się dwa domy od wytypowanego, żeby nie wzbudzić niepożądanego zainteresowania. Podoficerowie wysiej dli, sierżant wsunął rękę za pas, poprawił pistolet; szli po cywilnemu, tutaj mundur z daleka płoszył i ostrzegał. Zagłębili się w mroczne podwórko, minęli cuchnący śmietnik.

- Już wiem - rzekł kapral półgłosem. - Byłem tu ze Staszkiem w listopadzie w czasie akcji. Ale wtedy lokal stał pusty.

- Dzisiaj z pewnością jest pełny - szepnął sierżant. - Na mojego nosa trafimy bez pudła.

Skręcili w prawo, ostrożnie schodzili w dół do piwnic. Mieli latarki, ale lepiej było na razie ich nie używać. W zupełnie ciemnym korytarzu każdy promień światła mógł wywołać zbyteczne zaciekawienie. Przystanęli u wejścia, nadsluchiwali. Gdzieś z jednej piwnicy dolatywał szmer głosów, podśpiewywanie.

- Trzecia z lewej - sierżant nie miał już wątpliwości. - Są!

Załomotali do drzwi, rozbłysły latarki. Głosy ucichły, jakby kto nożem uciął.

- Otwierać! Milicja.

Cisza. Tylko ostrożne kroki pod drzwiami.

- Otwierajcie, ale już!

- Zamknij mordę, bo ci ją zamknę! - Męski głos zarechotał urągliwie.

- Nie otworzysz, drzwi wyważymy. Będzie z wami krucho.

W melinie zakotłowało się, słycać było stukot pośpiesznie chowanych butelek.

- Nie zwieją okienkiem? - szepnął kapral.

Sierżant potrząsnął głową; okienka w tych piwnicach zabito deskami na głucho.

- No? Jak długo mam czekać?!

- Panie władza, bez nerw, już otwieram - zajęczał przepity głos. - Już się robi, już!

Ktoś poczłapał do drzwi, przekręcił klucz, odsunął zasuwę. W ostrym świetle latarek zobaczyli dwie kobiety i dwóch mężczyzn, usadowionych-na starym materacu. Paliły się świece, dokoła pełno było brudnych naczyń, resztek jedzenia i niedopałków.

- Witam szanowne grono - powiedział sierżant, przypatrując się bacznie twarzom. - Znamy się, aż za dobrze się znamy! Wyłażcie, ślicznotki. Zawsze się myślę, która z was „Atonia”, która „Atrofia”. Ale zaraz będę wiedział. A panowie skąd? - Oczy mężczyzn mrużyły się od światła, przysłaniali je rękoma. - O, to przecież też starzy znajomi. „Lolek” z Dzielnej i „Szczeniaczek” aż z Toruńskiej. Czy to warto targać się taki kawał drogi?

Za plecami sierżanta stali już kapral i kierowca w mundurze.

- Zabieramy wszystkich? - spytał kapral.

- A po co? Weźmiemy tylko dowody osobiste panów, do sprawdzenia. Na dzień dzisiejszy do was dwóch nie mamy pretensji. I miejsca w „dołku” nie za wiele. - Schował dowody, przyjrzał się jeszcze raz twarzom mężczyzn. - Po dokumenty proszę się jutro zgłosić w Urzędzie. Tak. Do widzenia panom! - Kiedy wymknęli się z piwnicy, sierżant zwrócił się do obu kobiet, które patrzyły na niego wyczekująco. - Panienki pojedą z nami. Tak się akurat składa, że leżą u nas dwie skargi o kradzież.

- Panie władzo, my jesteśmy... hep! w porządku! - „Atonia” zabrała głos, ale czknęło jej się nieładnie i umilkła, speszona.

- Myśmy, prawda, trochę popiły ze znajomymi - zastąpiła ją „Atrofia” - ale przecież to nic złego. Chłopaki przynieśli pół litra, nie więcej, żebym tak zdrowa była. Co to jest pół litra na czworo?

- Nic - przyznał sierżant. - Tylko, że to było po pół litra na osobę. A to już jest coś. No, idziemy! W piwnicy się nie pije, nie pali papierosów, nie świeci świeczkami, zaraz lokal zamkniemy, opieczętujemy... Przejrzyj to barachło - powiedział do kaprala. - Może się co znajdzie.

Znalazł się portfel męski z dokumentami. „Atrofia” syknęła gniewnie, szturchnęła koleżankę pięścią w brzuch, aż ta jęknęła boleśnie.

- Mówiłam, żebyś tego ze sobą nie targała? Mówiłam. Przez twój dumny łeb będzie nieprzyjemność.

- Zapomniałam - „Atonia” zgięła się w pół, zrobiło jej się niedobrze.

Nie miała jednak pretensji, uderzenie było zasłużone.

- Panie władzo, to nie nasze! - krzyknęła „Atrofia”, olśniona pomysłem. - To przyniósł „Szczeniaczek”. Znalazł portfel w autobusie. Tak mówił.

Sierżant miał dobry słuch i nic, co między sobą szeptały, nie uszło jego uwagi. Pokiwał głową z ubolewaniem.

- Ładnie tak zwalać na chłopaka? Idziemy!

ROZDZIAŁ 3

- Gruss Gott! Kompliment der Herr.

Kelner kłaniał się z uśmiechem na szerokiej, pogodnej twarzy, wskazywał wolny stolik. Bieliński pozdrowił go uprzejmie. Za każdym pobycem we Wiedniu wstępował tu na kawę, a także na tort Sachera z bitą śmietaną. Było to karygodne złamanie przepisów odchudzającej diety, na co pozwalał sobie jedynie za granicą, daleko od argusowego oka żony.

Wesoły kelner przyniósł bez pytania szalkę z dużą kawą (tu nie podawano jej w szklankach ani filiżankach, tu był Wiedeń) i potężny kawał tortu, obficie zdobionego śmietaną. Bieliński westchnął z upodobaniem. Lubił dobrze zjeść. Na stoliku znalazła się również szklanka z czystą wodą według miejscowego zwyczaju.

Kończył dzisiaj tygodniowy pobyt w Austrii, zadowolony z przebiegu niezliczonych rozmów o interesach, z nawiązania nowych kontaktów i umocnienia dawnych. Podpisał dwie korzystne dla „Intermexu” umowy, co w połowie grudnia mógł śmiało nazwać przekroczeniem planu eksportu i importu zarazem.

Będą premie świąteczne - myślał, delektując się smakiem ciasta. - To dobrze.

Lubił sprawiać swym pracownikom miłe niespodzianki. Jego urzędnicza kariera odbywała się w błyskawicznym tempie, piał się w górę odpychając konkurentów, zręczny i bystry, umiejący w porę dostrzec, czego pragnie władza, i pragnieniom tym sprostać. Ale kiedy już stanął na wierzchołku - nie rezygnując z dalszego wspinania się, bo tych szczytów miał przed sobą jeszcze mnóstwo - potrafił popatrzeć zyczliwie na tych, co mozolnie gramolili się po szczeblach maleńkich awansów. Umiał wynagradzać, dawać drobne upominki, kosztowało niewiele, a wzbudzało podziw i uznanie.

Przyszedł mu raptem na myśl ów smętny, przygarbiony kolega, którego spotkał w restauracji dworcowej w Warszawie. Ten cały Jaszewski. Wprawdzie obiecał mu pomoc w załatwieniu lepszej pracy, ale nie przywiązywał do tej obietnicy żadnej wagi. Lekceważył ludzi nieporadnych, biernych, „nieudaczników” życiowych. Cenił nade wszystko spryt, cwaniactwo - jeżeli nie dotyczyło jego osoby, a także umiejętność współżycia.

Dokończył tortu i kawy, zapłacił, wyszedł na ulicę. Samolot odlatywał nazajutrz rano z lotniska Schwechat, autobus odjeżdżał z Air Terminal przy hotelu „Hilton”. Wystarczyłoby mu wprawdzie pieniędzy na taksówkę, chociaż te siedemnaście z górą kilometrów zabierało

zwykle kilkaset szylingów. Chciał jednak kupić prezenty dla żony i dziesięcioletniego Zbyszka, do świąt pozostał przecież zaledwie tydzień.

Chodził więc po śródmieściu, kręcił się w pobliżu handlowego centrum ulic Graben, Kohlmarkt i Mariahilfer Strasse, przyglądał się eleganckim wystawom i liczył w myśli zawartość portfela. Bardzo mu się podobały piękne wyroby artystyczne z porcelany, skóry i szkła, przeważnie ręczne i dlatego drogie. W końcu zdecydował się na barwny wazon, torebkę z dwukolorowego zamszu, a dla syna oczywiście wspaniałe lego. Postanowił jeszcze przed wyjazdem wysłać pocztówkę z widokiem miasta, bo obiecał to swojej sekretarce, z którą od czasu do czasu łączyły go nie tylko sprawy służbowe. Wybrał w kiosku taką z Hofburgiem, ongiś rezydencją cesarską, napisał kilka obojętnych pozdrowień (atrament plami!). Rozejrzał się za skrzynką pocztową, ale długo nie mógł znaleźć, zanim nie uświadomił sobie, że szuka wzrokiem czerwonych, podczas kiedy tutaj są żółte.

Wrócił do hotelu, rad z zakupów. W restauracji zjadł ulubiony przysmak, specjalność wiedeńską - pieczoną mieszanę z mielonych wątróbek, do tego piwo. Zostawił kelnerowi przyzwoity napiwek i poszedł spać. Zbudził się w środku nocy pod wpływem koszmarnego, dziwnego snu. Oto znajdował się w jakimś mieszkaniu, obcym i zimnym, siedział w fotelu skrzepowany sznurem, bolały go ręce i żołądek, a przed nim stał wiedeński policjant w czarnych spodniach, ciemnozielonym mundurze i takiej czapce. Stał, groził mu palcem i powtarzał, nie wiadomo dlaczego po polsku: - Koniec kariery! Koniec kariery!

Ocknął się obłany zimnym potem, choć z tutejszą policją nigdy nie miał zatargów, z polską zresztą też. Kołdra leżała na podłodze.

- Za tłuste były te wątróbki - szepnął, owijając się szczelnie, bo zmarzł.

W Szczecinie znalazł się dopiero po dwóch dniach, załatwiwszy w stolicy urzędowe sprawy.

Żona powitała go ciepło i gadatliwie, syn spoglądał tęsknym wzrokiem na wyładowaną walizę, ale wiedział, że musi czekać, aż prezenty znajdą się pod choinką.

W biurze jak zwykle wszystko szło normalnym trybem; pracowano pilnie od momentu, kiedy woźny dojrzał przed budynkiem nadjeżdżający czarny mercedes dyrektora i ogłosił alarm. Bieliński z zadowoleniem siadł za swoim potężnym, palisandrowym biurkiem (z tym palisandrem to nie było takie pewne). Tutaj dopiero czuł się na właściwym miejscu. Zwołał konferencję zastępców i naczelników, poprowadził ją w dobrym tempie, pod koniec

przycoczył nawet aktualny wiedeński kawał, krążący po kawiarniach. Kiedy odeszli, wezwał głównego księgowego, chciał raz jeszcze sprawdzić bilans.

- Co tam słyhać, panie Darlicki? - spytał, przeglądając dokumenty.

- W biurze czy tak w ogóle, panie dyrektorze? - Główny księgowy lubił dokładność.

- Powiedzmy, w ogóle?

- A, w ogóle to nieźle.

Po tej interesującej wymianie zdań Bieliński uczuł coś w rodzaju zgagi, mogło to być zresztą wspomnienie wiedeńskich wątróbek. Wyjął z szuflady tabletki, wrzucił jedną w usta, ale wpadła nie tam, gdzie trzeba. Zakrztusił się, poczerwieniał, łapał ustami powietrze i wyraźnie oczekiwał pomocy. Główny księgowy przeżył chwilę grozy (własnego dyrektora?!), przypomniał sobie jednak, że od trzech lat omijają go premie kwartalne, i walnął służbową osobę z całej siły w plecy.

Bieliński zapiął jak zarzynany kogut, tabletki z powrotem znalazła się na biurku. Dyrektor odetchnął z ulgą, spojrzał na podwładnego i powiedział:

- Bardzo dziękuję!

Główny księgowy zabrał dokumenty, wycofał się rakiem do drzwi, zamknął je i w radosnych podskokach pognał korytarzem do swego pokoju.

Bieliński przy obiedzie opowiadał żonie o pobycie w Wiedniu, pominąwszy pewien drobny szczegół, o którym nie musiała wiedzieć. Dodał, że zaraz po świętach pojedzie do Warszawy, przed Nowym Rokiem należało odbyć ze dwie, trzy konferencje w ministerstwie.

- Aha - przypomniała sobie - kiedy byłeś w Austrii, dzwonił tu do ciebie naczelnik z ministerstwa.

- Jaki naczelnik? - Zdziwił się. Naczelnicy dzwoniли do biura, nie do prywatnego mieszkania.

- Nowacki.

- Z jakiego departamentu?

- Nie pytałam. Sądziłam, że będziesz wiedział.

Zastanawiał się chwilę, ale nie znał żadnego Nowackiego z żadnego departamentu.

- I co chciał?

- Pytał, kiedy wracasz. Powiedziałam, że za parę dni. Prawdę mówiąc, poradziłam mu, aby zapytał twojej sekretarki. Ona lepiej zna twoje plany i terminy powrotów. Czy nie mam racji?

Bieliński przyjrzał się żonie podejrzliwie. Temat sekretarki wolał ominąć.

- Będę w Warszawie, to się dowiem, co to za Nowacki - mruknął.

Pod wieczór wyszedł na miasto. Mieszkali przy Zamenhofa, niedaleko placu Grunwaldzkiego, w samym centrum Szczecina. Mimo drugiej połowy grudnia zima nie pojawiła się jeszcze; mżył drobny deszcz, od brzegów Odry ciągnęła wilgotna mgła. Bieliński nie wziął samochodu, potrzebował ruchu własnych mięśni, zasiedziały w biurze i w domu.

Kiedy skręcał w aleje Wojska Polskiego, zdawało mu się, że człowiek, idący za nim od pewnego czasu, skręcił również. Nie przywiązywał do tego wagi, mimo woli jednak obejrzał się. W sylwetce wysokiego mężczyzny było jakby coś znajomego, nie widział twarzy, pobłyskiwały tylko duże okulary. W alejach przechodnie rozdzielili ich i Bieliński zapomniał o tym, zajęty oglądaniem wystaw sklepowych.

Ale w kilka minut później, mijając hotel „Pomorski” i sklepy Cepelii, zobaczył znowu tego człowieka. Ktoś znajomy - pomyślał. Zaczęło go męczyć pragnienie przypomnienia sobie nazwiska, a choćby imienia. Z „Intermexu”? - zastanawiał się. - Kumpel od jakiejś kolacji albo od brydża? Zagraniczny gość, z którym przeprowadzałem rozmowy handlowe? - Zirytowany tym, blahym w końcu, wydarzeniem zawrócił raptownie, aby spojrzeć idącemu za nim prosto w twarz i uspokoić pamięć. Mężczyzna w okularach znikł jednak gdzieś w bramie czy sklepie i Bieliński prawie ucieszył się, że już nie musi sobie przypominać.

W godzinę potem, załatwiwszy kilka drobnych, sprawunków, wracał ulicą Śląską, bo tak mu było bliżej do domu. Wtedy dostrzegł, że ów znajomy-nieznajomy idzie przed nim w odległości może dziesięciu kroków. To nie mógł być przypadek, zbyt wiele spotkań jednego wieczoru, na tej samej trasie w tak dużym mieście.

Może on po prostu idzie do mnie? - przyszło mu na myśl. - Zaraz spotkamy się przed bramą i sprawa się wyjaśni. Tylko kto to jest, u licha? Czyżby ten jakiś Nowacki z ministerstwa?

Przyśpieszył kroku. Lecz kiedy nie dzieliło .ich więcej niż dwa, trzy metry' i mieli właśnie skręcić na plac Zamenhofa, z najbliższej bramy wypadło kilku rozgadanych, pokrzykujących chłopaków. Jeden otarł się o Bielińskiego, roześmiał się hałaśliwie, pognali ukosem przez jezdnię, uciekając spod maski samochodu.

- Łobuzy! Życie wam niemiłe? - zawołał w ich stronę, ale już odbiegli daleko. Stał chwilę, rozejrzał się za rzekomym Nowackim czy kim on tam był. Nie znalazł wysokiej sylwetki w okularach. - Bez sensu - mruknął, postanowiwszy natychmiast zapomnieć o wydarzeniu. Czy to zresztą w ogóle było jakieś wydarzenie? Zdawało mu się, przechodzień akurat szedł jego trasą, bo tak mu wypadło, i tyle.

To wszystko działo się we czwartek. Piątek miał zajęty konferencjami od rana do późnego popołudnia, przyjechali dyrektorzy z oddziałów „Intermexu”, składali sprawozdania

z całorocznej pracy. Do bramy domu, w którym mieszkał, wszedł zmęczony, przesiąknięty dymem papierosów, z głową spuchniętą od bilansów, planów i liczb. Otrzeźwiało, kiedy na podeście pierwszego piętra zobaczył jego.

- Znowu? - warknął, zły i czegoś niespokojny. Aby dojść do własnych drzwi, musiał go minąć. Czeka! - pomyślał. - Teraz mi nie uciekniesz. Niech ja wreszcie wiem, o co tu chodzi.

W tej samej chwili ktoś otworzył drzwi na pierwszym piętrze i człowiek w okularach wszedł do tamtego mieszkania.

Bieliński przystanął, niezdecydowany. Nie znał tych lokatorów. W ogóle nie utrzymywał towarzyskich kontaktów z nikim w kamienicy. Liczył na szybkie dokończenie willi i przeprowadzkę; nie warto było nawiązywać przelotnych znajomości. Zresztą Bieliński doceniał wysoki szczebel swego stanowiska i - jak mawiał do żony - „z byle kim nie będę się zaprzyjaźniał”. Podzielała jego pogląd, miała dość przyjaciółek w całym Szczecinie,

„Balcerzak Jan” - przeczytał wizytówkę na drzwiach. Wzruszył ramionami i nagle rozjaśniło mu się w głowie. Oczywiście! To musiał być ten sąsiad, widywali się pewnie na schodach, dlatego wydawał mu się znajomy.

Przy kolacji zapytał syna, czy zna lokatorów z pierwszego piętra.

- Których? - Zbyszek popatrzał na ojca niepewnie.

Wiedział, że jego „starzy” nie kontaktują się z sąsiadami; on jednak miał tu kilku kolegów i jedną sympatię. Właśnie na pierwszym piętrze.

- Chodzi mi o tego, który nazywa się Jan Balcerzak.

- To tata mojego kolegi, Ryśka. Chodzimy przecież do jednej klasy.

- Widziałeś kiedy jego ojca?

- Pewnie. Czasem tam chodzę - odparł i najeżył się, na wszelki wypadek.

Ale Bielińskiemu było to akurat na rękę.

- Powiedz mi, jak on wygląda.

Żona spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Do czego ci potrzebny wygląd jakiegoś Balcerzaka?

Jej mąż pominął pytanie milczeniem.

- Taki mały, gruby. Łysy jak Kojak - roześmiał się chłopiec. - Mają psa. Też mały i tłusty. Pan Balcerzak pracuje w Elewatorze Zbożowym, wie tata, przy półwyspie Ewa. A jeździ zielonym volkswagenem.

Bieliński w tym momencie przestał interesować się osobą Jana Balcerzaka. Widocznie ktoś przyszedł do niego - myślał, kładąc na chleb plaster zimnego schabu i ozdabiając to ketchupem. - Tylko dlaczego wydawał mi się znajomy? E, pewnie kogoś przypominał.

Do Warszawy jeździł najczęściej nocnym pociągiem, aby nie tracić czasu. Samolotów nie lubił, latał jedynie wtedy, kiedy było to konieczne, a odległość znaczna. Zaraz po świętach późnym wieczorem kierowca odwiózł go na dworzec. Bieliński wykupił przedział sypialny pierwszej klasy, a tak się złożyło, że drugiego miejsca nikt nie zajął, co przyjął z zadowoleniem. Nie znosił przypadkowych towarzyszy podróży, nigdy nie wiadomo, na kogo człowiek natrafi.

Papierosa wypalił na korytarzu, aby nie zadymiać sypialni. Postał potem jeszcze z kwadrans przy oknie, przeszedł się wzdłuż przedziałów, pogadał chwilę z konduktorem. W końcu uczył senność, więc zawrócił do siebie, nałożył piżamę i szybko zasnął.

Pociąg miał czterdzieści minut opóźnienia, na warszawski Centralny zajechał „po czasie”, co zresztą zdarzało mu się dosyć często i pasażerowie przyzwyczaili się. O szarym poranku wychodzili z walizkami znużeni podróżą, ziewający, rozespani. Konduktor czekał aż opróżni się jego wagon sypialny. Kiedy zdawało mu się, że wyszli już wszyscy, zaczął odsuwać drzwi, tak dla porządku, bo czasami ktoś miał mocny sen i nie ruszył się spod koca. Ot, tak właśnie jak ten z pierwszej klasy, który...

Konduktor zatrzymał się jak wryty i patrzył osłupiałym wzrokiem na dolne poślanie. Człowiek, leżący na nim, wyglądał strasznie. Białe powleczenie koca zalane było czymś ciemnoczerwonym, prawie czarnym, w miejscu gdzie znajdowała się klatka piersiowa. W otwartych oczach zastygł wyraz głębokiego przerażenia.

- Boże mój! - szepnął konduktor. - Co tu się stało?

Ostrożnie nachylił się nad leżącym, dotknął jego twarzy, zimnej i martwej. Krwotok? - myślał gorączkowo. - Uderzył się w nos? W głowę? Nie, to by krew była i na twarzy. Co on zrobił?

Rozejrzał się bezradnie, popatrzał po siatkach, walizce, podłodze. Wyglądało na to, że pasażer wieczorem zwyczajnie rozebrał się, ułożył rzeczy i zasnął. Marynarka i spodnie wisały na ramiączkach, buty stały przy umywalni. Okno? Zasłona opuszczona, szyba zamknięta. W powietrzu unosił się przykry, mdły zapach stężalej krwi.

Wyjął chustkę, przetarł spoconą twarz. Potem zamknął przedział swoim kluczem, następnie cały wagon z obu stron i wybiegł na peron. Komisariat Kolejowy. Milicji Obywatelskiej znajdował się w podziemiach dworca i tam też, zadyszany i przerażony, wpadł

konduktor. Wkrótce w jego wagonie zjawili się funkcjonariusze - wpraw z komisariatu, w jakiś czas później ze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

Lekarz medycyny sądowej stwierdził śmierć wskutek przebicia prawej komory serca narzędziem długim i ostrym. Jak sztylet.

- Jak co? - spytał major Szczęsny, usłyszawszy ostatnie zdanie.

Daniłowicz, który czytał półgłosem meldunek, powtórzył:

- Jak sztylet. Myślisz, że...?

- Nie wiem. Pokaż!

Siedział nad dokumentem o wiele dłużej, niż wymagało jego przewertowanie. Gryzł końcówkę długopisu, pogwizdywał cicho, melodyjnie, wypalił papierosa. Milczał.

- Dobrze. Zajmij się tym zabójstwem - powiedział pułkownik. - Zobaczymy, czy ma coś wspólnego z tamtym.

Szczęsny, zabrawszy porucznika Dębskiego, do którego już się przyzwyczaił, pojechał do Zakładu Medycyny Sądowej. Chciał upewnić się, czy jego podejrzenie jest słuszne. Wysiedli przed ponurym gmachem, weszli do holu. Dębski niespokojnie poruszył nosem i zatrzymał się. W całym budynku wisiał w powietrzu specyficzny zapach śmierci.

- Muszę? - popatrzył na majora.

Nie wiedział, co w nim przeważa: zdyscyplinowanie czy gwałtowna reakcja organizmu.

- Nic strasznego - rzekł Szczęsny. - Przy dziesiątej sekcji wrażenie słabnie, a po dwudziestej człowiek już nie pamięta, może nawet od razu iść na obiad.

Porucznik zagryzł wargi. Obiad to była ostatnia rzecz, na jaką miał teraz ochotę. Szedł jednak posłusznie za majorem i postanowił, że wejdzie tam, bo musi, bo to jego służba i zawód.

- Poradzę ci - zlitował się Szczęsny. - Patrz na nieboszczyka wyłącznie z punktu widzenia śledztwa. Rozumiesz? Szukaj przyczyny śmierci, śladów przestępstwa, zastanawiaj się, co to był za facet, oceniaj go z wyglądu. Martwy człowiek może nam wiele powiedzieć, rzecz w tym, żeby go zrozumieć.

W sali prosektorium Szczęsny natychmiast przestał się zajmować porucznikiem, a całą uwagę skupił na zwłokach. Lekarz-anatomopatolog, który znał majora, rzucił tylko kilka zdań objaśniających i odszedł do swoich zajęć. Szczęsny przyglądał się ranie, porównywał ją w myślach z tamtą, zadaną nieznaną ręką w Ogrodzie Saskim. Sztylet - rozważał - albo długi, ostry nóż. Raczej sztylet. Ten sam kierunek uderzenia: z góry, prosto w serce. A więc w leżącego. Żadnych śladów ogłuszania, żadnych sińców na głowie... Spał? Nie słyszał

odsuwania drzwi? Trzeba sprawdzić, czy brał środki nasenne, sekcja z pewnością wykaże. Może miał bardzo mocny sen. Jechał sam w przedziale. Gdzie był wtedy konduktor? Co robił? Mnóstwo pytań. Mnóstwo roboty.

- Mnóstwo roboty - powtórzył głośno i rozejrzał się za Dębskim.

Porucznik stał obok niego blady, ale pełen głębokiej satysfakcji, że zwyciężyło w nim, co powinno było zwyciężyć. Mimo to był wielce rad, kiedy wreszcie opuścili gmach i wsiedli do radiowozu.

- Taki sam cios - powiedział major do swego szefa, referując mu zwięźle, co zobaczył.

- Też z góry, w leżącym. Stefan, to wszystko zaczyna mi się bardzo nie podobać. W kraju grasuje jakiś szaleniec, posługujący się sztyletem. Nic nie zabiera, nie niszczy, bo i tutaj zostawił swej ofierze pieniądze, zegarek, wszystkie rzeczy. Tylko zabija.

- „Adámas”? - mruknął Daniłowicz pytająco.

- Jestem pewien, że niedługo przyjdzie drugi list. Cholera, nie rozumiem motywów! Oczywiście, będziemy szukać jakichkolwiek powiązań profesora Zawilskiego z dyrektorem Bielińskim, ale przypuszczalnie ich nie będzie. Słuchaj, o co temu mordercy chodzi? Jak myślisz? Pod jakim kątem wybiera swoje ofiary?

Pułkownik milczał chwilę. W końcu rzekł:

- Jeżeli to jest rzeczywiście szaleniec, to niezwykle sprytny. Zwróć uwagę, że musiał przedtem obserwować tych ludzi, bo skąd by wiedział na przykład, że Zawilski akurat tego wieczoru zapuści się do Ogrodu Saskiego? Że Bieliński pojedzie właśnie tym, a nie innym pociągiem? Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie. Gdybym znał motyw jego postępowania, pewnie połowę roboty mielibyśmy za sobą.

Szczęśny potwierdził ruchem głowy. Spojrzał na Dębskiego, potem na zegarek i wstał z krzesła.

- Idziemy na obiad. Chyba ci już przeszło?

Zjedli w kasynie, pojechali na Szczęśliwice, gdzie odstawiono wagon sypialny ze Szczecina, zamknięty na najbliższe godziny śledztwa. Zgnębiony konduktor siedział w służbowym przedziale, czekał na oficerów. Od samego rana bez ustanku rozważał na wszystkie strony jedno i to samo: czy to był ktoś z innego przedziału? A jeżeli nie, to z którego wagonu? Kiedy wszedł i wyszedł? Miał oczywiście na myśli mordercę, bo absurdalnym byłoby sądzić, że pasażer ni stąd ni zowąd sam przebił się nożem lub czymś takim. Chociaż...

Usłyszał stukanie do drzwi peronowych, zerwał się, wyszedł otworzyć. Dwaj cywile i jeden mundurowy z komisariatu, tego znał. Za nimi wyłonił się technik z walizką śledczą i

fotograf. Wprawdzie rano wykonał już mnóstwo zdjęć, ale major wolał go mieć pod ręką na wypadek odnalezienia nowego śladu.

- Chciałbym wpieryw usłyszeć od pana, jak przebiegała podróż ze Szczecina do Warszawy - powiedział Szczęsny.

Usiedli z Dębskim w służbowym przedziale. Konduktor potarł czoło, skrzywił się bezradnie.

- No, więc - zaczął, próbując skupić myśli. - Chodzi o tego pana, który nie żyje?

- O wszystko. Ze szczegółami.

Mówił, zacinając się, przerywał co chwila, a wówczas wlepił wzrok w oparcie kanapy, jakby tam miał napisany dalszy ciąg. Opowiedział, że „ten pan” zajął jeden z dwóch przedziałów pierwszej klasy, drugie łóżko było wolne. Na początku jazdy kręcił się trochę po korytarzu, to pamięta, bo nawet zaszedł do niego, tutaj, do służbowego, poprosił o kawę, ale akurat nie było. Porozmawiali chwilę.

- O czym?

- Panie, czy ja pamiętam? Chyba... zaraz, chyba spytał, o której będziemy w Warszawie i czy częste są spóźnienia. Aha, jeszcze chciał się upewnić, czy mu w drodze nie dodam pasażera na to wolne łóżko. No, to mu powiedziałem, że nie, nie mam nikogo w grafiku. Ucieszył się, mówił, że nie lubi z obcymi spać. I poszedł. Już go więcej nie widziałem żywego.

- Co pan robił w trakcie jazdy?

- Jak zwykle. Siedziałem tu, jeszcze dwóm takim z przedziałów drugiej klasy podałem herbatę. Trochę się zdrzemnąłem.

- Nie słyszał pan żadnego krzyku? Biegania po korytarzu?

- Nie. Gdyby coś, to ja bym przecież wyszedł zobaczyć.

- Drzwi z obu stron do sąsiednich wagonów były zamknięte czy otwarte?

Konduktor zawahał się, poczerwieniał. Może zełgać? - pomyślał w popłochu.

- To znaczy, że otwarte - stwierdził major. - Przychodzili z tamtych wagonów po napoje. Ilu miał pan pasażerów drugiej klasy?

- Jedenastu, w tym trzy kobiety.

- Ilu jechało służbowo, ze zniżką? Chodzi mi o to, czy pamięta pan chociaż jedno nazwisko z legitymacji?

- Nie pamiętam. Zdaje się, że zniżkowych biletów miałem cztery.

- Tamten drugi przedział pierwszej klasy był pusty?

- Tak.

- Sprawdzał pan?

- No, w nocy nie zaglądałem, bo po co? Jak w grafiku miałem wolny, to znaczy, że... - Umilkł, wytarł rękawem spoconą twarz. - Takie nieszczęście! - poskarżył się, nie wiadomo komu. - Że to na mnie musiało trafić, psianoga.

W przedziale opieczętowanym i pilnowanym przez milicjanta Szczęsny wpierw długo rozglądał się, obmacywał wzrokiem każdy szczegół maleńkiej sypialni, patrzył na zakrwawioną pościel, na walizkę, ubranie i buty zabitego. Podeszedł do okna, obejrzał je dokładnie, nie dotykając. Potem technik wykonywał swoją pracę, zbierał linie papilarne palców na czym się dało, jakieś drobiny pyłu, strzępki materiałów.

- Każde linie inne - powiedział w pewnej chwili. - Przebywało tu co najmniej pięć osób.

- Ja przygotowywałem pościel - wtrącił konduktor - to moje też będą. I pewnie sprzątaczkę.

- Naprawdę nie pamięta pan choć jednego nazwiska z legitymacji? - Szczęsny przewiercił go wzrokiem, taki ważny świadek, a żadnego z niego pożytku. - Może zna pan kogoś z pasażerów, który często jeździ tą trasą?

- To właśnie on. Ten zabity. Już kilkakrotnie miałem go w swoim wagonie. A tamtych... - Potrząsnął głową. - Nie. Nikogo.

- Czy zapamiętał pan, kto spał w przedziale tu obok? W drugiej klasie? - spytał porucznik Dębski.

Twarz konduktora rozjaśniła się.

- Wiem! - zawołał. - Trzy baby. To znaczy, kobiety. Trzy panie. Dwie młode, jedna raczej starsza - chciał być delikatny.

- A w następnym?

- Nie przypominam sobie. Dwóch spało, jedno łóżko było wolne. Ale żadnej twarzy, żeby pan mnie zabił...! Tyle lat jeżdżę, co noc inni wsiadają. Znajomych to bym spamiętał, obcych nie.

W godzinę później Szczęsny tak relacjonował swemu szefowi:

- Zabójcą mógł być jeden z ośmiu pasażerów drugiej klasy, jeżeli wyeliminować trzy kobiety, co wcale nie jest takie słuszne. Mógł być nim również którykolwiek z pasażerów sąsiednich wagonów. Przychodzili do służbowego przedziału po napoje czy papierosy, kręcili się po korytarzu. Na stacjach, jak mówił konduktor, nikt nie wsiadał do sypialnego, drzwi na perony były zamknięte na klucz. Wdrapanie się oknem odpada, perony są oświetlone, zresztą... - umilkł, a potem kontynuował: - Okno zamknięte od wewnątrz, ale oczywiście

mógł to zrobić morderca. Linii papilarnych sporo, jedno konduktora, drugie denata, reszta nieznaną. Widać nie sprzątają dokładnie. Słuchaj, pojedę do Szczecina. Pogadam z rodziną, może coś się wyjaśni. Jurek - zwrócił się do Dębskiego - ty idź na Hożą do Zawilskich.

- Rozumiem - odparł porucznik. - Ewentualne powiązania z dyrektorem.

- Tak. Chociażby ślad tych powiązań. Wypytaj zwłaszcza synów, bo Elżbieta Zawilska choruje.

- W tej sytuacji nie pozostaje nic innego, jak czekać na drugi list - rzekł Daniłowicz.

Nie mylił się. Major poleciał do Szczecina wczesnym rankiem, a w południe poczta przyniosła kopertę, zaadresowaną na wydział kryminalny. Również zwykła niebieska, pismo maszynowe, chociaż, jak stwierdził, tym razem nadawca pisał na innej maszynie. Spryciarz! - pomyślał, otwierając list. „Adamas” donosił swym ironicznym, zarozumiałym tonem:

„To oczywiście znowu ja. Mówię o zabójstwie Janusza Bielińskiego w wagonie sypialnym ze Szczecina do Warszawy. I znowu nie znajdziecie żadnych śladów. Żadnych też powiązań pomiędzy Antonim Zawilskim a drugą ofiarą. Przykro mi, że sprawiam wam tyle kłopotów i trudu. Ale w końcu wykonujecie tylko swoje obowiązki. Chciałbym dodać, że nie kieruje mną żadne negatywne uczucie w stosunku do milicji. Jesteście mi absolutnie obojętni. Przyczyna mego działania jest zupełnie inna, ale i tak jej nie poznacie. Dlatego nie potraficie mi przeszkodzić, jeżeli uderzę po raz trzeci. Adamas.”

Pułkownik długo rozmyślał nad listem. Ogarnęło go rozgoryczenie. Potem gniew. Zwołał do swego gabinetu pracowników wydziału, poprosił naczelnika „dochodzeniówki” i milicyjnego lekarza. Odczytał im oba listy „Adamasa”, krótko streścił wyniki oględzin zarówno zwłok, jak miejsc przestępstwa. Potem popatrzył po zebranych i powiedział:

- Sytuacja jest taka, że on może mieć rację. W rezultacie tego, co o nim wiemy, a jest to prawie nic, każdego dnia może nastąpić trzecie zabójstwo. Nie wiemy, czym się kieruje, pod jakim kątem typuje swoje ofiary. Proszę, niech każdy z was, niezależnie od własnych zajęć i prowadzonych spraw, przemyśli te dwa wydarzenia. Nadałem im kryptonim „Diament”, choć z klejnotami chyba nie ma nic wspólnego. Jeżeli ktoś już teraz chce się wypowiedzieć, to słucham.

Milczenie trwało kilka minut. Potem zabrał głos lekarz medycyny sądowej, doktor Stern. Siwowłosy, dobiegający emerytury, doświadczony anatomopatolog.

- Byłbym skłonny ocenić „Adamasa” jako człowieka z głębokim kompleksem. Tak głębokim, że pod jego wpływem wyzwała się w nim gwałtowna reakcja nienawiści, agresji. Nie dalej jak wczoraj przeglądałem „Wspomnienia z sali sądowej” Olgierda Missuny i wypisałem sobie, w odniesieniu do „Adamasa”, takie zdanie: „Sprawca w swym najgłębszym

przekonaniu wierzy, że zabijając realizuje jakieś swoje bezsporne prawo, że słuchając swych wewnętrznych pobudek czyni dobrze, słusznie i właściwie...” Missuna napisał to w związku z procesem sądowym, ale mnie przyszło na myśl, czy przypadkiem nie mamy tu do czynienia właśnie z czymś podobnym.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem pańską myśl, doktorze - odezwał się jeden z oficerów. - Byłby to jakiś nieludzki, swoisty wymiar sprawiedliwości? Wobec kogo? Czy ci dwaj, Zawilski i Bieliński, zawinili wobec „Adámasa”? Albo inaczej: czy, wedle jego rozumowania, stanowili jakieś zagrożenie? Dlaczego ich aż tak znienawidził, że zabił?

Kapitan z wydziału dochodzeniowego ostentacyjnie wzruszył ramionami.

- Nie bawmy się w filozofowanie - rzucił cierpkim tonem. - Sądząc po tych wydarzeniach, jest to niebezpieczny pomylenie. Po prostu, wariat. Ofiary typuje na chybił-trafił, zabija osobę, która nawinęła mu się pod rękę w momencie ataku szaleństwa. Natomiast w pozostałych dniach może to być facet na pozór zupełnie normalny. Żyje, pracuje, chodzi po ulicach. Pewnie ma rodzinę. Ale kiedy go „najdzie”, nie potrafi się opanować. Trzeba go wykryć i zamknąć, psychiatrzy dadzą sobie z nim radę. Nasze zadanie: odnaleźć i zatrzymać.

Stern pokręcił głową przecząco.

- To nie jest wariat - odparł. - Nie zabija przypadkowych osób. On je, według mnie, obserwuje pod jakimś kątem. Kieruje się pewną, wyznaczoną sobie, linią postępowania, której rezultatem jest morderstwo. Można więc sądzić, że te osoby w myśl jego rozumowania nie zasługują na to, aby dalej żyć.

- Zgadzam się z panem, doktorze - potwierdził Daniłowicz. - Gdyby nam się udało znaleźć to, co łączyło obie ofiary, niezależnie od osobistej znajomości, tej mogło w ogóle nie być, to tym samym natrafilibyśmy na motyw działania „Adámasa”.

Porucznik Dębski pojechał nie na Hożą, lecz na Ursynów, gdzie mieszkał Michał Zawilski. Młody inżynier przyjął go uprzejmie, choć z oczu można było wyczytać niespokojne pytania: Czy już go macie? Czy wiecie, kim jest morderca i dlaczego zabił?

Toteż Dębski od razu uprzedził, że niestety...

- Przyszedłem do pana właściwie w sprawie innego zabójstwa - powiedział. Streściwszy krótko, co działo się w pociągu, jadącym ze Szczecina do Warszawy, spytał: - Czy pański ojciec znał dyrektora Janusza Bielińskiego z „Intermexu”?

Michał zamyślił się. Jego żona Jadwiga, przysłuchująca się rozmowie, odezwała się niepewnie:

- Chyba ty go znałeś? Pamiętasz, byliśmy kiedyś na brydżu u Borkowskich i tam przedstawiono nam pana Bielińskiego? Taki wysoki, z długą brodą?

- To nie ten - odparł inżynier. - Masz na myśli doktora Bielińskiego, laryngologa, tu z Warszawy. Może jakaś rodzina, ale nazwisko nie takie znów rzadkie.

- Dyrektor Bieliński nie nosił brody - wyjaśnił porucznik. - I nie był wysoki, raczej krępy, średniego wzrostu. Chodzi mi jednak o znajomość między nim a pańskim ojcem.

- Nie znam wszystkich jego znajomych, ale jeżeli się orientuję, to ten Bieliński ze Szczecina nigdy u rodziców nie był ani oni tam nie jeździli. Jednakże ojciec prowadził odczyty i wykłady, mógł na nich mieć różnych przygodnych słuchaczy... Dlaczego milicji zależy na tej odpowiedzi? Ach, rozumiem! - odpowiedział sam sobie. - Myślicie, że przestępca, zabijając właśnie tych dwóch ludzi, kierował się podobnymi pobudkami?

- Mniej więcej. - Dębski nie mógł powiedzieć prawdy, gdyż sam jej nie znał.

- No, ale jeżeli nie było żadnego powiązania między ojcem a dyrektorem, to w takim razie jaki był powód morderstwa? Czy Bieliński został okradziony?

- Nie. I zabity w ten sam sposób.

- Straszne! - Jadwiga wzdrygnęła się, otuliła szalem. - Czy nie możecie go wykryć?
Zatrzymać?

Porucznik nieznacznie wzruszył ramionami.

- Nie - odpowiedział.

Pojechał potem razem z Michałem na Hożą. Pani Elżbieta próbowała znaleźć w pamięci ślad znajomości męża z Januszem Bielińskim, ale na próżno. Wspólnie przejrzeni gruby notes z adresami i telefonami profesora, różne zapiski, listy i notatki. Nigdzie nie znajdowało się nazwisko dyrektora ze Szczecina. Nigdy też o kimś takim w domu nie wspominał. W Szczecinie był ostatni raz przed bodajże ośmiu laty, kiedy pojechali z Elżbietą nad morze i zatrzymali się na kilka dni w tym pięknym starym mieście. Mieszkali wówczas w hotelu, zwiedzali zabytki, nie kontaktowali się z nikim, było im dobrze we dwoje.

Jacek Zawilski również stanowczo zaprzeczył.

- Wiedziałbym, bo często służbowo jeżdżę na Wybrzeże - rzekł. - Gdyby ojciec miał tam kogoś, kazałby mi go odwiedzić. Zwykle tak robił, kiedy jeździłem do Krakowa, Poznania i innych miast. Nigdy nie wspominał o znajomych w Szczecinie.

Porucznik Dębski kolejne godziny przeznaczył na zadawanie wciąż tego samego pytania w instytucjach, stowarzyszeniach i klubach, w których profesor wygłaszał prelekcje. Rozmawiał z jego dawnymi studentami, z szatniarzami, kelnerami i barmankami w

kawiarniach, z lokatorami na Hożej pokazując zdjęcia obu zabitych mężczyzn i pytając: „Czy widział pan (pani) kiedykolwiek te osoby razem?”

Nikt nie odpowiedział twierdząco.

Szczęśny przyleciał do Szczecina około dziesiątej. Autobusem dojechał do biura „Lotu” w alei Wyzwolenia, zjadł śniadanie w najbliższym barze i poszedł do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, na Małopolską. Sądził bowiem, że Bieliński jako dyrektor dużego przedsiębiorstwa, zajmującego się eksportem i importem, był znany kolegom z wydziału „gospodarczego”, jak go w skrócie nazywano. Musieli przecież spotykać się czasami na jakichś naradach czy choćby na konferencjach prasowych.

Major Walczak, który przyjął gościa z Warszawy, wiedział oczywiście o zabójstwie. Sprawę prowadził wprawdzie Urząd Stołeczny, ale ofiara była „stad”. Bielińskiego znał osobiście i był zaskoczony tajemniczą zbrodnią, w którą wprost trudno było uwierzyć.

- Sztyletem? - powtórzył słowa Szczęsnego. - Tak jak tego profesora? Dziwna historia. Brak motywu.

- Motyw z pewnością jest - odparł Szczęśny - tylko jeszcze go nie znamy. Coś tych ludzi jednak musiało łączyć. Sprawdzamy w Warszawie, czy dyrektor i Zawilski mieli ze sobą jakiś kontakt. Co to był za człowiek?

- Bieliński? - Walczak przesunął ręką po rzadkich jasnych włosach i zamiast odpowiedzieć zaproponował kawę. Kiedy ją przyniesiono, rzekł: - Musiałem się namyślić, żeby go prawidłowo określić, nie uchybiając pamięci zmarłego, ale i nie cofając się przed ostrzejszą krytyką. Według mnie była to postać złożona; miał sporo cech dobrych i chyba drugie tyle... no, powiedzmy, niekorzystnych. Obrotny, energiczny, świetny kierownik przedsiębiorstwa. Rozbudował ten „Intermex”, założył kilka filii, umiał dobierać ludzi i wykorzystywać ich talenty, doświadczenie.

- A co było niekorzystne?

- Jakaś taka zachłanność władzy i pieniędzy. Zaborczość. Nie cofał się przed usuwaniem z drogi osób niewygodnych. Albo sprzeciwiających się jego pomysłom, choć potem okazywało się, że to nie on miał rację, ale ten drugi. Były okresy, kiedy balansował na granicy prawa. Za sprytny jednak, aby je de facto przekroczyć.

- Miał tu wrogów?

Walczak uśmiechnął się przelotnie.

- Ktoś taki jak on zawsze ich ma.

Do Marty Bielińskiej Szczęsny pojechał sam. Zastał ją w otoczeniu paru osób z rodziny, z oczami zapuchłymi od płaczu, tym niemniej zajęta przygotowywaniem żałobnej toalety dla siebie i syna. Następnego dnia mieli jechać do Warszawy.

- Samochodem! - dorzuciła z naciskiem. - Do pociągu chyba już nigdy w życiu nie wsiądę!

Spytał, czy mogą gdzieś spokojnie porozmawiać, więc wyprosiła gości i zostali tylko ze Zbyszkiem. Chłopiec nie zdawał sobie jeszcze w pełni sprawy ze śmierci ojca, robił wrażenie oszołomionego i zdziwionego. Bielińska opowiedziała, co zaszło ostatniego dnia przed wyjazdem dyrektora do Warszawy. Major słuchał uważnie, a w pewnej chwili rzekł jakby mimochodem:

- Pewnie mąż pani miał zamiar odwiedzić w stolicy krewnych lub znajomych?

- Krewnych tam nie mamy - odparła. - A znajomych... Cóż, może chciał się z kimś spotkać, chociaż zwykle był zajęty służbowymi sprawami od rana do wieczora.

- Czy nie wspominał o wizycie u profesora Zawilskiego?

- Zawilskiego? Kto to jest?

- No, jak to? Przecież znali się. To słynny ornitolog.

Marta pokręciła głową. Wytarła nos, zerknęła w lustro i poprawiła włosy.

- Nigdy mi nie mówił o żadnym profesorze Zawilskim - odparła stanowczo. - Bywaliśmy od czasu do czasu razem w Warszawie. Wiedziałabym o tej znajomości. A co on miał wspólnego z Januszem?

- Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć - powiedział, zdając sobie sprawę, że jest w tej chwili trochę na bakier z logiką, ale Bielińska nie zwróciła na to uwagi.

Spojrzała na syna, który od kilku minut wyraźnie pragnął wtrącić się do rozmowy; to bladł, to czerwieniał, nerwowo wyłamywał palce i spoglądał na oficera z dziecinną powagą.

- Co chciałeś, Zbyszku? - rzuciła z roztargnieniem.

- Ja... - zaczął nieśmiało. - To było kilka dni przed wyjazdem taty do Warszawy. On mnie zapytał tak jakoś dziwnie. Przy kolacji, pamiętasz?

- Nie. O co cię pytał?

- No, czy znam lokatorów z pierwszego piętra. Nie wiem, może to coś ważnego? - popatrzył na Szczęsnego błagalnie.

Nagle oczy zaszły mu łzami. Wytarł je szybko rękawem swetra, odwrócił twarz.

- Zbyszku, opowiedz dokładnie, jak to było. - Major usiadł przed nim, wziął jego ręce w swoje, jakby chcąc dodać mu odwagi. - Słucham cię uważnie.

- No, więc tato spytał... właściwie chodziło mu o pana Balcerzaka.

- Ach, tak! Pamiętam - wtrąciła matka.

- To jest ojciec mojego kolegi ze szkoły, Ryśka. Ja tam chodzę. Tato chciał wiedzieć, jak pan Balcerzak wygląda. Powiedziałem, że jest mały i gruby. Że ma łysinę jak Kojak. Że jeździ zielonym volkswagenem, a pracuje w Elewatorze Zbożowym.

- I co dalej? - spytał Szczęsny, kiedy chłopiec umilkł.

- Już nic. Więcej o panu Balcerzaku nie mówiliśmy.

- Czy pamiętasz, którego dnia to się zdarzyło?

- Tak. W czwartek, na tydzień przed Wilią. Tato chodził po mieście, coś tam kupował. Potem siedzieliśmy przy kolacji i... - Nie dokończył. Wybuchnął płaczem, uciekł do drugiego pokoju.

- Syn był ogromnie przywiązany do ojca - szepnęła Marta.

Usta jej drżały, choć próbowała się opanować.

Major wstał, pożegnał się. Wyszedł na schody, popatrzał. Piętro niżej zastanawiał się chwilę przed drzwiami z tabliczką „Balcerzak Jan”, zanim nacisnął dzwonek. Otworzyły się gwałtownie na całą szerokość. Na progu stał chłopiec w wieku około dziesięciu lat.

- Pan do kogo? - rzucił spieszenie, widać było, że dzwonek oderwał go od pilnego zajęcia.

- Ojciec w domu?

- Tato! - wrzasnął, odwróciwszy głowę. - Do ciebie!

Z głębi mieszkania wyłonił się mężczyzna w wymiętym swetrze i rannych pantoflach. Niski, tęgi, rumiany na twarzy i kompletnie pozbawiony włosów na lśniącej czaszce.

- Pan Balcerzak? - spytał Szczęsny, chociaż poznał go z opisu.

- Tak. O co chodzi?

- Major Szczęsny ze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Chciałbym porozmawiać.

Balcerzak milczał chwilę, jakby rozważając ; treść długiej nazwy, a potem w milczeniu odsunął się, zapraszając do pokoju. Chłopiec obrzucił f oficera zaciekawionym spojrzeniem, ale ojciec ruchem głowy wyprosił go z gabinetu. Usiedli, ma-i jor okazał legitymację, po czym rzekł:

- Sprawa, z którą przychodzę do pana, jest może trochę zaskakująca. Krótko mówiąc: w Warszawie prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa pańskiego sąsiada z drugiego piętra, Janusza Bielińskiego.

- A, słyszałem. Okropna historia. Podobno zamordowano go w pociągu?

- Tak.

Balcerzak poruszył się niespokojnie.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego pan do mnie... - zaczął.

Rzucił okiem na uchylone drzwi i pogroził komuś palcem.

- Zaraz wyjaśnię. Otóż, czy przypomina pan sobie czwartek, ten przed świętami? Chodzi mi zwłaszcza o późny wieczór. Czy nie zaszło u pana coś, powiedzmy, niecodziennego? Jakieś wydarzenie, może zupełnie drobne, ale takie, które pana zdziwiło?

Gospodarz zamyślił się głęboko, gładząc błyszczącą łysinę. Nagle z korytarza dobiegł wyraźny szept:

- Tato! Wtedy przyszedł ten facet, co to mówiłeś, że chyba pijany albo wariat. Ja go wpuściłem.

Szczesny, nie pytając ojca o zgodę, wprowadził chłopca do pokoju.

- Powiedz mi, jak to było? - spytał, sadzając Rysia na fotelu.

- No, ktoś zadzwonił do drzwi. Ja siedziałem sam w domu. Otworzyłem. Jakiś pan od razu wszedł do przedpokoju, w pierwszej chwili myślałem, że listonosz czy inkasent albo coś takiego. Ale on tylko zapytał, czy to jest mieszkanie... zaraz, niech sobie przypomnę. Aha, Wesołowskiego. Więc mu mówię, że nie. I że żaden Wesołowski w naszym bloku nie mieszka. No, to on się jeszcze chwilę upierał, że na pewno ma rację, rozglądał się i nie chciał wyjść. Wtedy ja zawołałem, tak głośno, że niby ktoś jest w kuchni czy w pokoju. Bo już się trochę zląkłem. To on zaraz wyszedł. Słuchałem pod drzwiami, dokąd pójdzie. Zbiegł na dół, na ulicę.

- Jak ten człowiek wyglądał?

- Wysoki. W płaszczu i czapce futrzanej. Miał okulary, bardzo duże, w czarnej oprawie. Czy ja wiem, co jeszcze?

- Wąsy, broda?

- Nie.

- Jakiego koloru płaszcz?

- Chyba brązowy. Czapka z ciemnego futra. Ręce przez cały czas trzymał w kieszeniach.

- Słuchaj, Rysiu. Zastanów się i powiedz mi czy gdybyś miał opisać wygląd tego pana tak, żeby ktoś inny mógł go narysować i...

- Ja wiem! - przerwał chłopiec z urazą w głosie. - Przecież to się nazywa portret pamięciowy. Mało to kryminałów czytałem?

- Doskonale. Nie to doskonale, że czytujesz kryminały - zreflektował się Szczesny - ale że wiesz, o co mi chodzi. No, więc?

- Raczej nie. Te okulary zasłaniały mu prawie całą twarz. Kołnierz od płaszcza miał podniesiony wysoko. Ale, zaraz! - krzyknął z zadowoleniem. - Jak mówił, to zauważyłem, że ma z przodu na dole jeden złoty ząb.

- Który?

Rozchylił wargi i pokazał palcem.

- O, ten!

- Trójka - stwierdził major. - A głos?

- Mówił cicho, trochę z chrypką. Po schodach to później leciał jak ja. No, może trochę wolniej.

- Sądzi pan, panie majorze, że ten człowiek ma coś wspólnego z zabójstwem dyrektora? - spytał Balcerzak, dotychczas w milczeniu przysłuchujący się rozmowie.

- Jeszcze nic nie wiemy, ale wszystko możliwe.

- W takim razie szkoda, że nie zrobiłem jego zdjęcia - chłopiec był rozczarowany. - Mam fajny aparat, dostałem na Gwiazdkę.

Szczęśny położył mu rękę na ramieniu i odparł z naciskiem:

- Myślę, że całe szczęście, iż tego nie zrobiłeś.

- Dlaczego?

- Bo w najlepszym wypadku mógłbyś stracić aparat.

- Myśli pan...? - Balcerzak przeraził się, przygarnął syna do siebie. Zaraz jednak fuknął groźnie: - A mówiłem ci, błźnie, żebyś nikomu nie otwierał, kiedy jesteś sam w domu!

ROZDZIAŁ 4

- No, więc?

Cisza. „Atonia” utkwiała wzrok w rogu pokoju, zacięła usta.

- Pytam po raz czwarty, kiedy i gdzie zabrałyście ten portfel?

Porucznik z Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych na Pradze westchnął z irytacją. Jego cierpliwość doszła już do granic wyczerpania. Dokumenty, wyjęte ze skradzionego portfela, leżały przed nim na biurku i stanowiły własność niejakiego Henryka Jaszewskiego, zamieszkałego na Hożej dwanaście: Najprościej było go wezwać do Urzędu, aby wyjaśnił sprawę. Porucznik chciał jednak najpierw dowiedzieć się tego od siedzącej przed nim kobiety. Ale kobieta była uparta.

- Będzie kolegium i grzywna - ostrzegł.

Wzruszyła ramionami. Do odsiadki przyzwyczała się, a na grzywnę się nie zgodzi i zamienią na areszt. Oficer jakby czytał jej myśli, bo dodał:

- W recydywie grzywny na siedzenie nie zamienią. Przyjdzie płacić, i to sporo! - zaryzykował.

Udało się. „Atonia” spojrzała na niego niepewnie. Wiedziała, że od czasu do czasu przepisy się zmieniają, a ona nie mogła jakoś nadążyć.

Płacić? Co to, to nie.

- Na dworcu - mruknęła.

- Wileńskim?

- Nie. Na Centralnym.

- Jak to było?

- Zwyczajnie. On siedział w poczekalni, na i, piętrze. Koleżanka go zabawiała, a ja wyciągnęłam j portfel.

- I co dalej?

Popatrzała na oficera z rozbawieniem.

- Co mogło być? Poszedł i tyle.

- Nie zauważył kradzieży?

Niemal obraziła się.

- Za kogo pan mnie ma? Jestem fachowiec w branży.

Powściągnął uśmiech.

- Był pijany?

- A kto go tam wie! Pewnie, że tak.

- Ile pieniędzy miał w portfelu? - Wiedział, że prawdy się nie dowie, tego udowodnić się nie da. Spytał dla porządku.

- Gó..., znaczy, malutko. Parę groszy. Nie opłaciła się robota.

- I za te parę groszy piłyście z koleżanką i chłopakami wpierw w „Kolejowym”, potem w „Smaragdowej”, aż trzeba było was wypraszać. Dokończenie odbyło się na Brzeskiej, w piwnicy. Strasznie widać wódka staniała.

- A pewnie - przyświadczyła z obojętnością w głosie.

Jej prawo nie rozumieć ironii, milicja chyba wie, kogo ma w „dołku”. Nie kryła swego zawodu, zbyt dobrze ją tu znali.

Kapral odprowadził „Atonię” do aresztu, a porucznik schował portfel z dokumentami do żelaznej szafy i wysłał Henrykowi Jaszewskiemu wezwanie do Urzędu. Z legitymacji służbowej orientował się, z kim przyjdzie mu rozmawiać. Inżynier-chemik, zatrudniony w Przedsiębiorstwie Badawczo-Rozwojowym nr „14”, na stanowisku inspektora. Ze zdjęcia w dowodzie spoglądała twarz o ciężkich, jakby z kamienia wykutych rysach, krzaczastych brwiach i mocno zaciśniętych ustach.

Jaszewski zgłosił się następnego dnia rano. Usiadł po drugiej stronie biurka, spytał, czy może zapalić. Porucznik przez chwilę zastanawiał się, jaki szczegół w jego twarzy nie zgadza mu się ze zdjęciem w dowodzie. Zrozumiał: okulary. Duże, w czarnej oprawie. Pewnie nosi je od niedawna, a fotografia sprzed kilku lat.

- Czy ma pan przy sobie dowód osobisty? - spytał.

- Nie. - Jaszewski zmieszał się, zaciągnął papierosem. - Miałem właśnie zgłosić zgubę na Wilczej, bo mieszkam w śródmieściu.

- Zgubił pan dowód?

- Tak sądzę.

- Dawno?

- Nie, skądże. Tydzień temu. Dokładnie nie pamiętam.

- A nie skradziono go panu przypadkiem?

Jaszewski umilkł. Oficer nie powtórzył pytania.

Czekał.

- Być może - odrzekł wreszcie inżynier.

Zgarbił się, wsunął ręce w kieszenie płaszcza.

- Lepiej niech pan opowie, jak to było wówczas na Centralnym - poradził porucznik.

Nieznacznie uruchomił magnetofon.

- Nie rozumiem!

- Panie Jaszewski, przecież my mamy pańskie dokumenty. Ale chcemy od pana usłyszeć, jak to się stało.

- Zamyśliłem się czy trochę zdrzemnąłem...

- Gdzie?

- W poczekalni. Na Centralnym, tam na piętrze. Wieczorem. Siedziałem na ławce. Przysiadła się do mnie jakaś... wie pan, z tych. Zanim zdążyłem odsunąć się, ta druga, bo były dwie, musiała wyciągnąć mi portfel z kieszeni. Niestety, po wyjściu z sali restauracyjnej machinalnie wsunąłem go do płaszcza zamiast do marynarki. One pewnie to zauważyły. No i skorzystały z okazji.

- Czy pan poznałby te kobiety? Jak wyglądały?

- Twarzy nie bardzo pamiętam. Jedna ubrana w krótkie futro z królików, szarobiałe. Czapka włochata, chyba zielony szalik. Druga kobieta, jeżeli się nie mylę, nosiła ciemny płaszcz i kołnierz z lisa.

Porucznik wyszedł na chwilę z pokoju, powiedział coś do dyżurnego milicjanta, po czym wrócił za biurko. Po kilku minutach z korytarza doleciało chrypliwe podśpiewywanie:

- Chałupy, lej go tu! „Atonia” nie znała bowiem angielskiego.

- Spokój! - Kapral otworzył drzwi, wpuścił ją do środka.

- Poznaje pan? - spytał oficer.

- Oczywiście! - Jaszewski wyprostował się na krześle, skrzywił z pogardą. - Podłóż wiesz.

- Stul mordę, gnido! - Odwzajemniła się, krzywiąc nos.

Do takiej mowy była przyzwyczajona.

- Proszę bez wyzwisk! - Porucznik zmarszczył brwi. - Poznaje pan kobietę, która w dniu - poszukał daty w notatkach - zabrała panu z płaszcza portfel z dokumentami i pieniędzmi?

- O, wa! Wielkie mi pieniądze - wtrąciła „Atonia”. - Tyle co na autobus starczyło, tam i nazad.

- Poznaje.

- Ile pieniędzy miał pan w portfelu?

- Sześć tysięcy złotych i jakieś drobne.

- Drobne były, ale bez tysiączków, panie hrabio!

- Spokój! - zamruczał kapral.

Chciało mu się śmiać.

- W porządku. Proszę odprowadzić zatrzymaną.

- Ducha by nie wyzionoła, gdyby wcześniej zioła wzięła! - zaśpiewała „Atonia”, wychodząc z pokoju. Chwyciła kaprala za ramię: - Chodź, koteczku! Tutaj nas nie lubię. Hej, chłopcy Podhalańscy co po was zostanie? Popod bucki kości... - Dalszy ciąg zgubił się w dolnych rejonach budynku, gdzie mieścił się areszt.

- Często pan tak chodzi po dworcach?

Jaszewski wzruszył ramionami.

- Tak często, jak mam ochotę. Nie wolno?

- Oczywiście, że wolno. Ale sam pan widzi, jakie mogą być skutki.

Wstał, wyjął z szafy dokumenty i portfel.

- Proszę sprawdzić. Pieniądze, niestety, przepadły. Wątpię, żeby udało się panu odzyskać.

Inżynier podniósł się z krzesła, zgarnął papiery.

- Nie będę się starał - odparł. - Szkoda czasu na włóczenie się po sądach czy kolegiach. Nie udowodnię przecież, że miałem te sześć tysięcy. W każdym razie dziękuję panu za dokumenty, bo to najważniejsze.

Spod okularów błysnęły na moment oczy, ni to zielone, ni piwne. Wyciągnął do porucznika rękę, coś jakby uśmiech przeleciał przez twarz i zgasł, zanim zdołał rozjaśnić kamienne rysy.

Dziwny facet - myślał oficer po wyjściu Jaszewskiego. - Taki jakiś... jak z drewna.

- Bieliński i Zawilski - zastanawiał się Szczęsny, siedząc wieczorem w swoim mieszkaniu. - Dyrektor ze Szczecina i profesor z Warszawy. Czy to rzeczywiście możliwe, że nic, absolutnie nic ich nie łączyło? Więc dlaczego wybrał właśnie tych dwóch?'

- Przecież coś nim kierowało! - powiedział z pretensją w głosie.

Anka podniosła oczy znad tygodnika. |

- Tym od sztyletu? - spytała nieobowiazująco, ot tak, żeby pamiętać o jej istnieniu.

- Tym.

- Mogę się wtrącić do twoich rozmyślań?

- Jeżeli z sensem...

- Spojrzałamby na zabójcę trochę inaczej.

- Jak?

- Spróbuj wyobrazić go sobie jako człowieka pechowego, któremu w życiu nie powiodło się. Jest nieszczęśliwy, pełen zawiści wobec tych, którzy według jego opinii osiągnęli wszystko, czego jemu brak. Zwykła ludzka zazdrość przeradza się u niego z czasem w zapiekłą nienawiść. Nie może znieść ich widoku. W końcu zabija.

Szczęśny przyglądał się dziewczynie z zainteresowaniem, choć w tym momencie widział w niej wyłącznie porucznika milicji, a nie kobietę.

- Kolega rozumuje prawidłowo - orzekł autorytatywnie. - Jako wiceszef wydziału kryminalnego wyrażam koledze uznanie.

- Nie kpij!

Zerwał się z fotela, zaczął krążyć po pokoju.'

- Ja nie żartuję. Może masz rację. Scharakteryzowałaś zabójcę. W porządku. Ale jeżeli jest tak, jak mówisz, to musiał dobrze znać swoje ofiary.

- Skąd wiesz, że ich nie znał? - zaatakowała. - Każdego z nich oddzielnie: profesora i dyrektora. Tamci dwaj wcale nie musieli mieć ze sobą żadnych kontaktów. On ich znał, rozumiesz? On.

- Setki ludzi - mruknął. - I Zawilski, i tamten mieli ogromny krąg znajomych. W zasadzie wszystkich mógłbym podejrzewać. Obłąd!

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Panie majorze - poznał głos starego jubilera - gdyby pan jutro do mnie wpadł, to być może przekazałbym panu interesującą informację. Dotyczy naszej ostatniej rozmowy.

- Doskonale. Będę rano.

Zjawił się około dziewiątej, wiedział, że staruszek wstaje wcześniej, ale musiał wpierv wstąpić do swego wydziału. Jubiler zaparzył dobrą kawę, a kiedy usiedli spokojnie przy stole, rzekł z uśmiechem:

- Myślę, że będzie pan zadowolony. Otóż rozmawialiśmy ostatnim razem o diamentach i o człowieku, który wysłał do milicji list, podpisany „Adámas”. Nawiasem mówiąc, czy już wiecie, kto to jest?

- Nie.

- Wczoraj tak się złożyło, że odwiedziłem swego kolegę po fachu, o tyle młodszego ode mnie, że jeszcze prowadzi warsztat złotniczy i coś tam od czasu do czasu sprzedaje, naprawia. Gadaliśmy o tym i owym, potem coś mnie tknęło i, nie informując go oczywiście o istocie sprawy, zagadnąłem o brylanty. Tak w ogóle. Jest to temat dla nas dwóch niewyczerpany! - roześmiał się. - Ale w pewnej chwili on mówi tak: wiesz, Julek, teraz mi się

przypomina pewna dziwna rozmowa z nieznanym klientem, choć właściwie klientem nie był, bo nic nie kupił ani nie przyniósł do naprawy. Miałem wtedy na wystawie mały, śliczny brylancik na sprzedaż. On wszedł do sklepu, bo go ten klejnot zainteresował. Wtedy, ot tak w rozmowie, spytałem, czy wie, skąd pochodzi nazwa diament. Nie wiedział, więc mówię, że z greckiego „adamas”, co znaczy „niepokonany”. I wtedy on się nagle zaciekawił, ożywił, a przedtem stał przy ladzie przygarbiony, smętny jakiś. Powtarzał to słowo, oczy mu błyszczały. Nagle powiedział do mnie: do widzenia, dziękuję panu! I wyszedł. Za co on mi dziękował, do dzisiaj nie wiem. Tyle z relacji mego kolegi.

Jubiler umilkł. Zamieszał cukier w kawie i spoglądał na Szczęsnego -z miną trochę filuterną, jakby myślał: no, i co teraz powiesz?

- Jak ten człowiek wyglądał?

- Owszem, spytałem go. Wiele nie pamięta, ale określił go jako wysokiego mężczyznę tak między czterdziestką a pięćdziesiątką. Ciemny płaszcz i kapelusz, dość mocno wciśnięty na głowę. Nie nosił brody ani wąsów.

- Okulary?

- Nie.

- Na pewno?

- Cóż, mój kolega mógł się mylić, ale w naszym zawodzie ma się dobre oko.

- Kiedy odbyła się ta rozmowa w sklepie?

- W listopadzie. Zimno było, śnieg padał.

Milczeli kilka minut.

- Niech pan mi da jego adres, dobrze?

- Dam. Ale więcej pan z niego nie wyciągnie. Po prostu nie przywiązywał wagi do wizyty obcego człowieka. Przypomniało mu się o tym dopiero, kiedy rozmawialiśmy o brylantach, że ich teraz prawie nie ma w sprzedaży.

- I już więcej go nie zobaczył?

- Nie. Na ulicy pewnie minąłby go obojętnie, a do sklepu nie przyszedł.

Szczęśny pożegnał jubilera, podziękował za cenną wiadomość. Rysopis owego mężczyzny skojarzył mu się z miejsca z rysopisem, podanym przez Rysia Balcerzaka w Szczecinie. Tamten wprawdzie nosił okulary, ale mogły to być zwykłe szkła, nie optyczne, włożone dla niepoznaki.

- W rezultacie co właściwie wiemy o „Adamasie”? - rzekł Daniłowicz do swego zastępcy i jego wiernego współtowarzysza poszukiwań, porucznika Dębskiego.

- Na sto procent to nic - odparł major. - A tak na... powiedzmy, trzydzieści, to zaraz ci wyliczę. Nie wszystkie daty ustaliliśmy, ale większość ich znamy. Pierwsze zabójstwo: Antoni Zawilski, w parku. Tutaj data wiadoma, dwudziesty pierwszy listopada, zwłoki znaleziono następnego dnia, to był piątek. Tydzień później, też w piątek, przychodzi do nas pierwszy list od „Adámasa”. I jest to w ogóle pierwsza informacja o nim.

- Zakładając, że prawdziwa - wtrącił Dębski.

Zdażył już się oswoić z szefem wydziału.

- Dalej - ciągnął major - wiemy już dziś, że dziewiętnastego grudnia jakiś nieznajomy dzwoni do drzwi Jana Balcerzaka w Szczecinie, o coś tam pyta, wizyta jest, przynajmniej dla małego Rysia, dość dziwna. Wiemy też, że tego samego wieczoru przy kolacji Bieliński ni stąd, ni zowąd zainteresował się, jak wygląda ich sąsiad z pierwszego piętra, właśnie ten Balcerzak. W tym miejscu chciałbym się na chwilę zatrzymać. Jeżeli skojarzyć ze sobą te dwa fakty, to można przypuszczać, że Bieliński zobaczył... bo ja wiem, na ulicy koło domu czy na klatce schodowej owego tajemniczego faceta, a nie znając Balcerzaka, spytał syna o jego wygląd. Szkoda, że nie powiedział więcej.

- Myślisz, że ten gość śledził dyrektora w Szczecinie? I Bieliński to spostrzegł?

- To jest możliwe. Jedźmy dalej. W nocy z dwudziestego siódmego na ósmego w pociągu Bieliński zostaje zamordowany. Dwa dni później otrzymaliśmy następny list „Adámasa”. Ale, słuchajcie, teraz zaczyna się coś wykluwać. Otóż, jak wam mówiłem, w połowie listopada, data niedokładna, do sklepu jubilera przychodzi człowiek, który z rysopisu trochę mi się kojarzy z nieznajomym w Szczecinie. Nagłe, silne zainteresowanie tego faceta nazwą „adamas” jest co najmniej zastanawiające. W dwa tygodnie później słowo „Adámas”, już jako pseudonim, umieścił pod swoim listem morderca. To jest dla mnie jasne. Przyjął ten pseudonim ktoś, kto odwiedził wówczas sklep jubilera. Rysopis tak ogólny, że nawet nie da się z niego zrobić portretu pamięciowego. Wysoki, w okularach lub bez, teraz może już nosić brodę i wąsy. Trudno podejrzewać wszystkich wysokich, znajomych obu ofiar.

- Znamy grupę krwi - przypomniał Dębski.

- Tak. Ale jak sprawdzisz? Nie zapędzisz przecież tych osób do badania krwi tylko dlatego, że mają po ileś tam centymetrów wzrostu.

- Złoty ząb. Trójka.

- Owszem. Więc przyznaję, że trzydzieści procent o „Adámasie” wiemy. Diabelnie mało!

W nocy, nie mogąc zasnąć, Szczęsny rozmyślał nad tym, co mówiła Anka. Nieszczęśliwy? - rozważał. - Zazdrość, która przerosła w nienawiść do szczęśliwych,

zamożnych, wysoko postawionych w hierarchii służbowej? „Nieudacznik”. Trafne określenie. Nie udawało mu się w życiu, w rodzinie, w pracy. Nie jest chory ani słaby fizycznie, sądząc po sile uderzeń. Może odstraszająco brzydki? Nie, ani jubiler, ani Rysio tego nie powiedzieli. Musi mieć skądś pieniądze, jeżeli jeździ po kraju, ma przyzwoite, ubranie. Więc pracuje. Prywatnie? Nie kradnie... Chyba.

Wstał, przygotował sobie herbatę. Chodził po mieszkaniu, palił, wyglądał oknem na zadeszczoną, pustą ulicę. Styczeń podobniejszy był do kwietnia, ciepły i mokry. Trzeba zainteresować się pacjentami zakładów psychoneurologicznych - myślał. - Dyskretnie zorientować się, czy między znajomymi profesora i dyrektora nie ma patologicznych osobników. Piekielna robota! Będę szukał, a tymczasem „Adámas” zabije kolejną ofiarę. I znowu przyśle list.

Spojrzał na zegarek. Druga. Przed siódmą musi wstać. Pięć godzin snu, jeżeli zaśnie od razu. A nie zaśnie bez tabletki. Nastawił budzik, wziął białą pół truciznę, jak ją nazywał. Śnił mu się piękny, niebieskawy diament, który w pewnym momencie zamienił się w sztylet.

Morderca nie był zadowolony. Wciąż spotykał ludzi, którzy w niepowstrzymanym pędzie do posiadania prześcigali go, zostawiając daleko w tyle. Wczoraj pan X miał tylko fiata 126p - dzisiaj zdobywał volkswagena, jutro wprowadzał się do własnej willi. Rzecz jasna nie były to dosłownie dni, ale życie dokoła toczyło się jak lawina, porywało ze sobą wszystkich sprytnych, energicznych, zachłannych, resztę odrzucając na bok. Morderca wciąż czuł się na marginesie życia.

Szukał przegranych, malkontentów. Owszem, znajdował ich mnóstwo. Narzekali, zlorzeczyli na zły los. Kiedy jednak poznawał ich bliżej, okazywało się, że i tak mają więcej od niego.

Pod wieczór zaszedł do jednej ze śródmiejskich kawiarni. Siadł w samym kącie, zasłonił się gazetą. Udawał, że czyta, ale sponad „Expressu” przesuwiał wzrokiem po twarzach, łowił uchem strzępki rozmów. I tu było to samo. Interesy - duże i małe, dwa miliony za jakiś zagraniczny samochód, sześć milionów za działkę pod budowę, zdradzony mąż, trzecia z kolei żona, amerykański idol z gitarą, ja, proszę pani, zawsze do pieczeni dodaję listka, Iwona chodzi teraz z Arabem...

Nienawidził ich. Wszystkich. Za te miliony i za listek w pieczeni, nawet za tę Iwonę, choć jej w ogóle nie znał.

- Przepraszam pana, czy mogę się dosiąść?

Ocknął się, spojrzął. Stał przed nim mężczyzna uśmiechnięty życzliwie, z teczką w ręku.

- Taki tłok, a chciałbym napić się kawy - dodał, trochę speszony ostrym wzrokiem człowieka, siedzącego przy stoliku.

Błyskawicznym spojrzeniem morderca otaksował wygląd nieznajomego, elegancką teczkę, złoty sygnet na palcu. I nagle poczuł znajomy skurcz w sercu, nerwy napięły się jak struna, gorąca fala napłynęła do mózgu. Już wiedział, że znowu będzie chciał.

- Proszę, niech pan siada - odezwał się uprzejmie.

Odłożył gazetę na znak, że nie ma nic przeciwko pogawędce. Przybysz z zadowoleniem zajął miejsce naprzeciw niego, rozejrzał się za kelnerką. Zamówił dużą kawę, kieliszek koniaku. Zawahał się, popatrzał na człowieka, który zaprosił go do stolika, i spytał po prostu:

- Napije się pan ze mną?

- Jeżeli pan ma ochotę... Owszem.

Powoli, zwłaszcza po drugiej turze alkoholu, rozmowa zaczęła się rozkręcać. Morderca umiał do niej zachęcić, był trochę poważny, trochę żartobliwy, zręcznie zarzucał się pytań, które miały mu odsłonić osobowość przybysza. Ten, zrazu nieco sztywny, rozkrochmalił się i opowiadał, nawet nie czekając na pytania.

- Bo, widzi pan, ja już taki jestem. Lubię pewien komfort w codziennym życiu. W moim domu musi być nie tylko wygodnie, ale i ładnie, elegancko. Żona o to dba, nauczyłem ją! - zaśmiał się. - Jak gdzieś idziemy, mam na myśli wizytę u znajomych, moja małżonka musi wyglądać ładniej, być lepiej ubrana od innych.

- To wymaga dużych pieniędzy - zauważył.

Nieznajomy machnął ręką lekceważąco. Koniak uderzył mu widać do głowy, bo poczerwieniał i gestykulował z zapalem.

- Ja mam pieniądze - odparł. - Jak się chce, to się ma. Nie powiem, że mi to łatwo przychodzi, trzeba się dobrze nabiegać, narobić, trzeba umieć z ludźmi, proszę pana. Dawno przekonałem się o słuszności zasady, że warto wydać małe pieniądze, aby dostać duże. Jak mi na kimś zależy, jest mi potrzebny, to nie żałuję grosza na dobrą kolację albo drogi prezent. To się oplaca.

- Ma pan jakiś warsztat?

- Dwa. I pralnię chemiczną. Narzeka się na prywaciarzy, ale my przecież uzupełniamy przemysł i handel państwowy - roześmiał się, mrużąc jedno oko.

- Zadowolony pan z życia?

Mężczyzna pewnie nie oczekiwał takiego pytania, bo milczał chwilę z na wpół otwartymi ustami. Potem roześmiał się.

- Wie pan, nie zastanawiałem się nad tym. >

Zadowolony? Cóż, raczej tak. Naturalnie, mógłbym mieć więcej. I będę miał. Ale zgrzeszyłbym, gdybym powiedział, że jest mi źle. Póki zdrowie dopisuje...

- W domu też wszystko w porządku?

- E, w domu musi być tak, jak ja chcę. Przychodzę po pracy, stół ładnie nakryty, żona uśmiechnięta, córka pomaga przy obiedzie, bo mam trzynastoletnią córeczkę, śliczna dziewczyna, mówię panu! Kiedyś niejednemu w głowie zawróci.

- A więc jest pan szczęśliwy?

Tamten zamyślił się, westchnął.

- Szczęście to wielkie słowo - odparł. - Powiedzmy: jest nam w rodzinie dobrze. Ale ja tu wciąż o sobie, a pan tylko słucha.

- Cóż o mnie - morderca lekko unióś brwi - nie chciałbym, żeby to wyglądało na chwalenie. Jestem dyrektorem firmy polonijnej.

- Tu, w Warszawie?

- Tak.

- Duża firma? - Obcy pytał z widocznym szacunkiem.

- Rozkręcamy się. Ale idzie bardzo dobrze.

- Co pan produkuje?

- Najróżniejsze części elektrotechniczne, poszukiwane na rynku. Na razie zawarliśmy umowy z kilkoma warsztatami, otworzymy też sklep dla indywidualnych klientów.

- Panie! - Nieznajomy chwycił go za rękę, uściśnął mocno. - Pan mi spadł jak z nieba! Od paru miesięcy poszukuję takiej firmy, bo mam kłopoty z częściami dla warsztatów. Podpisz pan ze mną umowę, dam dobre warunki. Własny transport, długie serie, nawet na parę lat. Gdzie się mieści pańska firma?

Morderca udał, że nie dotarło do niego ostatnie pytanie. Potem rzekł:

- Mamy już tyle zamówień...

- Panie drogi... Jak pańska godność?

- Mirosław Nowacki.

- Ja się nazywam Waclaw Stolarski, bardzo mi miło. Panie Nowacki, proszę mi nie odmawiać. Tak się przyjemnie z panem rozmawia, widać, że pan jest człowiekiem kulturalnym i wykształconym.

- Jestem inżynierem.

- Ja tylko po technikum. Więc jak? Podpisujemy? Coś panu powiem, u mnie teraz dom pusty, bo żona z córką wyjechały na kilka dni do Zakopanego. Jedźmy od razu do mieszkania, zjemy coś, wypijemy i zawrzemy umowę. No, panie inżynierze? Zgoda?

Ironiczny uśmiech przeleciał po wąskich ustach mordercy. Pomyślał, że los mu sprzyja i tym razem. Pusty dom... To, czego potrzebował, nosił zawsze przy sobie, kiedy wychodził na włóczęgę po mieście. Okazja mogła się zdarzyć. I zdarzyła się.

- No, dobrze - powiedział. - Daleko pan mieszka?

- Na Sadybie. Ale jestem wozem. Niedawno kupiłem volvo.

Zerwał się, odnalazł kelnerkę, zapłacił. W szatni zdziwił się trochę na widok wyszarzałego płaszcza dyrektora polonijnej firmy, ale nawet mu się to podobało. Skromny człowiek widać. Uczciwy.

Wsiadli do samochodu. Stolarski prowadził z wprawą, nie przestając gawędzić. Był rozradowany zarówno perspektywą korzystnej umowy, jak i kolacyjką „po kawalersku”. Spytał swego towarzysza o rodzinę, ale nie otrzymał odpowiedzi, więc nie wracał już do tematu. Przed okazały wieżowiec zajechali gdzieś po dwudziestu minutach. Stolarski wyjaśnił, że mieszka na szóstym piętrze, cztery duże pokoje z balkonem. Świeżo naprawiona winda bezszelestnie poniosła ich w górę. -

- Tutaj - otworzył drzwi kilkoma kluczami i cofnął się, aby dać gościowi pierwszeństwo. Przy zdejmowaniu płaszcza w przedpokoju morderca nieznacznie dotknął tego, co krył w wewnętrznej, specjalnie uszytej kieszeni marynarki. Upewnił się, że jest, znów uczył ogarniającą go falę gorąca i napięcie nerwów. Spokojnie - mówił sobie. - Mam przecież czas. Roztarł palce, drętwiały mu wskutek złego obiegu krwi.

- Proszę do mego gabinetu - uśmiechnięty gospodarz otwierał kolejne drzwi. - Niech pan się rozgości, dyrektorze, a ja tymczasem przygotowuję jakąś zakąskę.

Znikł w korytarzu, po chwili z kuchni dobiegły odgłosy szcęknięcia naczyń i brzęk butelek, uzupełnione wesołym pogwizdywaniem.

Morderca ostrożnie wyjrzał na korytarz. Stolarski kręcił się po kuchni, coś tam ustawiał, krajał, wyjmował z lodówki. Jak wejdzie - pomyślał. - Będzie miał ręce zajęte. Wpierw ogłuszyć. Czym?

Rozejrzał się po gabinecie. Wzrok jego błądził po meblach, książkach, obrazach, aż zatrzymał się na mosiężnym trójramiennym świeczniku, ustawionym nad kominkiem. Przez kilka sekund oceniał jego przydatność, potem zbliżył się i wziął do ręki. Zważył, ujął wygodniej, zacisnął palce. W tej samej chwili zobaczył, że Stolarski stoi na progu z dużym

ostrym nożem kuchennym w dłoni. Morderca znieruchomiał, tego się nie spodziewał. Rozszyfrował mnie? - przemknęło mu przez myśl.

- Podoba się panu ten świecznik? Kupiłem okazji, stara rzecz. Ale chciałem zapytać, z czym pan lubi kanapki, to tych zrobię więcej. Z salami, pastą łososiową czy sardynką? Może też być camembert.

Gdyby potrafił jeszcze się śmiać wesoło, beztrosko, to by to zrobił. Powoli odstawił świecznik na miejsce i odparł grzecznie, że nie jest głodny, zje najwyżej dwie. Mogą być z salami.

Gospodarz wrócił do kuchni. Morderca przymknął oczy, opanowując przyśpieszone bicie serca. Nie zrezygnował, nie chciał jednak w tej sytuacji posłużyć się świecznikiem, tamten zacząłby coś podejrzewać, może krzyczeć, bronić się, a bójka nigdy nie leżała w planach człowieka z ukrytym sztyletem.

Podszedł do kominka, schylił się i podniósł ciężki pogrzebacz. Zamachnął się nim raz, drugi. Tak, to mu odpowiadało. Schował za plecami rękę z pogrzebaczem i czekał, patrząc na korytarz. Przelotnie spojrzął na porcelanowy, ślicznie malowany zegar, umieszczony na małym stoliku. Za trzy minuty dwudziesta druga.

Te trzy mu podaruję - uśmiechnął się samymi kątami ust. - Trzy ostatnie minuty życia. Ja o tym decyduję. Ja!

- Już jestem gotów! - zawołał Stolarski z kuchni. - Kanapki, sałatka ogórkowa, jajeczka w majonezie. Zamroziłem „Wyborową”, ale może też być whisky, mam „White Horse”, jeżeli pan woli.

- Wolę czystą - odparł, aby coś powiedzieć.

Palce, zaciśnięte na pogrzebacz, spoczęły mu się więc szybko wytarł je o brzeg spodni. Przez otwarte drzwi zobaczył, że Stolarski bierze do ręki tacę z półmiskami i wódką. Zanim jednak obładowany gospodarz zdążył zrobić krok, u wejścia rozległ się dzwonek.

- Któż tam, u licha? - zdziwił się.

Ostrożnie postawił tacę z powrotem na kuchennym stole, wytarł ręce i poszedł otworzyć.

Morderca, blady, z zaciśniętymi ustami, cofnął się szybko do kominka i odstawił pogrzebacz. Nie mógł ryzykować. Za chwilę powinszował sobie przytomności umysłu, bo Stolarski roześmiany wprowadził do gabinetu mężczyznę około trzydziestki, na oko metr dziewięćdziesiąt, ramiona atlety, trochę wysunięta szczęka dolna i boksyński nos, wyraźnie uszkodzony w walkach na ringu.

- Dyrektorze kochany, oto mój bratanek, wicemistrz klubu sportowego jakiegoś tam, zawsze zapominam nazwę. Przywitaj się, Kaziu!

- Milczarek - powiedział gość najgłębszym basem, jaki morderca kiedykolwiek słyszał. Wyciągnął rękę, szef polonijnej firmy podał swoją i jęknął cicho, bo znalazła się w żelaznym uścisku. Sportowiec zauważył widać, że ściska za mocno, i uśmiechnął się przeproszająco. Uśmiech miał szczery, niemal dziecienny.

- Zjesz, Kaziu, z nami kolację. Bądź tak dobry, nakryj stół, obrus jest w szafce, ja zaraz...

- Bardzo mi przykro - powiedział morderca - ale nie będę mógł panom towarzyszyć. W tym momencie przypomniałem sobie, że na dwudziestą trzecią zamówiłem w domu telefoniczną rozmowę z Wiedniem. Dla mojej firmy jest to ważna transakcja, nie wolno mi odłożyć tego kontaktu na inny wieczór. Przykro mi bardzo - powtórzył i zwrócił się do Stolarskiego, uprzedzając jego pytania: - Proszę mi dać swój numer telefonu, najlepiej tu, do domu. W ciągu paru dni odezwę się do pana, zawrzemy wówczas umowę. A teraz - spojrzał na zegarek - niestety, muszę już iść.

- To ja pana odwiozę, dyrektorze - zaoferował się markotny gospodarz. - Ale może chociaż jedną kanapkę? I po kielichu?

- Stryjku, ty już dzisiaj piłeś - rzekł bratanek - a ja, jak wiesz, alkoholu nie używam. Daj mi kluczyki do volvo, ja pana odwiozę.

Morderca nie miał wyjścia. Odmówił, tłumacząc, że znajdzie taksówkę, wprost nie wypadało dyrektorowi poważnego przedsiębiorstwa. Zresztą o tej godzinie znaleźć taksówkę na Sadybie... Wziął więc wizytówkę Stolarskiego, schował do portfela, pożegnali się serdecznie - jeden naprawdę, drugi z uśmiechem na ustach i nienawiścią w sercu.

- Jaka szkoda! - ubolewał gospodarz. - Tak się cieszyłem, że sobie posiedzimy, pogadamy, wypijemy. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Prawda, panie dyrektorze?

- Ma pan zupełną rację - odparł, chociaż obaj myśleli zupełnie o czymś innym.

Milczarek otworzył przed stryjowym gościem drzwiczki tylnego wejścia samochodu, sam zajął miejsce za kierownicą. Zapuszczając motor powiedział, iż nie lubi, kiedy ktokolwiek siedzi obok niego, bo to drugie miejsce z przodu jest „śmiertelne”.

- Co to znaczy? - zdziwił się morderca.

- No, nazywają je miejscem śmierci. Może dlatego, że w razie wypadku człowiek obok kierowcy najczęściej ginie albo zostaje ciężko ranny. Dokąd pana zawieźć?

- Marszałkowska przy placu Konstytucji. Miał pan już taki wypadek?

Sportowiec mruknął coś, może nie chciał wspominać. W końcu jednak rzekł:

- W listopadzie zeszłego roku odwoziłem swoim fiatem pewnego profesora po wykładzie. Jestem kolegą jego syna, Jacka. Dwa dni później ten profesor został zamordowany. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z samochodowym wypadkiem, ale... Ktoś go zadźgał nożem w Ogrodzie Saskim. Straszne!

Morderca uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ 5

Właściciel dwóch warsztatów i jednej pralni czekał cierpliwie przez cały tydzień na zapowiadany telefon od dyrektora polonijnej firmy. Potem dodał na wszelki wypadek jeszcze trzy dni, aż zrobił się luty, a inżynier Mirosław Nowacki milczał jak zakłęty. Wreszcie Stolarski zdobył się na odwagę i postanowił poszukać tajemniczej firmy. Tajemniczej dlatego, że nazwiska takiego dyrektora nie znalazł w żadnym polonijnym przedsiębiorstwie. Zasadniczą trudność sprawiało jednak to, że Stolarski nie zdążył tamtego wieczoru zapytać, jak firma się nazywa. Miało to nastąpić po kolacji i przy koniaku, tymczasem dyrektor nagle przypomniał sobie jakiś pilny telefon i odjechał, zanim gospodarz zapisał wszystko, co trzeba.

Nowackich w stołecznej księżce telefonicznej znalazł mnóstwo, Mirosławów tylko dwóch, ale żaden nie był dyrektorem. Jeden nawet powiedział, że owszem, chętnie nim zostanie, póki co jednak praktykuje w protezowni stomatologicznej i ma nad sobą kierownika, który „panie, cóż to za osioł, ja bym na jego miejscu zupełnie inaczej... Dalej Stolarski nie słuchał. Zaglądał niemal codziennie do kawiarni, w której poznał inżyniera-chemika; albo wybierał nieodpowiednią porę, albo Nowacki przestał tam zachodzić.

Może chory? - myślał. - Jakiś wypadek, operacja, szpital. Może wyjechał w interesach do Wiednia, o czym wspominał. Wróci, to się odezwie.

- Mnie on się od razu nie podobał - powiedział kiedyś bokser bratanek. - Taka morda jak u gangstera.

- Co ty tam wiesz o gangsterach - odburknął Stolarski. I po raz dziesiąty spytał: - Dokąd go wtedy odwiozłeś?

- Na plac Konstytucji - cierpliwie po raz dziesiąty odparł krewniak, którego już diabli brali, lecz się hamował.

Stolarski nie wiedział, że w ciągu ostatnich tygodni dwukrotnie minął na ulicy mordercę, ale go nie poznał. „Dyrektor” zapuścił brodę, wąsy, zmienił kapelusz na kolorową włóczkową czapkę, płaszcz na starą kurtkę. Tak odmieniony spojrzał nawet właścicielowi warsztatów prosto w twarz i napotkał wzrok obojętny, co bardzo go ucieszyło. Postanowił utrzymać zarost i nie wychodzić z domu bez ciemnych okularów. Przez kilka wieczorów obserwował Stolarskiego z uwagą, potem zorientował się, że w mieszkaniu jest już żona i córka, częstym gościem bywa krewniak z bokerskiego ringu i zrezygnował z podjętego ongiś zamiaru. Zbyt wiele trudności odstraszało go.

Sierżant zatrzymał się na progu sali. Jak zwykle było tutaj tłoczno i gwarno, goście przy stolikach często zmieniali się, jedli pośpiesznie, spoglądając na zegarki.

Sierżant przychodził po raz trzeci, musiał porozmawiać z każdym kelnerem, oderwać go na chwilę od roboty, czego nie lubili i on się z tym liczył. Teraz patrzył na salę, wyławiając ich wzrokiem. Z tym już - myślał - z tamtym też, i z tamtym... Ale tego widzę po raz pierwszy. Pewnie był na zwolnieniu. Jeżeli jest tu nowy, to nasza rozmowa mija się z celem. No, zobaczymy.

Zatrzymał kelnera w pobliżu przejścia do kuchni.

- O co chodzi? - rzucił tamten nieufnie.

I nagle poznali się.

- Waldek, jak pragnę zdrowia! - Kelner odstawił tacę na bufet, uścisnęli sobie ręce. - Waldek, szukasz miejsca? Zaraz ci coś znajdę na moim rewirze.

- Poczekaj, Darek. Mam do ciebie jedną taką sprawę. Możesz na chwilę odejść gdzieś na bok? Na pięć minut.

Kelner spojrzał na salę fachowym okiem.

- Mogę - zgodził się. - Podałem na trzy stoliki, zaczęli jeść. Chodź!

Wyszli przez szatnię na półpiętro, zapalili.

- Co robisz, Waldek? - spytał kelner. - Nie widziałem cię od matury. Gdzie pracujesz?

- W milicji.

- Czyś ty z byka spadł? Po cóż tam polazłeś?

- Nie pochwalasz? - uśmiechnął się podoficer.

- Człowieku, z kim ty masz do czynienia? Ze złodziejami, dziwkami, wszelkim śmieciem. Nie mogłeś się wziąć za co innego?

- Ktoś to musi robić - odparł po prostu. - Wymiatać te śmiecie.

- Ale dlaczego ty?.'

- A dlaczego nie ja?

Kelner umilkł, wzruszył ramionami. Potem rzekł już spokojnie:

- Twój wybór. Dla mnie zawsze będziesz moim szkolnym kolegą. No, co masz za sprawę?

Sierżant wyjął z kieszeni duże, wyraźne zdjęcie Janusza Bielińskiego. Robiono je rok temu przy jakiejś okazji i Marta, kiedy znalazła zdjęcie w papierach męża, wręczyła Szcześnemu.

- Przyjrzyj się temu facetowi i przypomnij sobie, czy go kiedy widziałeś.

Dariusz wziął fotografią do ręki, zastanawiał się chwilę, a potem rzekł:

- Masz co przeciw niemu? Bo u mnie w pamięci zapisał się jako fajny gość. Nieczęsto się zdarza, żeby w tej sali ktoś dał stówę więcej niż w rachunku.

- A on dał?

- Dał.

- Raz tu był czy kilka razy?

- U mnie, raz.

- Pamiętasz kiedy?

Kelner podrapał się w głowę końcem ołówka, pomedytował.

- Gdzieś tak na początku grudnia. Albo trzeciego, albo piątego, w te dni miałem służbę. Na pewno po południu. Schaboszczaka mu podałem.

- Sam siedział?

- Sam. Ale, czekaj! Teraz sobie przypominam, że przysiadł się do niego jakiś ponurak i rozmawiali. Musieli się przedtem znać, bo mówili do siebie po imieniu. A gość był elegancki i nie wyglądał mi na takiego, co to od razu z każdym „buzi”.

- Darku, to jest bardzo ważne. Powiedz mi, jaki był ten ponurak? Opisz go.

- Przyglądać to mu się tam nie przyglądałem. Wysoki, około pięćdziesiątki, może trochę mniej. Wygolony. Twarz taka, że tylko dać w pysk i patrzeć jak puchnie - skrzywił się.

- Taki brzydki czy co?

- Nie chodzi o urodę. Wiesz, są ludzie, na których raz spojrzysz i już ci jakoś miło na sercu. Patrzą życzliwie. Nie potrafię ci wytłumaczyć, ale my mamy oko na gości. Natomiast ten, jakby to powiedzieć, odpychał od siebie, rozumiesz? Dlatego mówię: ponurak. Twarz jak z kamienia.

- Rozmawiali spokojnie czy sprzeczali się?

- Spokojnie. Waldek, czemu o to pytasz?

- Ten ze zdjęcia nie żyje. Ktoś go zatłukł.

- Cholera! Popatrz, jak to się z ludźmi dzieje.

- Gdybyś sobie przypomniał, o czym mówili...

- Ba! Następnego dnia to bym może jeszcze pamiętał, ale dzisiaj? - Zaprzeczył ruchem głowy. - Wiecie, kto go zabił?

- Nie.

- Rozumiem. Szukasz. Cóż ja ci mogę pomóc? - Rozłożył ręce.

- Może jakieś imię, nazwisko z ich rozmowy? Zawód? Adres?

- Wiem! Ten - pokazał palcem na zdjęcie - mówił do ponuraka: Heniu. Znaczy, że Henryk. Myślisz, że go zabił?

- Skąd mogę wiedzieć? Takich znajomych Henryków czy innych on miał ze stu albo więcej. Był ważnym dyrektorem. Ale szukamy, więc każda informacja jest ważna. Ten Henio wyszedł potem razem z nim?

- Nie. Siedział przy stoliku nad pustą filiżanką, blokował mi stolik, a goście czekali na miejsce. Więc go trochę popędziłem. Wiesz, mamy takie sposoby. Sprząta się naczynia, machnie serwetą, krzeselka przysunie, w ogóle ruch się robi, żeby sobie poszedł.

- I poszedł?

- No, pewnie. Już ja umiem z takimi. Wysoki był, teraz mam go w oczach, jak lazył przez salę, tak ciężko, wolno. Kto go tam wie, może chory.

- Darku, czy ty byś go poznał?

- Bo ja wiem... Chyba tak. Nie widziałem go od tej pory.

- Miał walizkę?

- Na salę z tobołami nie wpuszczamy, jest szatnia. Można wejść z niewielką torbą albo teczką. Ten dyrektor miał ładną, elegancką torbę podróżną. A ten drugi nie. Ale wiesz? Widziałem u niego na palcu sygnet. Złoty, gruby.

- Jakiś napis na sygnecie?

- Jedna litera: A. Duże A.

- Na pewno?

- No, przyjrzałem się, jak mu podawałem kawę. Lubię sygnety. - Obejrzał się na salę, zakręcił niespokojnie. - Waldek, muszę lecieć, bo mi goście pouciekają. Jakbym sobie co jeszcze przypomniał, to gdzie ci dać znać?

- Mieszkam tam gdzie dawniej, u rodziców. Pamiętasz?

- Jasne. Cześć!

Sierżant patrzył za nim chwilę, a potem zbiegł po schodach i pół godziny później zdawał relację, z rozmowy majorowi Szczęsnemu.

- Litera A?

- Tak powiedział.

- „Adamas” - stwierdził raczej niż spytał porucznik Dębski.

- Nie sugerujmy się. Sierzancie, spisz mi tu, kochany, całą rozmowę, dokładnie. Zresztą pewnie nagrałeś?

- Nie - mruknął podoficer, trochę zażenowany. - To kolega ze szkoły. Jakoś nie bardzo... Zaraz napiszę.

- Dziwne obiekcje - mruknął Dębski, kiedy sierżant wyszedł.

- Nie. Ja go rozumiem - odparł Szczęsny.

Do rysopisu człowieka, o którym przypuszczali, że jest poszukiwanym przez nich mordercą, dodali teraz dwa nowe szczegóły. Imię Henryk i złoty sygnet z literą A. To już jest coś, myślał major. Kamienna twarz? Być może kelner lubi literackie określenia. Jak taka twarz wygląda? Spróbował wyobrazić sobie rysy, kształt głowy, oczy. Zwłaszcza oczy. W jednym z tomów trylogii Simonowa przeczytał i zapamiętał zdanie: „...Są oczy, które dają, i są oczy, które biorą, i oczy, które nie wpuszczają.” Jeżeli kelner miał rację, morderca ma oczy, które nie wpuszczają.

Pomyślał, że przesłuchiwanie tego człowieka będzie równie trudne jak jego zatrzymanie. Może nawet trudniejsze.

Odnalazł w którymś pokoju eksperta od portretów pamięciowych i powiedział:

- Posłuchaj, zrób mi taki szkic. Facet wysoki, wiek pomiędzy czterdzieści a pięćdziesiąt, twarz jak z kamienia. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Owszem. Nasz stary ma czasem taką - odrzekł malarz, biorąc do ręki blok i ołówek. - To wszystko, co wiesz?

- Złoty ząb, dolna trójka.

- Która? Z prawej czy lewej?

- Poczekaj. Tak, z prawej. - Musiał dotknąć palcem własnego zęba. - Złoty sygnet na palcu. Nie pytaj na którym, bo nie wiem. Wszystko jedno. Bez brody i wąsów. Duże okulary w czarnej oprawie. Płaszcz, kapelusz wciśnięty na czoło. Podejrzany o dwa morderstwa.

- Jak naszkicować ten ząb? Ma się uśmiechać, szczyrzyć zęby? Nie pasuje do tej twojej „kamiennej twarzy”. Dobra, zrobię dwa szkice. Co jeszcze?

- Nic. Ma na imię Henryk jak ty.

- Ale to nie ja. Nie noszę sygnetów. Kiepski rysopis, nie możesz podzucić czegoś więcej? Kolor włosów, kształt nosa?

- Nie. Po prostu nie wiem. Niech to będzie niewyraźna sylwetka, może mi się uda... - Nie dokończył, zamyślił się głęboko, a malarz rysował, pomagając sobie mrużeniem: „Na Czerniakowskiej, Górnej, na Woli, w ciemnych spelunkach, gdzie życie wre...” Dalej nie pamiętał, więc zaczynał od początku. Po kwadransie oba szkice były gotowe. Szczęśny długo przyglądał się domniemanym portretom mordercy. Chwilami zdawało mu się, że już kiedyś widział tego człowieka, że zetknął się z nim w okolicznościach niejasnych, zamazanych w pamięci, odległych.

- No, jak? - spytał malarz, jak zwykle zadowolony ze swego dzieła. - Mówi ci to coś?

- Nie wiem. Dziękuję, masz u mnie kawę.

- Obejdzie się - mruknął tamten, dokuczała mu wątroba.

Z kolei major poszukał fotografa, poprosił o kolorowe zdjęcia obu szkiców, a potem mnóstwo odbitek. Na pełne złości warknięcie o zawaleniu robotą obiecał koniak, w myśli dodając: kieliszek. Chciał ze zdjęciami pojechać znowu do Szczecina, pokazać synowi Balcerzaka, a w Warszawie staremu jubilerowi, co naprawia brylanty, i kelnerowi z restauracji na Centralnym, i pokazywać ze stu innym osobom, uparcie, systematycznie, aż do skutku: Odbitki rozda się kolegom z dzielnicowych urzędów, ze służby ruchu, rozesła do jednostek milicyjnych w kraju, do WOP-u i gdzie tam jeszcze. Normalka.

Wrócił do swego pokoju i dowiedział się, że „Adamas” przysłał trzeci list. Dziwny, bo przyznawał się do porażki.

„Tym razem mi się nie udało. Piszę wam o tym, bo wydaje mi się, że i tak czekacie na trzecie morderstwo. No, więc poczekacie trochę. Nie udało mi się tylko dlatego, że zaszły niespodziewane okoliczności, których nie mogłem przewidzieć. Cóż, zdarza się. Następnym razem wybiorę inną osobę i lepiej przeprowadzę rozpoznanie. „Adamas”.

- Zaczynam przypuszczać, że jego bawi ta korespondencja - powiedział Daniłowicz. - Zасыpuje nas listami, ale jest przy tym ostrożny, żadnym słowem nie zdradzi się, nie odkryje. Gdybyśmy chociaż wiedzieli, co to były za okoliczności, które mu przeszkodziły... Ktoś miał szczęście i żyje.

- Ciekawe, że każdy list pisany jest na innej maszynie - zauważył Szczęsny. - On musi gdzieś pracować. Biuro, duża spółdzielnia, przedsiębiorstwo. Przecież nie ma w domu trzech maszyn.

- A może właśnie? - podchwycił Dębski. - Prywatny zakład naprawy maszyn do pisania. Iść tym śladem?

- Spróbuj. Ale to prawie jak szukanie igły w stogu siana. W takich zakładach stoi w każdym ze dwadzieścia maszyn, zakładów jest w Warszawie kilkadziesiąt, jeżeli nie kilkaset. Poza tym spłoszysz go. Stefan - zwrócił się do pułkownika - pójdę ze zdjęciami do Zawilskich. Kto wie, czy im się nie skojarzą z kimś znajomym.

Telefon w mieszkaniu pani Elżbiety nie odpowiadał, pojechał więc pod wieczór do Michała, j Byli w domu oboje, właśnie wrócili ze szpitala, i gdzie już drugi tydzień leżała Zawilska.

- Od pierwszej chwili bałem się, że tak będzie - powiedział Michał, bledszy niż zwykle i zatroskany. - To pierwszy zawał, lekarz mówi, że stan matki nie jest groźny, ale... Ona po prostu nie chce żyć.

Jadwiga wyszła do kuchni, nastawiła wodę na herbatę, a tak naprawdę chciała się wypłakać bez świadków. Kochała Elżbietę i serce jej ścisnęło się z żalu, kiedy patrzyła na przygasłą, postarzałą twarz teściowej.

Szczęśny nic nie powiedział, bo nie uznawał konwencjonalnych wyrazów pociechy; sądził jednak, że dobrze będzie choć na krótko oderwać myśli syna od szpitala. Położył więc przed nim kolorowe zdjęcia obu szkieletów i rzekł:

- Niech pan się dobrze przyjrzy. Czy ta sylwetka, tak ogólnie, w zarysie, przypomina panu kogoś?

Michał patrzył chwilę, marszcząc brwi.

- Wie pan co? - odezwał się. - Ja go chyba widziałem. A raczej widywałem - poprawił się. - Dawniej, kiedy jeszcze mieszkałem z rodzicami na Hożej. Nie pamiętam już dziś, czy spotykaliśmy się w sklepie, przy kiosku czy w autobusie, mniejsza o to. Ale cała sylwetka, nawet ten kapelusz nasunięty na czoło, wzrost... Tylko że z całą pewnością nie nosił okularów. Zdaje się, że parę razy zamieniliśmy ze sobą kilka słów. Tak! On musi tu blisko mieszkać. To znaczy nie tu, ale na Hożej - uśmiechnął się przelotnie. - Może i mama pamięta - zamyślił się, sposepniał. - Jednakże nie wolno jej tego pokazywać! Zacznie rozważać, wyciągać wnioski... Przecież nie bez powodu pan mi to przyniósł, prawda?

- W naszej pracy potrzebny jest czas i wiele cierpliwości - odparł Szczęśny, pozornie nie na temat, lecz tamten go zrozumiał.

Pytał potem jeszcze o jakiegokolwiek inne szczegóły, Michał jednak nie był w stanie ich udzielić. Dodał tylko, że jeżeli go pamięć nie myli, człowiek ten jest niewątpliwie inteligentem, pewnie pracownikiem umysłowym jakiegoś biura, choć wniosek może być mylny.

Major pożegnał swego rozmówcę i pojechał na Wilczą, do Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Przy pomocy oficera dyżurnego odnalazł człowieka, który teraz był mu bardzo potrzebny: sierżanta Małeckiego, zwanego przez kolegów kąśliwie „Jajeczko”, bo często zachodził do baru mlecznego na „dwa jajeczka w szklance”. Małecki, jako dzielnicowy, miał w swym rejonie między innymi ulicę Hożą. Szczęśny znał go i doceniał, co u niego oznaczało zaufanie do informacji i wiedzy o mieszkańcach tego rejonu. Nie każdy dzielnicowy na to zasługiwał.

Usiedli na piętze w niszy korytarza, żeby nikt im nie przeszkadzał. Major położył na parapecie zdjęcia i wymownie popatrzał na sierżanta. Nie potrzebował mówić, o co mu chodzi. Małecki brał kolejno do ręki fotografie portretu i, odsuwając je na pół metra, bo był dalekowiedzem, przyglądał się z uwagą. Trwało to czas jakiś, wreszcie rzekł:

- Major zostawi mi zdjęcia do jutra. Zgoda? Muszę pomyśleć.

- Aby nie za długo! Bo widzisz, chłopie...

Nie dokończył. Niedopowiedziane zawisło między nimi w powietrzu, zaciążyło. Sierżant nie lubił takich sytuacji, więc odrzekł szorstko:

- Wiem przecież, o co chodzi. Zrobię wszystko, co potrafię, aby nie dopuścić do następnego zabójstwa. Tylko, majorze, możliwości zwykłego dzielnicowego są niewielkie.

Szczęśny popatrzał na niego swymi wąskimi, czarnymi oczami i rzekł:

- Obaj doskonale wiemy, ile trafnych informacji przychodzi do służby kryminalnej właśnie od was, tych, jak mówisz, zwykłych dzielnicowych. - Wstał, uściśnął mu rękę. - Znajdziesz mnie jutro albo w pracy, albo w domu. W razie czego zostaw wiadomość u dyżurnego.

Pani Bajerowa zastukała do drzwi i uchyliła je, nie czekając na zaproszenie. Z lokatorem żyła w przykładowej zgodzie, dzisiaj jednak zastanowił ją i zaniepokoił niecodzienny ruch w jego pokoju. Zdumionymi oczami spoglądała na opróżnione regały, otwartą szafę i dwie na wpół zapakowane walizki.

- Co się dzieje, panie Henryku? - spytała, widząc, jak wkłada do nich swetry i koszule.

- Co pan robi?

- Pakuję - odparł zwięźle.

- Wyjeżdża pan?

- Wyprowadzam się.

- Co takiego?!

- Nic pani nie straci. Pokój zapłaciłem za cały luty, a dzisiaj dopiero szósty.

- No, ale jakże tak, bez słowa, jakby pan ode mnie uciekał! Żle panu tutaj było?

Przecież nigdy pan się nie skarżył, mieszkając ponad dwa lata. Wyjeżdża pan z Warszawy?

- Tak.

- Daleko?

- Do Zamościa - wymienił pierwsze miasto, jakie przyszło mu na myśl.

Usiadła na krześle, patrzyła na niego z przykrym zdziwieniem.

- I to tak nagle? Zmienił pan posadę?

- Zmieniłem.

- A chociaż na lepszą?

- Na bardzo dobrą.

Milczała chwilę, kiwając głową w głębokim zamyśleniu.

- Zgoliłby pan tę brodę, postarza o dziesięć lat.

- Może zgolę.

Odpowiadał byle co, zajęty dopychaniem walizki. Wreszcie wyprostował się, rozejrzał po pokoju, czy czegoś nie zostawił.

- Panie Jaszewski, a jakby przyszły jakie listy? Dokąd przesłać?

Wiedział, że żadne listy nie przyjdą, ale odparł, że napisze z Zamościa, poda dokładny adres. Wyjrzał przez okno; zamówiona taksówka stała przed domem.

- No, pani Bajerowa - ucałował jej -rękę - dziękuję za wszystko. Napiszę, a jak będę w Warszawie, odwiedzę panią.

Kiedy schodził wolno ze schodów, obładowany walizkami, patrzyła za nim stojąc w drzwiach, aż znikł na parterze. Westchnęła z żalem; lokator był spokojny, grzeczny, kobiet nie sprowadzał, nie upijał się. Marzyło jej się czasami, że zostanie już na zawsze jako mąż. Mówił, że jest rozwiedziony, ona od pięciu lat „pozostawała we wdowieństwie”, jak mu to od czasu do czasu zaznaczała. Ale nie reagował.

- Szkoda - westchnęła po raz drugi. - To byłby mąż!

Taksówka ruszyła z wolna, na jezdniach leżał zamarznięty śnieg i koła buksowały, jechali więc ostrożnie. Kierowca wiedział, dokąd ma zawieźć pasażera, umówili się już wcześniej. Jaszewski tydzień temu wynajął pokój sublokatorski na dalekim Żoliborzu, właściwie były to już Bielany. Pomysł wyprowadzenia się z Hożej przyszedł mu do głowy, kiedy zaniepokoiła go wizyta w milicji na Pradze. Odzyskał wprawdzie dokumenty, ale zaczęło mu się wydawać, że dokoła niego ktoś rozsnuwa niewidzialną sieć podejrzeń. Że go obserwują. Kto? Nie miał pojęcia. Poczul nagłą chęć odejścia ze śródmieścia, wyprowadzenia się z Hożej. Bajerowa, prosta i naiwna kobieta, nie знаła nawet jego miejsca pracy; wspominał kiedyś, że jest urzędnikiem w biurze, nie wymieniając nazwy ani adresu. Nie pytała zresztą, wystarczyło jej, że płaci regularnie, mieszka sam, nikt go nie odwiedza. Kiedy wyjeżdżał na kilka dni, uprzedzał ją. Zdawał sobie sprawę, że w czasie jego nieobecności zagląda do pokoju, otwiera szafy, ciekawa, jak też wyglądają osobiste rzeczy sublokatora. Nie miał o to pretensji, bo niczego w mieszkaniu nie ukrywał.

Lokal przy Malowniczej, do którego się teraz wprowadził, spełniał warunki, których potrzebował. Właściciel, samotny inżynier, przebywał miesiącami za granicą. Drugi pokój zamykał wówczas na klucz, udostępniając lokatorowi kuchnię i łazienkę. Jaszewski znał go ze studiów, potem kiedyś spotkali się na ulicy, trochę odnowili znajomość. Od lutego inżynier Wolski siedział w Syrii na budowie. Jaszewski dostał klucze i-prawo wprowadzenia się w

ciągu tygodnia. Kolega okazał wyrozumiałość, kiedy dowiedział się, że nowy sublokator zarabia tyle, ile on przywykł dostawać na tydzień. Policzył niewiele, chodziło mu raczej o to, aby ktoś znany i pewny pilnował trochę mieszkania i nie zrujnował mebli libacjami z tłumem gości. Jaszewski zapewnił kolegę, że nie ma zamiaru nikogo sprowadzać, woli samotność.

Tak więc zamieszkał daleko od ulicy Hożej. Wprawdzie do przedsiębiorstwa, w którym pracował, musiał obecnie dojeżdżać ponad pół godziny, ale przywykł wstawać wcześniej i nie sprawiało mu to różnicy. Brody, wbrew obietnicy danej swej poprzedniej gospodyni, nie tylko nie zgolił, lecz zapuszczał intensywnie, <tak samo wąsy. Stawał czasem przed lustrem i dziwił się, jak też zarost zmienia wygląd człowieka. Nauczył się nieco przycinać swoje krzaczaste, charakterystyczne brwi, nadając im odmienny kształt. Zakładał przyciemnione okulary, owijał szyję grubym brązowym szalikiem, wysoko, aby zakrywał usta. Była zima i sporo osób tak chodziło.

Sierżant Małecki, krępy, ciemnowłosa, z wąsikami opuszczonymi niedbale i trochę smutno, wszedł do baru mlecznego, stanął przy kasie.

- Dwa jajka w szklance, mleko, dwie bułki - powiedział, obejrzawszy się przedtem, czy nie dojrzy w pobliżu kolegów; wiedział, jak go nazywają. - Masełko też.

Usadowił się w kącie baru, jadł i wciąż intensywnie rozmyślał. Znał swój rejon, pracował w nim blisko cztery lata miał kontakt - lepszy lub gorszy - z wielu mieszkańcami. Jednakże teren jego służby był obszerny, ludzi mnóstwo, przeprowadzali się, umierali, pojawiali niespodziewanie jako sublokatorzy, wyjeżdżali za granicę. Jak pośród tych wszystkich odnaleźć człowieka z portretu, właściwie bez twarzy, bo twarz tę malarz zaledwie zaznaczył, ukrytą w cieniu kapelusza?

Sierżant miał doskonałą pamięć wzrokową, znał w rejonie setki osób, musiał jednak przedtem choć raz spojrzeć komuś w oczy, zakodować we własnym „ja” jego rysy, sposób mówienia, zarost, jakieś cechy szczególne. Wtedy już go nie zapomniął.

- Jajeczka? - usłyszał rozbawiony głos.

Plutonowy siadł naprzeciw niego, stawiając ostrożnie pełną tacę.

- Odczep się.

- Był do ciebie telefon z Mostowskich. Jakiś major.

- Dawno?

- Z godzinę temu.

- Co powiedziałeś?

- Że jesteś w terenie.

- Dobra.

Skończył jeść, wyszedł na ulicę. Wpierw zadzwonić czy od razu jechać? - zastanawiał się. Wsiadł do tramwaju, pojechał.

Szczęśny czekał na niego niecierpliwie.

- Więc tak - Małecki położył na biurku zdjęcia. - Cała trudność w tym, że tu nie ma wyraźnie narysowanej twarzy. Typowałem tylko sylwetkę, ubiór, imię. Takiego sygnetu nie widziałem u nikogo.

- No i?

- Tak na oko wyodrębniłem około dwudziestu. Trzech spośród nich ma na imię Henryk. Sześciu nosi wąsy. Jeden jest inwalidą, kuleje. Dwóch to profesorowie Politechniki, mają samochody. Zresztą z pozostałych osiemnastu własnym wozem jeździ siedmiu. Jeden na taksówce, prywatnej.

- Czy to oznacza, że tych dwudziestu znacie z imienia, nazwiska, adresu?

- Tak. - Wyjął notes, otworzył tam, gdzie było założone. - Trzech Henryków, to: chirurg z Kliniki Akademii Medycznej, nazywa się Pochylski, mieszka na Hożej osiem; prywatny taksówkarz, Bieniek, Marszałkowska trzydzieści sześć i taki inżynier Jaszewski z Hożej dwanaście, pracuje w Przedsiębiorstwie Badawczo-Rozwojowym, zwanym popularnie „czternastką”. Pomyślałem sobie jednak, majorze, że z imieniem to może być pomyłka. Kelner słyszał: Heniu, a jeżeli ów dyrektor powiedział na przykład: Geniu, od Eugeniusza, albo Zeniu, od Zenona? Beniu, od Benedykta? Mój tata był Benedykt - dorzucił, uprzedzając zarzut, że niby kto dzisiaj ma takie imię.

- Oczywiście, trzeba to wziąć pod uwagę. Macie tych dwudziestu na oddzielnej kartce?

- Mam. Proszę. - Podał stronę, wyrwaną z notesu. - Czy major chce, żebym się nimi zajął bliżej? Bo w rejonie roboty od groma, więc nie wiem, czy dałbym radę.

- Nie, sierzancie, to już moja sprawa. Dziękuję za pomoc. No, chyba żebyście w trakcie służby zauważyli coś szczególnego, co ma związek ze śledztwem, które prowadzę, wtedy zawiadomcie.

- Tak jest. Odmeldowuję się - powiedział służbiście, trochę dla żartu, bo Szczęśny nie wymagał takich zwrotów, a trochę z przyzwyczajenia, bo usilnie wymagał tego zwierzchnik Maleckiego z Wilczej.

Major zwołał naradę w trybie pilnym, jak to określił, zapraszając swego szefa, porucznika Dębskiego i dwóch podoficerów, przydzielonych do śledztwa. Opowiedział o

informacji, którą uzyskał od dzielnicowego ze Śródmieścia, przeczytał listę wytypowanej dwudziestki i rzekł:

- Zdaję sobie sprawę, że to może być mylny trop. Ale jak dotąd jest to trop jedyny. Sygnet, złoty ząb, później grupa krwi, te szczegóły z pewnością pomogą.

- Do ujęcia może - zauważył Daniłowicz. - Ale do udowodnienia zabójstw? Jednak trzeba wreszcie podjąć jakiś kierunek śledztwa. Więc właśnie ten. Prawdę mówiąc na razie nic innego nam nie wychodzi. Jak rozdzielisz zadania?

- Moja grupa liczy cztery osoby. Aż cztery - dodał z przekąsem. - Wypada więc po pięciu na jednego pracownika. Weźmiemy z listy nazwisk jak leci. Jurku - spojrzął na porucznika - dla ciebie pierwsza piątka. Ja wezmę następną, koledzy - zwrócił się do podoficerów - podzielią się pozostałą dziesiątką. Stefan, czy kapitan Połoński...

- Pamiętam - przerwał mu pułkownik. - Jak tylko Połoński zakończy swoją robotę, przydzielę go do twojej ekipy. Ale jest zima, niektórzy chorują na grypę, na korzonki, łamie ich w kościach. Licz się z tym.

Szczęśny pojechał do domu. Jak zwykle wpierw dotknął kaloryfera, czy grzeje, popatrzał na rurę pod sufitem, czy nie pękła, bo zrobiła to już dwukrotnie, zalewając parapet, sprawdził, czy w kranach jest woda. Dopiero wtedy, uspokojony, że w domowym gospodarstwie jak na razie wszystko w porządku, zabrał się do studiowania nazwisk z notesu. Było wśród nich trzech Henryków.

Intrygował go chirurg z Hożej osiem. Sztylet - myślał - albo skalpel? Dokładnie wymierzone uderzenie, prosto w prawą komorę serca. Fachowa ręka. Małecki podał trochę bliższych danych, z których wynikało, że pan doktor ma lat czterdzieści trzy, jest żonaty, jedno dziecko (syn), dwa pokoje w starym domu na drugim piętrze, samochód wartburg kupiony rok temu, kartoteka czysta. Kilka wyjazdów za granicę, do Wiednia i Sofii. Do stolicy sprowadził się ze Szczecina dziewięć lat temu.

To było zastanawiające: Wiedeń i Szczecin. Bieliński często jeździł do Wiednia, a mieszkał w Szczecinie. Trzeba porozmawiać z panem doktorem. Najlepiej w klinice, jakiś pretekst się znajdzie.

Taksówkarz? Raczej odpada. Tu pasowałby prędzej klucz francuski albo młotek, ale nie sztylet. Warszawscy taksówkarze są na ogół życzliwi, wożą ludzi, aby zarobić, a nie czają się na nich gdzieś w parku czy w pociągu. Rzecz jasna, zdarzają się wyjątki.

Inżynier Jaszewski? Mieszka jako sublokator, jest rozwiedziony, bezdzietny, pracuje, samochodu nie ma - to prawie wszystko, co o nim sierżant wiedział. Nie karany. Z zawodu

chemik. Jakby chciał mordować, posłałby swej ofierze paczkę z materiałem wybuchowym albo poczęstowałby trucizną. W kawie, koniaku, czekoladkach.

- Upraszcza - mruknął.

Pozostałe dwa nazwiska zupełnie nie pasowały do zbrodni: profesor Polskiej Akademii Nauk, pięćdziesiąt osiem lat, odznaczony, zasłużony - i znany aktor dramatyczny, o którym Szczęsny akurat wiedział, że dwudziestego pierwszego listopada, kiedy zamordowano Zawilskiego, przebywał na gościnnych występach we Francji. Skreślił więc dwa ostatnie nazwiska i postanowił zacząć od chirurga.

Kilka dyskretnych rozmów ułatwiło ów pretekst. Szczęsny pojechał do kliniki jako oficer prowadzący śledztwo w sprawie zaginięcia narkotyków z miejscowej apteczki. Sprawa była autentyczna, choć zajmował się nią inny funkcjonariusz; włączenie się majora uzgodniono na szczeblu dwóch pułkowników z Pałacu Mostowskich. Zaginięcie kilku pudełek z ampułkami morfiny stwierdzono na drugi dzień po nocnym dyżurze chirurga Henryka Pochylskiego. Tak więc rozmowa z nim dawała majorowi możliwość swobodnego przyjrzenia się lekarzowi i wyrobienia sobie choćby pobieżnej opinii.

Kolega, który od tygodnia prowadził sprawę, zrelacjonował mu dotychczasowe wyniki. Narkotyków nie odnaleziono i była słaba nadzieja, że wrócą do apteki. Pochylski miał w trakcie dyżuru jedną operację i trzy zabiegi; wydawanie lekarstw, rozliczanie ich nigdy nie należało do obowiązków dyżurnego lekarza, zwłaszcza chirurga. Pochylski był więc „czysty”, mógł jednak pomóc w śledztwie.

- Gdyby chciał - dodał kolega - bo to człowiek mało komunikatywny.

Szczęsny wszedł na piętro, gdzie mieściła się sala operacyjna, ambulatorium i apteka. Kurtkę zostawił na dole w szatni, a woźny, spojrzawszy na podsuniętą mu legitymację, zaopatrzył majora w biały płaszcz lekarski. Były godziny przedpołudniowe, czas operacji. Któraś z pielęgniarek poinformowała go, że doktor Pochylski za chwilę będzie miał przerwę pomiędzy wyrostkiem a woreczkiem; przerwa potrwa około dwudziestu minut, lekarz z pewnością wypije kawę w dyżurce.

- Dziękuję - odparł, obdarzywszy pielęgniarkę uśmiechem, bo mu się spodobała.

Ona jednak przytrzymała go za rękaw i spytała szeptem:

- Czy ciągle chodzi wam o tę morfinę?

- Ciągle.

- Doktor Pochylski na pewno nie miał z tym nic wspólnego - tłumaczyła mu żarliwie. -

To uczciwy człowiek i świetny chirurg.

- Wezmę to pod uwagę - zapewnił ją. - Gdzie ta dyżurka?

- Ostatnie drzwi po prawej. O, właśnie idzie pan doktor!

Wysoki, wyprostowany jak na defiladzie mężczyzna w zielonym kitlu, trochę pokrwawionym, wyszedł z sali zabiegowej, kierując się do pokoju dyżurnego. Szczęsny odczekał chwilę, a potem zastukał do drzwi, które zresztą były uchylone. Usłyszał opryskliwe:

- Wejść!

Pochylski siedział na krześle przy stoliku, pisał coś. Nie spojrzał na wchodzącego, rzucił tylko zmęczonym głosem:

- O co chodzi?

Ponieważ nie padła żadną odpowiedź, uniósł głowę i popatrzał na przybysza. Tymczasem Szczęsny skorzystał ze swej chwilowej anonimowości, aby przyjrzeć się lekarzowi, zobaczyć jego twarz taką, jaką ma tylko dla siebie, kiedy jeszcze nie wie, z kim ma do czynienia. Tym bardziej z przedstawicielem milicji.

- Kim pan jest? - spytał chirurg.

- Major Szczęsny-ze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Chciałbym porozmawiać z panem, doktorze. Sprawa narkotyków.

- Znowu? Przecież wszystko już powiedziałem pańskiemu koledze. - Przeciągnął dłonią po oczach, odkaslnął. - Za niecałe dwadzieścia minut mam następną operację. No, dobrze. Niech pan siada. Napije się pan kawy?

Nie czekając na zgodę nalał z termosy do dwóch szklanek, przysunął torbę z cukrem, mruknąwszy coś o braku naczyń. Major przyglądał mu się bezceremonialnie, ale na chirurgu nie robiło to wrażenia. Pił kawę drobnymi łykami, wydawało się, że myśli tylko o czekającej go operacji. Ręce miał bardzo czyste, o delikatnej skórze, wymacerowanej od nieustannego szorowania. Żadnego sygnetu ani obrączki. Oczywiście, takie rzeczy zdejmuje się do zabiegu. Złoty ząb? Nawet dwa... w górnej szczęce.

- Byłem niedawno w Szczecinie - powiedział major. - To, zdaje się, pańskie rodzinne miasto.

- Niezupełnie. Urodziłem się w Kcyni i dopiero kiedy miałem osiem lat, rodzice przenieśli się do Szczecina. Studia kończyłem w Warszawie, wróciłem do domu, potem założyłem własną rodzinę i w rezultacie wylądowałem znów w Warszawie. - Mówił cicho, jakby wspominając przeszłość z jakiejś wewnętrznej potrzeby, nie dla obcych uszu.

- Zetknął się pan może w Szczecinie z Januszem Bielińskim?

Coś drgnęło w przygarbionej nad stołem, sennej sylwetce, w oczach błysnęła nieufność. Odstawił na bok pustą szklankę, spojrzał na zegarek.

- Bielińskiego? - powtórzył ze źle udawanym roztargnieniem. - Zdaje się, że w „Intermexie”? Zaraz muszę iść na salę. Na co panu Bieliński? Chyba narkotyków nam nie ukradł - spróbował zażartować.

- Znał go pan?

- Dlaczego pan to mówi w czasie przeszłym?

- Pan powinien najlepiej o tym wiedzieć.

Strzelił na ślepo. Chirurg rzucił mu ostre, złe spojrzenie. Wstał.

- Wybacz pan, majorze. Chory nie może czekać. Muszę się przygotować do zabiegu. Czy to miała być rozmowa o narkotykach czy o Bielińskim?

- A jak pan sądzi?

Zapiął szczelnie zielony kitel, wydawało się, że zrobiło mu się zimno. Już we drzwiach odwrócił głowę i powiedział:

- Szkoda, że idzie pan w absolutnie niesłusznym kierunku. Znałem Bielińskiego, wiem, co się z nim stało. Miałem z nim swoje własne porachunki, ale do jego śmierci nie przyłożyłem ręki. Mimo iż... - Nie dokończył, wyszedł z pokoju.

I bądź tu mądry - myślał Szczęsny, zbiegając po schodach kliniki.

Oddał woźnemu biały kitel, nałożył kurtkę i po półgodzinie siedział sam w wydziale, paląc i rozważając tę dziwną rozmowę. W końcu sięgnął po słuchawkę, służbowym kablem połączył się z Wojewódzkim Urzędem Spraw Wewnętrznych w Szczecinie, poprosił z majorem Walczakiem. Kiedy tamten odezwał się, Szczęsny powiedział:

- Mam do ciebie sprawę dość delikatną - tu powtórzył swoją rozmowę z Pochylskim, a potem rzekł: - chodzi mi o to, co mogło kiedyś być przyczyną zatargu pomiędzy nim a Bielińskim. Rozumiesz jego określenie: „miałem z nim porachunki”? Co to było?

- Mogę ci od razu wyjaśnić - odparł Walczak - bo kiedy dyrektor zginął, badaliśmy jego życiorys, znajomych i tak dalej. Otóż Pochylski swego czasu zakochał się, nawet zaręczył z Martą Chomiez, późniejszą panią Bielińską, dziś po nim wdową. Ładna dziewczyna zawróciła najpierw w głowie skromnemu lekarzowi, a potem szybko zorientowała się w możliwościach finansowych Bielińskiego i w jego upartym dążeniu do kariery. Po prostu kobiecym instynktem wyniuchwała, że facet ma przysłowiowy łut szczęścia. A że sama lubi pieniądze, bez żalu porzuciła młodego chirurga i została panią dyrektorową, bo on już w tym czasie kierował „Intermexem”. Że Pochylski miał z nim osobiste porachunki, w to wierzę.

- To tak sprawa wygląda - zamyślił się Szczęsny. - Znałeś lekarza, kiedy mieszkał w Szczecinie?

Walczak roześmiał się.

- Przecież dziesięć czy dwanaście lat temu pracowaliśmy razem w Komendzie Stołecznej! Nie pamiętasz?

- Racja. Trzeba mi się jednak zająć bliżej Pochylskim.

Kilka następnych dni przyniosło ważną wiadomość. Okazało się, że w nocy z dwudziestego siódmego na dwudziesty ósmy stycznia doktor Pochylski wracał, odwiedzwszy rodziców, ze Szczecina do Warszawy. Wracał tym samym pociągiem, co Bieliński. Mało tego: zajmował łóżko w tym samym wagonie sypialnym, tyle że w drugiej klasie. Konduktor przypomniał sobie, że pasażer z legitymacją służbową, upoważniającą do zniżki kolejowej na jakiejś tam zasadzie, nazywał się Henryk Pochylski. Rozpoznał go też, choć z pewnym trudem, na okazanym przez milicjanta zdjęciu.

- No i co teraz?

Szczęśny postawił to pytanie swemu szefowi, bo wyjątkowo tym razem wolał otrzymać polecenie służbowe. Daniłowicz pyknął parę razy z fajki, wzruszył ramionami.

- Proste. Weź doktora w obroty. Nie twierdzę, że to on, ale mógł coś widzieć, słyszeć. Mógł zapamiętać twarz zabójcy, kto wie, czy nie jechał z nim w jednym przedziale. Mam cię uczyć? Sam wiesz.

- Wiem, ale...

Pochylski rzeczywiście, jak go uprzedzał kolega, nie okazał się komunikatywny. Prawdopodobnie był zmęczony śledztwem w sprawie narkotyków. Czy odczuwał ciche zadowolenie ze śmierci Bielińskiego? Czy chciałby teraz spojrzeć Marcie w oczy i powiedzieć: źle wybrałaś? A może właśnie dobrze. Marta lubi dostatek, mąż pozostawił jej prawie ukończoną willę, spore walory w banku, biżuterię. Jest wciąż jeszcze ładna, atrakcyjna. Wyjdzie drugi raz za mąż... Może powróci do swej pierwszej miłości?

W nocy, na próżno próbując zasnąć, pomyślał: czy taki wyrafinowany akt zemsty na rywalu, po iluś tam latach, dałby lekarzowi satysfakcję? Odrzucona miłość przerodziła się w zapiekłą nienawiść. Czy naprawdę?

ROZDZIAŁ 6

Wychodząc spod prysznicza pomyślała z nagłym żalem: Jeszcze tylko dwa dni. Szkoda!

Lubiła Madryt. Lubiła w ogóle Hiszpanię, może zresztą raczej Hiszpanów, bo kraj знаła pobieżnie z kilku wyjazdów; stolica i Toledo, to właściwie wszystko. Owszem, potrafiła docenić piękno starej architektury. Dwukrotnie, wraz z grupą przygodnych turystów, zwiedziła pałac królewski Oriente i wpadła w nieklamany zachwyt nad apartamentami królowej matki Krystyny, zwłaszcza nad jadalnią o ścianach wybitych purpurowym aksamitem i z wielkimi lustrami. Dostała oczopląsu w blisko stu salach muzeum Prado, gdzie malarstwo hiszpańskie znalazło się w komplecie; po wyjściu stamtąd powiedziała, sobie, że na coś takiego to albo rok, albo wcale.

Sądziła, że wypada w Madrycie choć raz znaleźć się w operze lub innym teatrze. Kiedy jednak usłyszała, że jest ich dwadzieścia pięć, szybko zrezygnowała na rzecz corridy. Znajomym i w Warszawie wytłumaczyła to tak:

- „Carmen” czy innego „Fausta” mogę doskonale zobaczyć i usłyszeć tu, na miejscu, a corridy w Polsce nie ma. - Stwierdzili, że ma rację.

A tak naprawdę, do czego zresztą się nie przyznawała, zachwycali ją przede wszystkim ci chłopcy, smagli, czarnoocy, dumni i wprawni miłośnicy, o czym od czasu do czasu godziła się przekonać. Uśmiechała się do wszystkich, począwszy od dyrektora firmy handlowej (choćby był łysy i z brzuchem) aż do kelnera, ekspedienta czy nawet ulicznego włóczęgi w podartej koszuli.

Miała tu powodzenie. Wysoka, dobrze zbudowana jasna blondynka o gęstych, wijących się włosach i ciemnoniebieskich oczach wzbudzała zainteresowanie, podziw, chęć zbliżenia. Cieszyło ją to, bo kochała powodzenie; potrzebne jej było do nieustannego podkreślania urody i młodości. Skończyła zaledwie trzydzieści jeden lat! Potrafiła jednak umiejętnie oddzielać sprawy prywatne od służbowych. W tych drugich wykazywała męską stanowczość i doskonałą orientację. Tam, gdzie to było potrzebne, przejawiała nieustępliwość, w innych sytuacjach umiała lawirować, trochę złagodzić swe żądania, to i owo dołożyć lub odjąć.

„Świetna w łóżku, jeszcze lepsza w interesach” - powiedział raz, w przystępie nagannej szczerości, szef firmy, w której pracowała. Kiedy z taką opinią życzliwe koleżanki co prędzej ją zaznajomiły, umówiła się z szefem późną porą w parku, wymierzyła mu

siarczysty policzek za niedyskrecję i zażądała podwyżki oraz samodzielnego pokoju w biurze. Jedno i drugie otrzymała następnego dnia, bo dyrektor bardziej cenił jej niewątpliwe talenty w handlu zagranicznym niż głupie kilka tysięcy złotych. A osobny pokój znalazł niemal natychmiast, wyrzucając z niego dawną sekretarkę.

Teraz, pod koniec lutego, załatwiała interesy pomiędzy warszawskim przedsiębiorstwem „Infarkom” a dwoma madryckimi firmami. Właściwie obgadała już wszystkie pro i contra, ustaliła z grubsza cenę, ilość i terminy dostaw, przyjęła bez wahania kilka drobnych upominków, obiecała jednemu z dyrektorów spotkanie, na które nie miała zamiaru pójść, bo nie wyglądał na Hiszpana. Mogła więc, na dobrą sprawę, następnego dnia wyjechać do Warszawy.

Mogła. Ale nie musiała. Jeden dzień na łąkę po Madrycie, jeden na tablo flamenco, najlepiej - w Los Castañeros, wieczorem, w towarzystwie tego Juana z Hiszpańskich Linii Lotniczych, który proponował to już dwukrotnie, pokazując w uśmiechu dwa rzędy olśniewająco białych zębów. Tak sobie ułożyła i tak zrobi. Nikomu nic do tego, ile czasu rzeczywiście zajęły jej sprawy służbowe, a ile - powiedzmy, osobiste.

Więc dobrze. Rozczesała i ułożyła włosy, ubrała się w biały golf, białe spodnie i zamszową kamizelkę w kolorze ciemnego złota. Kilka kropel - kilka, bo obłędnie drogie - perfum Loris Azzaro, spojrzenie w lustro i można zejść na śniadanie. Hotel „Negresco” był z gatunku średnio drogich, na ogół zatrzymywała się w którymś z niezliczonych małych hostali, tym razem jednak szef - być może, mając wciąż w pamięci scenę w parku - sam zaproponował coś lepszego. Weszła do hotelowej restauracji, prawie pustej o tej porze; dochodziła dziesiąta. Zamówiła kawę, jakiś sok i huevos a la madrileña, czyli jajka „w koszulkach”, zapiekane w sosie pomidorowym posypane serem. Jadła ze smakiem, lubiła kastylijskie potrawy, nie przerażała jej obfitość cebuli, czosnku i oliwy.

Po mieście spacerowała i jeździła to metrem, to autobusem aż do zmroku. Dzień był, jak na Hiszpanię, chłodny, cienka warstwa śniegu pokrywała trawniki. Dwie godziny spędziła w jednym z największych domów towarowych Galerías Preciados. Można tam było zaopatrzyć się we wspaniałą konfekcję, artystyczne wyroby skórzane i mnóstwo innych rzeczy, oczywiście jeżeli miało się dobrze wypchany portfel. Kupiła jakieś drobiazgi z tych najtańszych, aby tylko jak najdłużej chodzić wolnym krokiem od stoiska do stoiska, sycić oczy widokiem modnych, barwnych strojów, biżuterii, słynnych hiszpańskich butów i czego tam jeszcze.

Wreszcie zmęczona, na obolałych nogach, dotarła do hotelu. - Czas na solidną kolację - powiedziała na głos, siadając przed lustrem, aby poprawić makijaż. Z westchnieniem

przeliczyła pozostałe pesety. Musiały wystarczyć na jutrzejsze śniadanie i obiad, resztę zapłaci Juan. Rachunek hotelowy uregulowała wcześniej, należność za bilet lotniczy również.

Zeszła do restauracji, tym razem pełnej. Znajomy kelner zrobił do niej oko, pokazał mały stolik przy oknie. Kiedy usiadła, pochylił się nad nią z uśmiechem. Przez chwilę miała wrażenie, że musnął wargami jej włosy, ale być może się myliła.

- Chuleta de ternera - powiedziała. - Antes... - zawahała się nad kartą, przebiegała wzrokiem zakąski, zwłaszcza ceny.

- Pulpos? Mucho sabroso! - zaproponował i dotknął jej ręki, trzymającej menu.

- A, fe! - mruknęła.

Nie odnosiło się to jednak do tej łagodnej pieszczoty, lecz do propozycji, pulpos bowiem oznaczała gotowane ośmiornice. Zrezygnowała z zakąsek, zamówiła do kotleta cielecego najtańsze białe wino, a na deser pączki nadziewane miodem. Jutrzejsze śniadanie i obiad będą z gatunku tych skromnych, najlepiej skorzystać z tak zwanego turystycznego menu. Powetuje to sobie wieczorem.

Kiedy szła później przez hall, podbiegł do niej boy hotelowy.

- Señorita, por favor! Señorita Magdalena Le... Leno... - zająknął się, więc mu pomogła:

- Lenowicz?

- Si! - ucieszył się.

Pokazał ręką na recepcjonistę. Podeszła, spytała po angielsku, o co chodzi, hiszpański znała słabo. Okazało się, że był do niej telefon z Warszawy. Jakaś ważna sprawa, będą jeszcze raz dzwonić o jedenastej, czyli za kilka minut.

Telefon odezwał się, ledwie zdążyła wejść do pokoju. To był szef. Rozmawiali krótko; ma wracać jak najprędzej, czeka ją konferencja z włoskimi przedstawicielami jednej z firm, a potem wyjazd do Florencji. Dyrektor nie spytał, jak załatwiła sprawy madryckie, miał do Magdaleny pełne zaufanie, że nie zawiedzie. Powiedziała mu więc tylko, że tu wszystko okay, zaklęła po cichu pomyślawszy o spalonej randce z Juanem, ale uradował ją planowany wyjazd do Włoch.

Pozostawała kwestia lotniczego biletu; nie zawsze udawało się zmienić termin odlotu. Liczyła jednak na słaby o tej porze roku ruch na liniach LOT-u i na osobiste znajomości w biurze Lineas Aereas Polacas na Calla Princesa.

Jaszewski wziął zwolnienie lekarskie i siedział w domu. Męczył go kaszel, gorączka i katar, więc nie wychodził z mieszkania, obywając się bez gorącego jedzenia. Zresztą nie czuł głodu, chciało mu się tylko pić. Leżał po całych dniach na tapczanie, wpatrzony w sufit albo w obraz nad stołem, chociaż gdyby mu kazano powiedzieć, co przedstawia, byłby w kłopotcie. Patrzył bezmyślnie, wbijał wzrok w cokolwiek i tak trwał nieruchomo, nakryty dwoma kocami, bo kaloryfery kiepsko grzały.

Pił dużo gorącej herbaty, przegryzając kawałkiem bułki. Pił też wódkę, kiedy czuł dreszcze, ale, na trzeci dzień w butelce nic już nie zostało. Przelotnie pomyślał, żeby zadzwonić do któregoś z kolegów w biurze. Jednakże telefon był w zamkniętym pokoju gospodarza, a na wyjście do automatu nie mógł się zdobyć. Nie chciał również korzystać z pomocy sąsiadów, chociaż pewnie by jej nie odmówili. Nie chciał w ogóle, aby go widzieli, poznali. Zapamiętali.

W biurze nie podał jeszcze zmiany adresu. Złożył tylko druczek lekarskiego zwolnienia, bąknął coś o grypie i znikł. Teraz przyszło mu na myśl, że w razie potrzeby ktoś z pracowników pojedzie na Hożą i, dowie się od Bajerowej, że pan Jaszewski wyjechał na lepszą posadę do Zamościa. Wyobraził sobie zdumienie kolegów, kierownika wydziału, kadrowej i roześmiał się cicho. Cóż, grypa minie i wszystko się wyjaśni.

We wtorek poczuł się trochę lepiej; przespał tę noc bez uporczywego kaszlu i gardło mniej bolało. Wstał koło południa, powłókł się do łazienki. Była nieogrzana, więc nie odważył się wykapać. Umył się tylko pobieżnie, zmienił koszulę, przewietrzył pokój. Do jedzenia nie było w kuchni dosłownie nic poza kromką chleba, suchą jak wiór. Natomiast w lodówce, należącej do właściciela, znalazł kilka puszek konserw rybnych, kostkę masła, stwardniałą na kość, i jajka. Był też żółty ser, ale nie dał się nawet ukrajać, więc zrezygnował z niego.

Ugotował dwa jajka, rozmoczył chleb we wrzątku, położył na niego plaster zmarznętego masła; zrobiła się tłusta breja, ale posolił i zjadł. Kiedy kończył śniadanie, usłyszał zgrzyt kluczy w zamku drzwi wejściowych.

Wolski? - zdziwił się. Inżynier miał wrócić dopiero w marcu. Odstawił szklankę z herbatą i właśnie miał zamiar podnieść się z kuchennego stolka, kiedy ją zobaczył. Zatrzymała się w otwartych drzwiach przedpokoju - wysoka, zgrabna, ubrana w beżowe puszyste futro i czerwone botki. Na głowie miała futrzaną czapkę, w ręku jakąś paczkę. Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Jaszewski mimo woli okrył się szczelniej szlafrokiem, odkaszlnął.

- Kim pan jest? - spytała wreszcie. - I co pan tu robi?

Głos był ostry, energiczny i mało przychylny. Zirykowało go to.

- O to samo mógłbym panią zapytać - odparł.

Usiadł, popił herbaty. Zastanowiło go jednak, skąd ma klucze do mieszkania. Wolski nie był żonaty i nic mu nie wspominał o ewentualnym ożenku.

- Ja tu jestem u siebie - rzuciła gniewnie.

- Ja również... w pewnym sensie. Wynająłem pokój, zapłaciłem, korzystam z kuchni i łazienki. - Wolał zawczasu się obwarować należnymi mu prawami, niech wie co i jak.

Wciąż patrzyła na niego bez odrobiny życzliwości. W końcu wróciła do przedpokoju, zdjęła futro i czapkę. Usłyszał, jak własnym kluczem otwiera pokój Wolskiego. Nagle pomyślał: może to złodziejka? Wyszedł z kuchni, stanął na progu pokoju. Pochylona nad tapczanem, nie od razu go zauważyła, w miękkich pantoflach cicho stąpał po dywanie. Potem odwróciła się, zmarszczyła brwi.

- Czego pan tu chce? - zawołała.

- Inżynier Wolski prosił mnie przed wyjazdem o zaopiekowanie się mieszkaniem - odparł, powściągając gniew. - Dlatego pytam, kim pani jest, bo nic mi o pani nie mówił.

- I dobrze zrobił. To nie pańska sprawa.

- Niechże pani zrozumie, że...

- Tu nie ma nic do rozumienia - powiedziała opryskliwie. - Pan jest sublokatozem, a mnie on też nic nie mówił, że wynajął komuś pokój. Zresztą - obrzuciła go ironicznym spojrzeniem - na włamywacza pan nie wygląda.

Mimo wszystko postanowił wyjaśnić sytuację.

- Nazywam się Jaszewski, znamy się z Janem Wolskim jeszcze ze studiów. Może dowiem się, z kim mam do czynienia?

Podeszła bliżej, wciąż miała ten arogancki, zuchwały wyraz twarzy, który go tak z miejsca zirykował.

- A ja się nazywam Magdalena Lenowicz, szanowny sublokatorze. Przyszła małżonka gospodarza tego lokalu. Dlaczego pan chodzi w szlafroku o dwunastej w południe? W dodatku brudnym.

-; Mam grypę - odparł z zażenowaniem.

Dobrze pamiętał, że szlafrok dawał do pralni jeszcze wiosną zeszłego roku, pantofle są rozdeptane, a o skarpetkach lepiej nie myśleć.

- Ładna historia! Roznosi pan po mieszkaniu tego swego wirusa, używa kuchni, łazienki.

- Trudno, żebym wyniósł tapczan na ulicę! - wybuchnął ze złością. - Przecież pani tu nie mieszka, więc o co chodzi?

- Właśnie mam ten zamiar. U mnie chwilowo awaria centralnego.

- Tutaj też słabo grzeją.

Stał ciągle na progu pokoju, obserwując zgrabną sylwetkę Magdaleny Lenowicz, przyglądał się jej twarzy, włosom, eleganckiej sukni z szarej delikatnej wełny, ozdobionej granatowym paskiem. Nie orientował się, że skromny ha oko pasek pochodzi z firmy Debenhams w Londynie, a maleńkie złote klipsy w uszach od H. Samuela; jedno i drugie otrzymała w podarunku, co oczywiście nie powinno go było obchodzić.

- I czego pan mi się tak przygląda? - burknęła gniewnie.

Nie odpowiedział. Zastanawiał się nad czymś. W końcu zapytał:

- Naprawdę chce pani nocować w tym mieszkaniu?

- Owszem. Dlatego nie życzę sobie pańskich łachów w łazience. Do kuchni, to już trudno, herbatę może pan sobie zagrzać, ale żadnego większego gotowania. W każdym razie póki ja tu jestem. - Popatrzała znów na niego, wzruszyła ramionami. - Z takim brudasem pod jednym dachem! Mógłby pan się chociaż uczesać. A w ogóle niech pan stąd idzie. Ma pan przecież swój pokój, sublokatorze.

Wycofał się powoli, nie spuszczać z niej wzroku. Wydeła wargi, zrozumiała po swojemu to spojrzenie.

- I niech pan sobie od razu wybije z głowy jakieś bliższe- kontakty pomiędzy nami - powiedziała z ironią.

- Pani mnie traktuje jak włóczęgę czy żebraka! - wrzasnął nagle. - Pani zapomina, że jestem inżynierem, kolegą Wolskiego z Politechniki, a nie żadnym brudasem!

- Inżynier też może być brudas - odparła. - Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Pańskie dyplomy mnie zupełnie nie interesują. A teraz niech pan już wreszcie się wynosi.

Zamknęła mu drzwi przed nosem, po sekundzie przekręciła klucz. Odczuł to jak dowód nieufności. Może obawy? Wrócił do swego pokoju, położył się. Magdalena była ładna, pociągająca i niedostępna. Narzeczona Wolskiego? To, oczywiście, miało znaczenie, ale... Koledzy to nie przyjaciele. Taka awaria centralnego ogrzewania może potrwać kilka dni. Pod jednym dachem? O ścianę. W tej samej kuchni, łazience, na tym samym korytarzu. W nowych blokach słyhać każdy krok, a w nocy - kto wie? Może nawet jej oddech za ścianą.

Leżał długo, rozmyślał. Słyszał, jak kręciła się po mieszkaniu, nuciła jakąś piosenkę w obcym języku, może to był włoski albo hiszpański. Dobiegły do niego oderwane słowa: „...la morenilla, por suerte... Conchita si no quieries...” Nie rozumiał, ale to nie było ważne. Miała

ładny, miękki głos. Zupełnie inny niż ten, którym z nim rozmawiała. Wyobraził sobie, że przychodzi do niego w nocy, taka właśnie łagodna, uśmiechnięta, jakiej nigdy nie widział, ale jaka z pewnością stawała się z człowiekiem, który jej się podoba.

Potem wyszła. Wtedy wstał, posprzątał pokój. Ubrał się starannie, uczesał, uporządkował łazienkę. Czuł się prawie dobrze, więc wyszedł do sklepu, zakupił jedzenia na kilka dni, butelkę winiaku i, z wahaniem, pięć róż w pąkach, sprzedawca zapewnił, że się rozwiną. Wrócił do domu, kwiaty w wazonie postawił w kuchni na stole. Obok winiak. Wszedł do swego pokoju, włączył telewizor i czekał.

Przyszła o dziewiątej wieczorem. Usłyszał, że wchodzi do kuchni, więc otworzył drzwi i stanął, w progu. Odwróciła się. spojrziała chłodno, nieprzychylnie.

- Na co ten winiak? - spytała.

- Moglibyśmy się napić - odrzekł ze słabym uśmiechem. - Na zgodę.

Burknęła coś, poszła do siebie. Usiadł obok kwiatów i butelki. Znowu czekał. Zjawiała się po kwadransie, ubrana w czarne obcisłe spodnie i ciemnoczerwony sweter, na nim kilka splecionych złotych łańcuszków. Wyglądało na to, że naprawdę ma zamiar wypić z nim „na zgodę”, a w każdym razie usiąść i spokojnie porozmawiać. Podsunął jej krzeselko, otworzył winiak, nalał do przygotowanych dwóch kieliszków.

- Niech mi pan powie coś o sobie - zażądała ciągle tym władczym tonem, który go irytował. - Co pan robi, gdzie pracuje?

- Jestem - zawahał się sekundę - wicedyrektorem jednego z wydziałów w Ministerstwie Przemysłu Chemicznego. Chwilowo na zwolnieniu lekarskim.

Przyjrzała mu się krytycznie i nieufnie.

- Wicedyrektorem? Nie wierzę. Ludzie na takich stanowiskach nie mieszkają kątem w sublokatorskim pokoju. Bujda!

- A jednak prawda. Tak się złożyło, że rozszedłem się z żoną, zostawiłem jej piękne mieszkanie, cztery pokoje na Mokotowie. Czekam teraz na lokal służbowy, ma się zwolnić lada dzień. Trochę mnie ten rozwód wykończył nerwowo, dlatego zaniedbałem się. No i choroba.

Milczała chwilę, popijając winiak drobnymi łykami. Przesunęła palcem po na wpół rozwiniętym pąku róży, uśmiechnęła się - nie wiedział: do swoich myśli czy do kwiatu.

- A pani gdzie pracuje?

- W „Infarkomie”. Właśnie wróciłam z Hiszpanii i za parę dni wyjadę do Włoch. Pan również wyjeżdża za granicę?

- O, tak! Dość często. Należy to do moich obowiązków służbowych. Znam Wiedeń, Paryż, Londyn, Bonn, trochę Nowy Jork.

Dostrzegł w jej wzroku wyraźne zainteresowanie. Nalał winiaku, wypili. Policzki Magdaleny . poróżwiały, oparła się wygodniej o krzesło, przeciągnęła lekko. Mimo to wciąż nie był pewien sytuacji.

- Gorąco tu - zauważyła. - Niech pan zdejmie marynarkę, proszę się nie krępować.

Zadowolony, że ma na sobie czystą koszulę, powiesił marynarkę na poręczy i stwierdził, że bieg wydarzeń toczy się prawidłowo. Znowu napemnił kieliszki.

- Ma pan przy sobie papierosy?.

- Nie. Teraz nie palę, w czasie grypy to niewskazane.

- To niech mi pan przyniesie z tamtego pokoju. Leżą gdzieś na stole albo przy tapczanie.

Podniósł się, spytał o klucz; zapewniła, że drzwi otwarte. Papierosy, jakiegś nie znanej mu zagranicznej marki, znalazł dopiero po paru minutach, bo nie leżały ani na stole, ani przy tapczanie, lecz na półce regału z książkami. Wrócił do kuchni, położył przed Magdaleną. Wybuchnęła głośnym, pogardliwym śmiechem. Spojrzał zdumiony i zdrętwiał. Trzymała w rękę jego legitymację służbową z „czternastki”.

- Od razu wiedziałam, że to łgarstwo - powiedziała. - Wicedyrektor z ministerstwa okazał i. się zwyczajnym urzędniczyną w jakimś tam przedsiębiorstwie numer czternaście! Zagraniczne wojaże to pewnie do Radomia albo do Kutna. Myślał pan, że mnie oszuka? Jeszcze się taki nie urodził: Ja ludzi poznaję od pierwszego wejrzenia.

Rzuciła legitymację na stół, patrzyła na niego z tak bezlitosną ironią, że zbladł. Nie mógł niczemu zaprzeczyć, więc milczał. Podniosła się z krzesła, zatrzymała na progu.

- Opowiem wszystko Wolskiemu, jak wróci - dodała z jakąś mściwą satysfakcją. - Ale się uśmiejemy!

- Nic mu pani nie powie! - krzyknął. - Nic!

- Oczywiście, że powiem. A cóż to, zabroni mi pan? Winiak, kwiatuszki, ale fajny podryw przy kuchennym stole! - znowu roześmiała się na cały głos. - Przynajmniej w jednym się panu udało: jeszcze nikt nigdy tak się do mnie nie zalecał. Gratuluję inwencji. Póki co, będą się śmiali moi koledzy z „Infarkomu”.

- Milcz! - wrzasnął, już nie potrafił się opanować.

Podeszła do niego, miał ją teraz tuż przed sobą, czuł gorący, przesycony alkoholem oddech na swojej twarzy.

- Ty głupi, nędzny kretyнку! - syknęła. - Ty ofiaro losu, kiepski oszuście. Zdajesz sobie sprawę, kim ja jestem? Przyjrzyj mi się, dobrze przyjrzyj, to może zrozumiesz. Chciałeś mi zaimponować, ale czym? Mnie poderwać! Ja, kiedy chcę, idę do łóżka tylko z chłopcami wielkiej urody, Hiszpanami albo Włochami, którzy forsy mają tyle, że ją garściami rozrzucają. Mnie wożą samochodami najlepszej marki, kupują drogie prezenty, proszą o jeden pocałunek jak w powieściach! A ty, mizerny człeczyno, chciałeś... Nie, to przechodzi wyobrażenie! - śmiała się, mierząc go tymi błękitnymi, wspaniałymi oczami. - Zamknij się w swoim wynajętym pokoju i nie pokazuj mi się na oczy, bo słowo daję, wyrzucę na schody razem z gratami. Jak Janek przyjedzie, to nie będzie miał pretensji. Powiem mu, żeś się do mnie dobierał!

Wyszła, drzwi od pokoju zamknęła na klucz. Siedział jeszcze długo w kuchni, wypił cały winiak, ale wciąż był obrzydliwie trzeźwy. I pamiętał każde jej słowo. Powoli zaczęło się w nim budzić uczucie, o którym ostatnio tak jakby zapomniał, może tylko przyczaiło się, ale teraz wróciło z jeszcze większą siłą. Wiedział, że kiedy opanuje go całkowicie, wówczas zrobi to. Zrobi - po raz trzeci. Nie wiedział tylko, gdzie i kiedy, ale musiało to stać się szybko, jak najszybciej.

Wreszcie wstał, cicho wszedł do swego pokoju. Starając się nie robić najmniejszego hałasu, zapakował wszystko, z czym się wprowadził, do dużej torby. Potem nałożył futrzaną kurtkę, czapkę, ciepłe rękawice. Opuścił mieszkanie tak bezszelestnie, że nie obudziłby nawet kota.

Ostry dźwięk telefonu tuż obok tapczanu wyrwał Magdalenę z głębokiego snu. Przestraszona, na wpół przytomna, przez chwilę nie mogła się zorientować, skąd to nieznośne dzwonięcie, zdawało jej się, że jeszcze śpi w pokoju hotelowym „Negresco”. Namacała kontakt lampki nocnej, wyciągnęła rękę po słuchawkę.

- Halo! - mruknęła sennie. - Halo?

Źle było słyhać, ktoś telefonował z daleka albo z niesprawnego automatu. Poprzez szumy i trzaski dobiegło do niej wołanie:

- Halo! Heniu, słyszysz mnie? Czy to inżynier Jaszewski?

- Kto mówi? - zapytała ze złością.

Cóż za bezczelność, żeby wydzwaniali do niego po nocy.

- Wolski mówi, czy to... Magda, to ty?

- Ja! - Zdumiona, ucieszyła się, że wrócił. - Skąd dzwonisz?

- Magda, jakim cudem się tam wzięłaś? Zresztą to świetnie. Słuchaj, jestem na dworcu Gdańskim i jest taka sprawa, że mnie w pociągu okradli z dokumentów, kluczy i pieniędzy. Nie mam przy sobie nawet złotówki. Słyszysz, co mówię?

Głos dochodził do niej z trudem, ledwie mogła poznać, ale treść zrozumiała.

- Słyszę! - krzyknęła. - Weź taksówkę i przyjeżdżaj, ja zapłacę.

- Nie mogę. Nie ma żadnej taksówki, a pieszo z walizami nie dojdę. Proszę cię, bądź tak dobra, przyjeźdź po mnie, na mieście prędzej znajdziesz jakiś wóz... Słyszysz, Magda?

Milczała chwilę, zastanawiając się, czy jest jakaś szansa, aby nie musiała wychodzić nocą -w mróz i szukać taksówki.

- Poczekaj -powiedziała, zbierając myśli, tak ją zaskoczył. - Zobaczę, może uda mi się namówić twojego sublokatora, żeby przyjechał. Wprawdzie rozstaliśmy się... no, mniejsza z tym. Poczekaj!

Narzuciła szlafrok, zastukała do drzwi drugiego pokoju, wpiersz lekko, potem walnęła pięścią. Jaszewski nie zareagował. Nawet się nie poruszył, nie odezwał.

- Umarł, czy co? - Walila raz po raz, bezskutecznie.

Nacisnęła klamkę, drzwi otworzyły się. Stała w progu, zapaliła światło. Ze zdumieniem dostrzegła nie zaścielony tapczan i brak jakichkolwiek śladów czyjejś obecności. Wyszedł? Wyjechał? - mówiła do siebie. - A to drań! Właśnie teraz, kiedy jest potrzebny. Kretyn!

Zapomniawszy, że parę godzin przedtem chciała go wyrzucić na schody, wróciła do telefonu. •

- Janku, jesteś tam? - W aparacie zatrzeszczało, daleki głos zawołał, że jest i czeka. - Słuchaj, ten łobuz wyprowadził się, pies go drapał. Więc gdzie ty jesteś, dokładnie?

- Na Gdańskim. Przyjedziesz? Zadzwońiłbym do innego kolegi, ale nie pamiętam numerów telefonu. Czekam, Magda!

Ubierała się szybko, zła i niewyspana, zresztą zadowolona z powrotu Wolskiego, chociaż o tym narzeczeństwie to nie była prawda, powiedziała ot tak, żeby sublokator wiedział, z kim ma do czynienia. Póki nie trafi się ktoś lepszy, może być Janek.

Nałożyła futro, sprawdziła, czy ma w torebce pieniądze, spojrzała na zegarek i wzdrygnęła się: druga nad ranem. Straszna godzina w lutym, zwłaszcza tak mroźnym i śnieżnym, jak w tym roku. Zamknęła starannie drzwi wyjściowe, schowała klucze. Na ulicy owiał ją zimny wiatr, sypnął w twarz śniegiem. Nasunęła głębiej futrzany kaptur, postawiła kołnierz. Aby dostać się do głównej ulicy, przy której zaraz z brzegu znajdował się postój taksówek i przystanek autobusowy, musiała zejść schodami do podziemnego przejścia i wyjść

na drugą stronę. Kiedy szła ostrożnie po oblodzonym chodniku, nagle zastanowiła się, jak sublokator mógł odebrać telefon, jeżeli tamten pokój był zamknięty? Czyżby Wolski dał swemu koledze trzeci klucz?

- Ładna historia! - westchnęła z irytacją. - Jeszcze wlaźły do mnie w nocy. Dobrze, że się wyniósł.

W podziemnym przejściu nie paliły się dwie ostatnie lampy.

Szef firmy „Infarkom” niecierpliwie nacisnął kontakt na biurku. We drzwiach ukazała się sekretarka.

- Pan dyrektor mnie wzywał? - spytała obrażona.

Nie znosiła, kiedy kazał jej przychodzić „na dzwonek” jak jakiejś służącej, ale jemu nie , chciało się mówić do niej przez telefon.

- Czy jest już pani Lenowicz? - odpowiedział pytaniem.

Magdalena nie miała zwyczaju spóźniać się do pracy. Poza tym za godzinę przyjdą Włosi, a on musiał przedtem omówić z nią kilka spraw.

- Nie, panie dyrektorze. Telefonowałam do domu, nikt się nie odzywał. Może jest w drodze.

Popatrzał na zegarek. Zaczynali robotę o ósmej trzydzieści, teraz minęła już dziewiąta. Wiedział, że wróciła z Madrytu, bo poprzedniego dnia, późnym popołudniem, dzwoniła do niego do domu. Nagle przypomniało mu się, że mówiła coś o awarii ogrzewania. Może więc nocuje u znajomych albo w hotelu. Ale w takim razie dlaczego jej jeszcze nie ma?

- Trudno, poczekamy - rzekł. - Niech pani poprosi do mnie naczelnika Frączaka.

Frączak mógł od biedy zastąpić Magdalенę w rozmowie z Włochami, nie mógł jednak wyjechać zamiast niej do Rzymu, na to był za mało inteligentny, a przynajmniej tak go dyrektor oceniał. Solidny, pracowity, wyżej naczelnika wydziału nie poderwiesz go, będzie tkwił na tym stanowisku aż do śmierci. Ścisłej, do emerytury.

O dziesiątej przyszło trzech Włochów, wyglądających zupełnie na Szwedów czy Anglików, tak się złożyło. Frączak przy pomocy szefa poprowadził rozmowę rzeczowo, ten ostatni jednak ciągle oglądał się na drzwi, czy nie ukaże się w nich wysoka, dorodna sylwetka pani Lenowicz. Myślał, że nagle zachorowała, miała wypadek, leży właśnie na stole operacyjnym; wyobraził to sobie tak dokładnie, że przejął go zimny dreszcz. Naczelnik Frączak spojrział na niego, dolał kawy do dyrektorskiej filizanki, po czym wstał i zamknął uchylone okno.

O dwunastej nie było jeszcze żadnego znaku życia od Magdaleny. Kiedy Włosi wyszli, dyrektor zaniepokoił się na dobre.

- Co jej się mogło stać? - zapytał Frączaka, który bezradnie rozłożył ręce,

- A czy na pewno wróciła z Hiszpanii?

- Oczywiście! Rozmawiałem z nią przecież wczoraj około szóstej wieczorem. Mówiłem o konferencji z Włochami. Panie Jacku, wiem, że to nie wchodzi w zakres pańskich obowiązków, ale niech pan spróbuje poszukać, wyśle gońca do jej mieszkania, albo... czy ja wiem? Mogło być włamanie, napad, nagła choroba.

- Oczywiście, panie dyrektorze - odrzekł Frączak ochoczo, zadowolony, że ominie go nużące zebranie z okazji czegoś tam. - Kowalczyk mnie zastąpi, a ja zajmę się wyjaśnieniem nieobecności koleżanki Lenowicz. Mam nadzieję, że nic złego jej się nie przytrafiło - dodał na użytek szefa.

W biurze wiedzieli, że Magdalena to jego sympatia.

Zanim jednak opuścił gabinet, we drzwiach ukazała się sekretarka, za nią wicedyrektor Regalski. Oboje byli tak wystraszeni, że szef poderwał się z fotela.

- Co się stało? - krzyknął, przecucie miał jak najgorsze.

- Ach, panie dyrektorze! - Sekretarka zaczęła płakać i nie była w stanie nic więcej powiedzieć.

- Straszne! - wyjąkał Regalski. - Zamordowali ją.

- Kogo?

- Magdalenę. Panią Lenowicz. Jest... to znaczy, ciało znajduje się teraz w Zakładzie Medycyny Sądowej. Telefonowali z milicji.

Szef stał za biurkiem jak skamieniały, twarz mu pobiadła. Frączak załamał ręce i, mimo wszystko, poczuł jakby żal do Magdaleny, że tak od razu się znalazła, więc nie ominie go to zebranie.

- Zaraz przyjedzie ktoś z Mostowskich - dorzucił Regalski.

- Jak to się stało? - Dyrektor, opanowując drżenie rąk, zapalił papierosa. - Gdzie?

- Podobno znaleziono ją w podziemnym przejściu ulicznym. Na dalekim Żoliborzu. Leżała... Jak przyjdą, to powiedzą dokładnie, przez telefon nie chcieli.

- Jakiś napad rabunkowy?

- Chyba nie. Miała przy sobie torebkę, pieniądze i dokumenty. Dlatego zadzwonili do nas.

Do drzwi ktoś zastukał, woźny wsunął łysą głowę.

- Panie dyrektorze, przyszedł pan z milicji...

Czyjaś niecierpliwa ręka odsunęła go, do gabinetu wszedł mężczyzna w cywilnym ubraniu; miał bardzo jasne włosy, śniadą twarz i wąskie czarne oczy.

- Major Szczęsny ze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych - przedstawił się. - Chciałbym porozmawiać z kierownictwem „Infarkomu”.

- Jestem dyrektorem naczelnym, Chrośliński. - Szef wyszedł zza biurka, podał rękę. - To mój zastępca, magister Regalski. I naczelnik Frączak. Niech pani przyniesie nam kawy - zwrócił się do sekretarki. - Proszę, panie majorze - wskazał krzesło. - Wprost nie mogę uwierzyć w to nieszczęście! Ktoś ją napadł?

- Tak można sądzić - odparł Szczęsny oględnie. - W każdym razie przechodnie zauważyli w przejściu podziemnym nieżywą kobietę, zawiadomili milicję z Żoliborza, potem ja przejąłem śledztwo. Czy ktoś z panów mógłby wyjaśnić, co pani Lenowicz robiła w nocy na Bielanach? Dokąd szła? O ile mogłem zorientować się z dokumentów, mieszkała w zupełnie innej dzielnicy miasta...

- Na Wilczej - wtrącił Regalski.

- Może ja spróbuję - rzekł szef. Przeczekał, aż sekretarka wniesie i poustawia filiżanki, termos z kawą, cukier, ruchem głowy wyprosił ją za drzwi i powiedział: - Pani Lenowicz, nasza nieodżałowana świetna pracownica, poprzedniego dnia wróciła ze służbowej podróży do Madrytu, załatwiała tam transakcje z firmami hiszpańskimi, mniejsza o to. Wiem z całą pewnością, że wróciła, bo zatelefonowała do mnie gdzieś tak około szóstej wieczorem. Do domu. Porozmawialiśmy chwilę na temat właśnie tych madryckich kontraktów. Załatwiła wszystko pomyślnie. Przypomniałem jej... bo dzwoniłem do niej jeszcze przedtem, do Madrytu, że mamy dzisiaj ważną konferencję z Włochami, na której musi być obecna. Czeka ją w związku z tym wyjazd do Rzymu. Pani Lenowicz zresztą nie trzeba było nic przypominać, pamiętała o każdym poleceniu służbowym. I nie zdarzyło się, aby się spóźniła czy opuściła w pracy.

Umilkł, przetarł oczy; Regalski dyskretnie odwrócił wzrok. Dyrektor upił trochę kawy i ciągnął dalej:

- Kiedy dzisiaj nie przyszła o zwykłej porze, to znaczy o ósmej trzydzieści, pomyślałem, że... bo we wczorajszej rozmowie napomknęła, że u niej w domu jakaś awaria centralnego ogrzewania czy wody, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie mogło tak być, że przenocowała u znajomych czy nawet w hotelu, chociaż to ostatnie raczej wątpliwe. Dlatego sądziłem, że źle obliczyła czas dojazdu do „Infarkomu” i spóźni się. No, ale nie przyszła w ogóle. Czekaliśmy. Prosiłem nawet naczelnika Frączaka, aby spróbował jakoś zorientować się, co zaszło...

- Chciałem - potwierdził Frączak z gotowością.

- Resztę to pan lepiej wie - dokończył Chrośliński, patrząc na oficera. - Czy to rabunek?

- Raczej nie. Miała na sobie futro, w torebce pieniądze. Chciałem dowiedzieć się, u kogo ze znajomych, koleżanki pewnie będą wiedzieć, mogła przenocować?

- Niech pan poprosi tu panią Krysię. One się przyjaźniły - rzekł szef do naczelnika. - Czy... jak ją zabito? Cierpiała?

Szczęśny nie od razu odpowiedział. Nie chciał na razie ujawniać trzeciej zbrodni „Adámasa”.

- Chyba nie - odparł wreszcie. - Ale o tym później.

Weszła tęga, ciemnowłosa Krystyna, zastępca głównego księgowego. Miała zapłakane oczy i chusteczkę zaciśniętą w rękę. Szef wskazał jej krzesło.

- Proszę pani - Szczęśny starał się być delikatny, choć nie miał prawa nikomu wierzyć „na oko i na słowo” - Magdalena Lenowicz wskutek jakiejś awarii w swoim mieszkaniu najpewniej przenocowała u kogoś ze znajomych. Czy nie wie pani, gdzie?

- Ja już myślałam, zastanawiałam się nad tym - odparła cicho - jak tylko dowiedziałam się, że znaleziono ją aż na Bielanach. Jeżeli chodzi o krewnych, to miała w Warszawie tylko starą ciotkę, na Pradze, samotną, mieszkającą bardzo skromnie. Wątpię, żeby u niej nocowała. Znajomych - zamyśliła się - tych było wielu. Magdalena lubiła życie towarzyskie. Mogła zatrzymać się u co najmniej kilkunastu osób.

- Zna pani ich nazwiska? Adresy?

- Trochę. U niektórych bywałyśmy razem. Ale z tych nikt nie mieszka na Bielanach lub Żoliborzu.

- Przychodziła pani do domu pani Lenowicz?

- Tak, dosyć często.

Szczęśny wyjął z teczki pęk kluczy, podał Krystynie.

- Poznaje pani? Przyjrzała się, kiwnęła głową.

- To od jej mieszkania. Te dwa. Tamtych nie znam - pokazała na trzy inne. - Ten wygląda na wewnętrzny, od pokoju.

- Biurowego?

- Nie - odparł za koleżankę wicedyrektor Regalski. - Nasze są takie. - Wyjął z kieszeni mały, płaski yale.

- Na razie dziękuję pani - rzekł major. - Proszę napisać na kartce wszystkie nazwiska, możliwie i adresy, znajomych pani Lenowicz. Oczywiście te, które pani zna.

Krystyna podniosła się, wolno podeszła do drzwi, ale nie otworzyła ich. Coś jej się przypomniało, bo odwróciła głowę i powiedziała:

- Na Bielanych to zdaje się mieszka inżynier Wolski. Mówiła o nim: Janek, sympatyzowali ze sobą. Tylko, że on jest teraz za granicą.

- Jan Wolski, inżynier. - Szczęsny zanotował w pamięci. - Czy nie wspominała, gdzie pracuje? Wolski to popularne nazwisko.

- Nie pamiętam. Ale... zaraz, on wyjechał do Syrii.

- Znajdziemy. Chciałbym - Szczęsny zwrócił się do Chroślińskiego - jeżeli pan pozwoli, dyrektorze, żeby pani Krystyna pojechała teraz ze mną do mieszkania pani Lenowicz. To nie potrwa długo.

- Dobrze. - Szef nagle zaniepokoił się.

Bo jeżeli znajdą tam jakieś ślady jego wizyt? Wprawdzie listów miłosnych nie wysyłał, ale kartki, prezenty, cholera wie, czy nie leżą na wierzchu ich wspólne fotografie z krótkich, ale treściwych wypadów za miasto. A zresztą trudno. Sam jechać z nimi nie może, wprost nie wypada.

W dwupokojowym mieszkaniu Magdaleny pracowała jeszcze ekipa śledcza. Trzeba było zebrać wszystkie odciski linii papilarnych, przejrzeć notesy z adresami, wykonać mnóstwo czynności, które być może nic nie dadzą, a może pozwolą dotrzeć do mordercy.

Krystyna, po wejściu do mieszkania, zapłakała krótko, na więcej nie miała czasu. Rozejrzała się uważnie, otworzyła szafy, popatrzała na niewypakowaną jeszcze walizkę, postąpiła chwilę w kuchni, w łazience i powiedziała do Szczęsnego:

- Tu jest rzeczywiście zimno, a Magda źle znosiła niskie temperatury. Spieszyła się, bo nawet nie rozpakowała walizki z podróży. Zabrała dużą torbę, trochę kosmetyków, pewnie piżamę, ręczniki. Aha, i radio turystyczne, wozila się z nim wszędzie. Tyle mogę stwierdzić na pewno. Ale doprawdy nie mam pojęcia, dokąd poszła.

Szczęsny, przeglądając notatnik z adresami, natrafił na numer telefonu z bielańskiej centrali i tylko imię Janek. Mógł to być Wolski. Na wszelki wypadek nakręcił numer, ale po tamtej stronie nikt nie podnosił słuchawki. Zadzwoił więc pod inny, poprosił o sprawdzenie, do kogo należy: trzydzieści cztery... i tak dalej, a także o adres. Po paru minutach wiedział już, że właściciel numeru to Jan Wolski, mieszka przy Malowniczej osiem.

- Pojedziemy tam - rzekł do Krystyny. - Jeżeli nocowała w jego mieszkaniu, to znajdziemy jakieś rzeczy osobiste. Pani pomoc jest niezbędna.

Przed drzwiami major zatrzymał się, wyjął trzy klucze, których Krystyna nie rozpoznała, spróbował - i dwoma z łatwością otworzył mieszkanie Wolskiego. Na progu

przystanął, chwilę rozglądał się, słuchał. Potem cofnął się na klatkę schodową, wpuszczając wpierw techników z ekipy śledczej. Trzeci klucz pasował do większego pokoju. Tam też znaleźli wyraźne ślady pobytu Magdaleny. Pościel była rozrzucona, na poręczy krzesła leżała jasnyniebieska jedwabna piżama, ranne pantofelki stały obok tapczanu, turystyczne radio na stoliku, jakieś drobiazgi toaletowe. W łazience hiszpańskie mydło, dwa ręczniki, pasta i szczoteczka do zębów, krem do rąk, grzebień. Krystyna, oglądając wszystko, smutno kiwała głową.

- Spała tu - stwierdziła stanowczo. - To jej piżama, jej kosmetyki, woda kolońska, radio. I pisma angielskie... - Pociągnęła nosem. - Czuję jeszcze zapach perfum Loris Azzaro, takich używała ostatnio.

Tymczasem jeden z techników podszedł do majora i rzekł:

- Na słuchawce telefonicznej odciski palców denatki. Dzwoniła nie dalej niż osiem, dziesięć godzin temu. Myślę, że gdzieś koło drugiej może trzeciej nad ranem.

- A więc wywołał ją telefon.

Szczęśny poprosił kierowcę radiowozu, aby odwiózł Krystynę do „Infarkomu”, a kiedy odeszła, powiedział do porucznika Dębskiego:

- Musiał to być bardzo ważny telefon, jeżeli wyciągnął ją z łóżka w ten mróz. Co jest w drugim pokoju?

- Na pierwszy rzut oka, nie zamieszkanym. Ale...

- Właśnie - wtrącił technik od daktyloskopii. - Liczne ślady obecności, i to zupełnie świeżej, nie pomył się: z ostatniej nocy. Tu był jakiś mężczyzna. Mikroślady włosów, potu, źle umyte naczynia w kuchni, elegancka kobieta zrobiłaby to lepiej. Pusta butelka po winiaku pod kuchennym stołem. Mnóstwo linii papilarnych, też świeżych i nieco mniej dawnych. Sądzę, że przebywało tu dwóch mężczyzn; jeden to chyba właściciel lokalu, nieobecny od paru tygodni. Drugi to obiekt niezidentyfikowany. Takie UFO w męskiej postaci.

- I to UFO zniknęło. Razem z Lenowicz? Przed jej wyjściem? Po? Diabli wiedzą. Jurek, sprawdź, czy Wolski przypadkiem nie pojawił się w Polsce, choćby na jeden dzień. Cóż, zabieramy się do szukania UFO.

ROZDZIAŁ. 7

- Byłeś przy sekcji?

- Tak. Dokładnie to samo, co u tamtych. Silne uderzenie sztyletem, albo czymś podobnym, w prawą komorę serca. Ślad, właściwie krwawe podbiegnięcie w okolicy skroni. Najpewniej skutek ogłuszenia, ale doktor Stern nie wyklucza, że została tylko mocno popchnięta i, padając, uderzyła się o mur, kawał lodu lub betonowy krawężnik. W tamtym miejscu nie paliły się dwie latarnie, było ciemno.

Szczęśny, mówiąc to wszystko, miał głębokie cienie pod powiekami i niewygasły gniew w oczach. Przez tyle lat w milicji powinien był się przyzwycząć do widoku zamordowanych, samobójców i tych, co zginęli w wypadku. Ale tak nie było. Wciąż na nowo buntował się przeciwko przemocy, zwłaszcza w stosunku do kobiet. A choć zabójstwo Magdaleny zdarzyło się tak bardzo nieoczekiwanie, chociaż wiedział, że nie mogli temu przeszkodzić, bo nie znali ani zbrodniarza, ani ofiary - to jednak czuł, że czegoś nie dopatrył, nie dostrzegł w porę, nie umiał zapobiec.

- Przyszedł list? - spytał, na pozór obojętnie, ale przecież czekali na niego od pierwszej chwili, kiedy zawiadomiono ich o trzeciej zbrodni „Adámasa”.

Daniłowicz spojrział na zegarek.

- Zaraz przyniosą pocztę. Zobaczymy.

Siedzieli w milczeniu, ciągle zastanawiając się nad tą piekielną sprawą, w której od wielu tygodni błądzili po omacku; tu i ówdzie chwyтали tylko jakieś strzępy informacji, próbowali złożyć z nich sensowny obraz wydarzeń i powiązać je, aby wreszcie móc powiedzieć: tak, to ten człowiek, mamy go, czwartej ofiary już nie będzie.

Wszedł kapitan Połoński, położył przed szefem list w niebieskiej kopercie. Pułkownik wyjął z niej kartkę, przeczytał na głos:

„Zrobiłem to. Po raz trzeci. O, żebyście wiedzieli, jaka to ulga! Pozwoli mi na długi odpoczynek. Oczywiście, przed następną. Adámas”.

- Wczoraj przerzucałem stare notatki ze studiów - odezwał się Połoński. - Natrafiłem na pewien fragment, który może odnosić się do „Adámasa”. Nie pamiętam, bo wówczas nie zapisałem nazwiska autora czy wykładowcy, ale treść brzmi mniej więcej tak. Zazdrość często prowadzi do zawiści, a wtedy opanowują człowieka najniższe instynkty i prowadzą do czynów nawet przestępczych. Ten, kto zazdrości, odczuwa rozgoryczenie, cierpi na widok powodzenia innych. Natomiast zawiść ma już w sobie bodziec zbrodniczy, złowrogi.

- Tak - powiedział Szczęsny. - To mi pasuje do „Adámasa”. Zazdrość przerodziła się u niego w zawiść wobec drugich. A wtedy „Niepokonany” sięgnął po sztylet.

- Czekajcie no, czekajcie! - Daniłowicz popatrzał po nich niezdecydowanie. - Weźmy te trzy zabójstwa. Profesorowi mógł zazdrościć sławy naukowej, popularności, bo ja wiem? Spokojnego, uregulowanego życia w dobrych warunkach. Bielińskiemu wysokiego stanowiska, sytuacji materialnej, ładnej żony. Ale tej kobiecie? W końcu Lenowicz była tylko zdolną, bardzo zresztą dobrą urzędniczką, nic poza tym.

- Nie wiemy jeszcze, gdzie i kiedy się ze sobą zetknęli - odparł major. - Myślę jednak, że w tym trzecim wypadku przyczyna mogła być związana ze sprawami damsko-męskimi. Ładna, energiczna, elegancka kobieta. Miała duże powodzenie. A on? Czy nie zdarzyło się tak, że odrzuciła jego próby bliższej znajomości? Mówiąc otwarcie: nie chciała iść z nim do łóżka? A wtedy budzi się urażona ambicja, złość, nienawiść. Przecież to nie jest taki zwyczajny, przeciętny facet. „Adámas”, dla mnie nie ulega wątpliwości, to typ patologiczny. W tak zwanym zespole neurastenicznym drażliwość przeradza się często we wrogość wobec otoczenia.

- Jak widać, wiemy już, jaki jest „Adámas”. Pozostał jedynie drobiazg: ustalić, kim jest i gdzie jest. Bagatela! - Połośki wzruszył ramionami. - Właściwie śledztwo wciąż pozostaje...

Urwał, bo ktoś zapukał do drzwi. Na rzucone niecierpliwie: „Proszę!” wszedł porucznik Dębski.

- Ile razy mam ci mówić, żebyś nie stukał? To nie salon, a ty nie pokojówka z tacą. - Daniłowicz był rozdrażniony, przerwano mu tok myśli. - Dobra, masz co nowego?

Dębski, speszony i urażony porównaniem, milczał chwilę. Potem powiedział, z trudem ukrywając podniecenie:

- Byłem w ministerstwie, w wydziale gdzie pracuje inżynier Wolski. Jest już odpowiedź na kablogram do Syrii. Nie przyjeżdżał do kraju od trzech tygodni, potwierdza to jego tamtejszy kierownik budowy. Natomiast Wolski podaje, że przed wyjazdem do Damaszku wynajął pokój w swoim mieszkaniu na Bielanych jednemu z dawnych kolegów ze studiów na Politechnice, Henrykowi Jaszewskiemu. Wprowadził się na początku lutego. W każdym razie miał się wprowadzić, bo tego Wolski już nie sprawdził, był wtedy w Syrii.

- Henryk Jaszewski?! - Szczęsny zerwał się, oczy mu rozbłysły. - Jeden z moich trzech podejrzanych. No, może wreszcie coś się ruszyło! Jurku, jedziemy na Hożą.

- Po co na Hożą? - zdziwił się pułkownik.

- On tam mieszkał, muszę wiedzieć, kiedy, czy i dlaczego się wyprowadził na Bielany.

Zajechali pod numer dwanaście, weszli na trzecie piętro. Dom był stary, nie miał windy. Zatrzymali się przed drzwiami z tabliczką: „M. Ba-jerowa”. Zadzwonili. Nikt nie otworzył. Przyjechali więc jeszcze raz, wieczorem.

- Kto tam? - spytał wówczas kobiecy głos.

- Do pani Bajerowej.

- Ale kto? Obcym nie otwieram.

Szczęśny wolałby nie przedstawiać się głośno na schodach, jednakże sytuacja nie pozwalała na żadnych tam hydraulików, inkasentów czy kominiarzy. Dochodziła dwudziesta pierwsza.

- Major Szczęśny - rzekł półgłosem. Może pomyśli, że wojskowy.

Utrafił, drzwi otworzyły się, ale tylko na łańcuch. Kobieta obrzuciła go nieufnym wzrokiem.

- Major? Nie w mundurze? - spytała podejrzliwie.

Pokazał legitymację służbową. Przypatrywała jej się chwilę, w końcu zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi.

- Dlaczego dwóch? A ten drugi, to kto?

Dębski wyciągnął swoją legitymację, przedstawił się.

- Późno - stwierdziła gderliwie. - Miałam już się kłaść. O co panom chodzi?

- Przepraszam, że przyszliśmy o tej porze, ale sprawa wymaga pilnego wyjaśnienia - rzekł major, kiedy znaleźli się w dusznym, zagraconym pokoju. Nie poprosiła, by usiedli. - U pani mieszka Henryk Jaszewski, inżynier. Chcieliśmy się z nim widzieć.

Popatrzała na obu z ironicznym uśmiechem.

- Toście się porządnie spóźnili - odparła. - Już nie mieszka.

- Od dawna?

Westchnęła, ciężko, zamyśliła się na chwilę.

- Mój Boże, taki dobry był lokator - mruknęła jakby do siebie.

- Umarł? - zdziwił się Dębski.

- A, skądże! - wzdrygnęła się. - Wyjechał. Zabrał rzeczy i wyprowadził się.

- Czy nie wie pani, dokąd?

- Do Zamościa.

Szczęśnego zatkalo. Tego się nie spodziewał.

- Do Zamościa? - powtórzył porucznik. - Na pewno?

- Panie, ja z nim nie jechałam. Powiedział, że na lepszą posadę. Obiecał, że stamtąd napisze. Bo mogły tu przyjść jakieś listy, więc żebyśmy wiedziały, dokąd odesłać.

- I napisał?

- Jeszcze nie.

- Więc kiedy ostatecznie się wyprowadził?

- A, będzie ze trzy tygodnie. Może trochę mniej, ja nie liczyłam. Mieszkał w tamtym pokoju - pokazała ruchem głowy na sąsiednie drzwi. - Wynajęłam go jednej pani, z teatru. Elegancka kobieta.

Pożegnali się i wyszli. Na ulicy Szczęśny powiedział:

- Nabrał babę, i tyle. Pewnie nie chciał podać nowego adresu. Ten Zamość to łgarstwo. Jutro z samego rana pójde do przedsiębiorstwa, w którym pracuje Jaszewski. Tam muszą wiedzieć, gdzie w końcu mieszka, na Bielanych czy jeszcze gdzie indziej.

- Ciekawe, dlaczego się wyprowadził.

- Może po prostu znalazł lepszy pokój. A może z innych względów.

„Czternastka” znajdowała się na Pradze, w pobliżu ulicy Stalingradzkiej. Przedsiębiorstwo zajmowało kilka niskich, starych hal fabrycznych, jakiś magazyn w murowanym baraku i niewielki budynek administracyjny. Całość wyglądała skromnie i, w porównaniu do wielkich przemysłowych gigantów, ubogo, ale wszędzie panował porządek; znać było sprawną rękę kierownictwa.

Szczęśny wszedł do portierni, spytał o dyrektora, a otrzymawszy informację, odnalazł na piętrze sekretariat, w którym młoda dziewczyna pilnie coś wystukiwała na maszynie.

- Pan dyrektor zajęty - powiedziała, nie odrywając wzroku od roboty.

- Ale mnie przyjmie - odparł.

Spojrzała zdziwiona, srogi wyraz jej twarzy złagodniał. Jak zwykle uroda Szczęśnego wywierała na kobietach wrażenie. Podniosła się z krzesła.

- Kogo mam zgłosić?

- Major Szczęśny ze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

Niedługo czekał. We drzwiach ukazał się mężczyzna korpulentny, jasnowłosy, z małą bródką i okularami, zsuniętymi na czoło. Był trochę zaniepokojony, choć starał się tego nie okazywać. Przywitał się w milczeniu, poprosił do gabinetu, wskazał fotel, sam usiadł po drugiej stronie biurka i czekał.

- Właściwie może wystarczyło w tej sprawie pójść do działu kadr - odezwał się Szczęśny. - Jednakże z pewnych względów wolałem wpierw do pana.

- Słucham. - Splótł ręce na brzuchu, utkwiał w oficerze uważny wzrok. - Chodzi, jak sądzę, o któregoś z pracowników?

- Tak. O inżyniera Henryka Jaszewskiego.

Dyrektor wyraźnie zdziwił się.

- O Jaszewskiego? Czyżby ten spokojny człowiek coś zmalował?

- Jaka jest pańska opinia o nim?

- No, cóż. Dobry fachowiec, dokładny w robocie. Szkoda, że chorowity, często bierze zwolnienie. Pracuje przy zapalnikach węglowych. Jak panu pewnie wiadomo, wytwarzamy różnego typu zapalniki elektryczne dla potrzeb górnictwa... i innych - zawahał się sekundę. - Jaszewski ma na swoim koncie kilka cennych ulepszeń, jeden patent dotyczący zapalników półsekundowych antyelektrostatycznych. Chyba nie te rzeczy pana interesują?

- Ma pan rację, nie chodzi mi o zapalniki. Raczej o osobowość inżyniera Jaszewskiego.

- Osobowość? - Dyrektor zadumał się. Poczęstował majora papierosami, sam zapalił. - Dziwny człowiek - rzekł wreszcie. - Nie jest lubiany, chociaż koledzy doceniają go w robocie. Nie utrzymuje z nikim kontaktów towarzyskich, nie udziela się społecznie ani politycznie. Samotnik, ponurak... Może zresztą krzywdzę go taką opinią. Miał jakieś dramaty rodzinne, żona go zostawiła, nie znam bliższych szczegółów.

- Czy mógłby pan, teraz, przy mnie, spytać kogoś ze swoich pracowników, gdzie Jaszewski i mieszka?

- O ile wiem, na Hożej. Ale zaraz zapytam.

- Na Hożej nie, bo sprawdziłem. Wyprowadził się stamtąd parę tygodni temu. Podobno, tak twierdzi jego poprzednia gospodyni, wyjechał na inną posiadłość do Zamościa.

- Ależ to nonsens! - zachnął się szef „czternastki”. - Wprawdzie nie widziałem go od kilku dni, no, może kilkunastu, ale wiem, że nie zwalniał się z pracy, takie sprawy nie przechodzą bez mojego udziału. Niech pan poczeka. - Wezwał sekretarkę, poprosił o przywołanie naczelnika Wiśniewskiego. - To jego kierownik - wyjaśnił. - Zaraz dowiemy się, jak wszystko wygląda.

Wszedł młody mężczyzna w roboczym kitlu, czymś zaaferowany, z notatnikiem w ręku. Spojrzył na Szczęsnego z roztargnieniem, chciał widać porozmawiać z szefem o czymś ważnym, ale zanim otworzył usta, dyrektor go uprzedził:

- Panie Edmundzie, czy inżynier Jaszewski jest w pracy?

- Tak. To jest nie - zmieszał się, skupił uwagę - ma grypę. Siedzi w domu.

- Gdzie?

Naczelnik zdziwił się, uniósł brwi wysoko.

- No, w domu. Tam, gdzie mieszka.

- Zna pan jego aktualny adres?

- Hoża... zaraz. Hoża dwanaście.

- Okazuje się, że wcale tam nie mieszka. Od kilku tygodni. Podobno wyjechał do Zamościa, na lepszą posadę - stwierdził szef z przekąsem. - Czy pan coś o tym wie?

- To po prostu niemożliwe! - Naczelnik usiadł, patrząc na dyrektora w osłupieniu. - Przyniósł zwolnienie lekarskie. Co prawda teraz sobie przypominam, że już wczoraj powinien być w pracy. No, ale może jeszcze nie wyzdrowiał?

- Chodził ktoś z kolegów, odwiedzał go?

- O ile wiem, to nie. Jaszewski nie ma w wydziale przyjaciół. Czy coś się z nim stało? Zresztą zaraz wypytam kolegów, może któryś wie. - Zerwał się, wybiegł z gabinetu.

- Panie dyrektorze - odezwał się Szczęsny - potrzebne mi są jego odciski palców. Nie chciałbym jednak, aby nasz technik robił to w obecności innych pracowników wydziału. Być może mylimy się w ocenie niektórych faktów. Technik czeka w radiowozie przed budynkiem.

- Rozumiem. I dziękuję. Załatwię to. - Dyrektor miał w tej chwili mnóstwo pytań, które cisnęły mu się na usta, ale nie zadał żadnego. Pomyślał tylko, że na złą nowinę zawsze będzie czas.

Wrócił naczelnik, jeszcze bardziej zmieszany.

- Nie, nikt z kolegów nie orientuje się, gdzie Jaszewski teraz mieszka. Nie mają z nim kontaktu.

- Dobrze. - Szef milczał chwilę, a potem powiedział: - Zrobimy tak. Wezwie pan wszystkich pracowników swego wydziału na, powiedzmy, dwudziestominutową naradę. Do sali konferencyjnej. Pokój, w którym Jaszewski ma swoje biurko, ma być pusty i dostępny dla... zresztą, przyniesie mi pan klucz.

- Ale, panie dyrektorze, myśmy wczoraj mieli naradę! Co ja mam im mówić?

- Co pan chce. Ale nic więcej o Jaszewskim. Rozumie pan?

- Nie. To jest, tak! - Zerwał się, gwałtownym ruchem rozwichrzył włosy, mruknął coś do siebie i wybiegł.

- Młody jest - rzekł szef „czternastki”. - Z czasem się przyzwyczai.

Technik z wydziału kryminalistyki poprosił o otwarcie szuflady biurka, gdyż na wierzchu poniewierały się tylko stare gazety i mnóstwo kurzu. Dyrektor, złorzecząc na niechlujne sprzętaczkę, zafrasował się, bo nie miał klucza do szuflad. Okazało się jednak, że

cały zestaw mebli został zakupiony w jednym sklepie i wszystkie szuflady dają się otworzyć jednym kluczem, o czym nikt z pracowników nie wiedział.

- Swoją drogą, żeby coś takiego... - mrucał dyrektor, postanawiając natychmiast, jak stąd wyjdzie, sprawdzić zamki swojego biurka. Co prawda kupiono je oddzielnie, ale lichy nie śpi.

W szufladzie leżały teczki i skoroszyty, różne notatki, rolka papieru toaletowego, ręcznik, mydelniczka - mnóstwo przedmiotów, które technik powitał z wyraźnym zadowoleniem. Przez dobry kwadrans zdejmował na folię linie papilarne właściciela biurka; potem skończył, schował swoje utensylia, kiwnął głową dyrektorowi i wyszedł.

- Ciekawym - zaczął major i uśmiechnął się.

- Co? - Szef nie widział w tym wszystkim nic ciekawego; raczej kompromitujący nieporządek i bałagan.

- Ciekawym, o czym naczelnik mówi na naradzie.

- E, coś tam wymyśli. Panie majorze, czy mógłbym jednak dowiedzieć się, dlaczego milicja interesuje się Jaszewskim? Przecież to mój pracownik. Czemu go szukacie?

Szczęśny spojrział na dyrektora swymi wąskimi, czarnymi oczami.

- Właśnie dlatego, że go nie możemy znaleźć - odparł ze zdumiewającym brakiem logiki, ale nie mógł inaczej. - Gdybyśmy go znaleźli...

- To byście nie szukali, jasne - zdenerwował się szef zakładu. - Czy mam rozumieć wobec tego, że to tajemnica śledztwa?

- Chwilowo tak.

- A jeżeli jutro zjawi się w pracy?

- Wtedy proszę mnie zawiadomić - podał wizytówkę z telefonem służbowym. - Być może wiele rzeczy się wyjaśni. - Kiedy był już we drzwiach, powiedział cicho: - Ale myślę, że się nie zjawi.

- Ej, majorze! A co z jego rzeczami? - zawołał szef zza biurka. - Czy... tego, czy powinienem opieczętować? Nawet nie mamy czegoś takiego, chyba zwykły lak.

- Nie potrzeba. Po prostu zamknie pan jego biurko na ten wspaniały klucz, który pasuje do każdej szuflady. Do widzenia!

Po kilku godzinach Szczęśny wiedział już, że linie papilarne Henryka Jaszewskiego znajdują się w pokoju, który inżynier wynajął na Bielanach, ulica Malownicza osiem. I z którego wyszedł pewnego dnia czy nocy z walizkami - aby zniknąć. Czy naprawdę pojechał do Zamościa? Tak nagle, rzucając pracę bez wypowiedzenia, pozostawiwszy w „czternastce” wiele swoich papierów, dyplom inżyniera i dobrą opinię dyrektora?

Od naczelnika wydziału zapalników węglowych Szczęsny dowiedział się, że w dniach od dziewiętnastego do trzydziestego grudnia ubiegłego roku Henryk Jaszewski był nieobecny w pracy. Zawiadomił telefonicznie o chorobie i konieczności przeprowadzenia badań specjalistycznych w szpitalu. Po powrocie, już w styczniu, złożył zaświadczenie lekarskie.

Nie budziło ono wątpliwości: druk, podpis i pieczętka wyglądały autentycznie. Ale szpital ten znajdował się w Szczecinie.

- Dlaczego akurat tam pojechał? - spytał naczelnika. - Nie zdziwiło to pana?-

- Owszem, ale inżynier Jaszewski wyjaśnił, że ma w jednym z tamtejszych szpitali krewnego lekarza. Chciał być pod jego opieką, to zrozumiałe.

Szczęsny skontaktował się więc znowu z majorem Walczakiem, poprosił o sprawdzenie, czy rzeczywiście Jaszewski w tamtym okresie leczył się lub przeprowadzał badania w szpitalu numer trzy, czy mógł wychodzić na miasto i kiedy został stamtąd wypisany. Czekał teraz na odpowiedź, której nie mógł otrzymać od razu, gdyż wymagała sprawdzenia.

Połośki na wszelki wypadek pojechał do Zamościa, aby przy pomocy miejscowej milicji podjąć próbę odszukania inżyniera. Mając już teraz jego zdjęcie - liczne odbitki wykonano z fotografii, które leżały w „czternastce” - mogli szukać bardziej zdecydowanie. Jedna z takich odbitek znalazła się w Dzielnicowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych na Pradze.

Tego dnia oficerem dyżurnym był ten sam porucznik, który nie tak dawno przesłuchiwał „Atonię”, a później skonfrontował ją z Henrykiem Jaszewskim i oddał mu skradzione dokumenty. Przeglądając meldunki i protokoły zeznań, natknął się na zdjęcie. Notatka na odwrocie informowała, że gość nazywa się tak a tak, mieszkał na Hożej dwanaście, potem krótko na Malowniczej, a obecnie wyjechał w niewiadomym kierunku i jest poszukiwany przez Stołeczny Urząd.

- Popatrz, popatrz! - mruknął do siebie, przyglądając się fotografii. - Gdybym wtedy wiedział...

Połączył się telefonicznie ze Szczęsnym i opowiedział mu o wydarzeniu. Major słuchał z uwagą, ale po kilku zdaniach przerwał:

- Zaraz będę u ciebie.

Zastanowiła go data konfrontacji, należało jednak cofnąć się o kilka dni, aby zyskać pewność. Wsiadł do swego malucha, pojechał na Pragę.

- Kiedy nastąpiła kradzież portfela? - spytał, mając w pamięci wszystkie szczegóły, dotyczące zabójstwa „Adámasa”.

Porucznik wydobył z szuflady książkę meldunków, zaraz sobie przypomniał, że chodzi o zeszły rok, sięgnął więc do żelaznej szafy, wyjął, co mu było potrzebne, przerzucił kilka stron.

- Nasza akcja na meliny, mówiąc w skrócie, odbywała się z piątego na szósty grudnia - powiedział. - Wtedy właśnie sierżant Kleczko natrafił w jednej z piwnic na dwie znane nam od lat prostytutki o pseudonimach: „Atonia” i „Atrofia”. Jeżeli potrzebne nazwiska...?

- Na razie nie.

- Znalazł przy nich portfel Henryka Jaszewskiego z dokumentami. W trakcie późniejszego przesłuchania jedna z tych kobiet wyjaśniła, że skradły portfel na dworcu Centralnym w nocy trzeciego grudnia.

- Trzeciego - powtórzył Szczęsny. - No, to by się zgadzało. Siedział wtedy w restauracji dworcowej razem z Bielińskim. Kelner rozpoznał go na zdjęciu.

- Jaszewski?

- Tak. W dwa tygodnie później wyjechał do Szczecina. Rzekomo czy naprawdę na obserwację do tamtejszego szpitala. W nocy z dwudziestego siódmego na ósmy grudnia, w pociągu. Bieliński został zamordowany. Jaszewski pokazał się w pracy dopiero na początku stycznia.

Porucznik patrzył na zdjęcie, jakby chciał wbić sobie w pamięć twarz człowieka, z którym zetknął się tylko raz, krótko, a który...

- Gdybym go wtedy zamknął, może nie byłoby dwóch kolejnych zbrodni - rzekł w zadumie.

- Gdybyś go zamknął, ale na jakiej podstawie? Przecież to nie on ukradł portfel, ale jemu skradli. Poza tym chciałem ci przypomnieć, że nie mamy jak dotąd żadnych dostatecznych dowodów jego winy. Inaczej mówiąc, żadnej pewności, że Jaszewski to „Adamas”. Chociaż niemało na to wskazuje - dodał. - Aha, jeszcze jedno. Czy w trakcie przesłuchania „Atonii” i rozmowy z Jaszewskim zauważyłeś u niego złoty sygnet na palcu?

- Nie pamiętam. Nie zwracałem na niego specjalnej uwagi, dla mnie wtedy to był po prostu i tylko obywatel, którego okradła prostytutka. Poszkodowany, nie podejrzany. Natomiast uderzył mnie jakiś dziwny wyraz jego twarzy. Taka jakby martwota rysów. Jak z drewna. Nosił wówczas okulary. Na tym zdjęciu nie ma - wskazał odbitkę. - W swoim dowodzie osobistym i legitymacji służbowej też nie miał. Bardzo charakterystyczne brwi, krzaczaste, gęste. Nie wiadomo, gdzie jest?

- Nie.

Szczęśny wrócił do Stołecznego Urzędu. Czekał na niego porucznik Dębski. Rozmawiał rano z Michałem Zawilskim, który przyjrząwszy się zdjęciu Jaszewskiego potwierdził to, co już poprzednio powiedział - że człowiek ten mieszkał niedaleko domu jego rodziców, że spotykał go przy kiosku czy na przystanku. Podobną opinię wygłosił jego brat Jacek. Natomiast Elżbieta Zawilska zupełnie nie przypominała sobie ani sylwetki, ani twarzy inżyniera. Szczęśny pomyślał, że widocznie mniej niż młodzi zwracała uwagę na przechodniów.

Pozostawał jednak do wyjaśnienia - może zresztą jedynie do rozmowy - fakt, że doktor Pochylski jechał tego samego dnia, tym samym pociągiem, a nawet tym samym wagonem sypialnym, którym odbywała się ostatnia podróż dyrektora Bielińskiego. Dlatego major znowu udał się do szpitala, z góry przygotowany na trudną rozmowę.

Tym razem jednak lekarz zmienił sposób bycia. Może akurat nie miał za sobą i przed sobą ciężkich operacji, może coś innego wpłynęło na jego usposobienie. Dość że przyjął oficera niemal przyjaźnie, poczęstował kawą i wyraził gotowość udzielenia wszelkich informacji, jakie potrafi sobie przypomnieć.

- Chodzi mi o tego człowieka - Szczęśny położył przed Pochylskim zdjęcie. - Proszę się zastanowić, doktorze, przyjrzeć jego twarzy, a potem odpowiedzieć: czy widział pan go w pociągu, jadącego ze Szczecina do Warszawy nocą z dwudziestego siódmego na dwudziesty ósmy grudnia ubiegłego roku. Niech pan się nie śpieszy, zależy mi na dokładnej informacji.

Chirurg w milczeniu przyglądał się fotografii, wreszcie rzekł:

- Jestem pewien, że go wtedy widziałem. Ma dosyć charakterystyczną twarz, zwłaszcza te krzaczaste brwi, zaciśnięte wargi, ostry nos. Psychiatra zaliczyłby go, tak na oko, do osobników upartych, apodyktycznych i raczej samotników. Jechał tym samym pociągiem. Zajmował miejsce w drugiej klasie naszego sypialnego wagonu, chyba dwa przedziały dalej ode mnie.

- W którym miejscu pan go zauważył?

- Na korytarzu. Stał, palił. Przyszedł dużo wcześniej, tak jak i ja. Miewam „reisefieber” - uśmiechnął się. - Kiedy zaczęli się schodzić inni pasażerowie, wszedł do swego przedziału. Już go potem nie widziałem. Ale, wie pan, ta noc nie była spokojna. Ciągłe ktoś się kręcił po korytarzu, przechodzili z jednego końca na drugi, rozmawiali. Właściwie nie spałem, drzemałem tylko.

- I nic pan nie słyszał, co mogło mieć związek z zabójstwem?

Umyślnie nie wymienił nazwiska dyrektora, nie chciał, aby Pochylski znowu zamknął się w sobie i umilkł. Jednakże lekarz nie uchylił się od poruszenia drażliwego tematu.

- Chodzi panu o Janusza Bielińskiego - rzekł spokojnie. - Potępiam tę zbrodnię. Potępiam każde morderstwo i jako lekarz, i jako człowiek. Na Dalekim Wschodzie mówią: „Lepiej uratować jedno ludzkie życie niż zbudować siedmiopiętrową pagodę”. Niech mi pan wierzy, gdybym wówczas przypuszczał, co może nastąpić, a nie miałem o tym zielonego pojęcia, zrobiłbym wszystko, aby nie dopuścić do zabójstwa. Niezależnie od mojego osobistego stosunku do... tamtego pana.

- Wierzę panu - odparł Szczęsny. - Czy rano, kiedy pociąg zatrzymał się na dworcu w Warszawie, nie zauważył pan człowieka ze zdjęcia, idącego peronem, względnie gdzieś na przystanku?

- Nie. Byłem zmęczony, niewyspany, chciałem jak najprędzej dostać się do domu. Nie powiedział mi pan, kim jest ten osobnik, który was interesuje. Czy łączy się on w jakimś stopniu z morderstwem?

- Nie wiem jeszcze. Dlatego nie mogę podać o nim nic bliższego. Łatwo rzucić na kogoś podejrzenie, bardzo trudno potem wymazać je z ludzkiej pamięci.

Wstał, ale zanim się pożegnał, - powiedział z uśmiechem:

- Zacytował mi pan szczyptę mądrości Dalekiego Wschodu, zacytuję i ja coś z tamtych okolic. Wyznawca islamu tak prosi Allacha: „Daj mi siłę, abym mógł pogodzić się z tym, czego zmienić nie mogę; dodaj odwagi, abym mógł walczyć z tym, co zmienić mogę, i udziel mi mądrości, abym odróżnił jedno od drugiego”.

Kapitan Połowski nie miał łatwego zadania. Zamość to nie wioska ani miasto-gmina. Województwo, kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, a milicja ma ileś tam wolnych etatów.

- No, jakże ja go odnajdę? - Porucznik bezradnie rozłożył ręce. - Owszem, jeżeli się zameldował, to tak. Najdalej za godzinę. Ale przecież go szukacie, zniknął bez podania adresu, rzucił pracę. Więc nie czarujmy się, taki facet na pewno zadekował się gdzieś bez meldunku. Może ma tutaj krewnych, przyjaciół, zaufaną babkę, przyczał się jak mysz pod miotłą.

Połowski przewiercił zamojskiego kolegę oczami czarnymi jak smoła, ale porucznik nie uląkł się, był na swoim terenie i czuł się pewnie za własnym biurkiem.

- Muszę go znaleźć -- westchnął kapitan. - Podejrzany o trzy zabójstwa, to nie zwykły złodziejasek, co kioski obrabia.

- Ja rozumiem. Zrobimy, co tylko się da. Odbitki zdjęcia roześlemy do naszych jednostek. Trzy zabójstwa? Dlaczego prokurator nie przekaże prasie listu gończego?

- Bo na razie za mało dowodów. Nie możemy rozgłaszać publicznie samych podejrzeń. Póki co działamy tylko wewnętrznie, naszymi środkami. Porzucenie pracy, niepodanie adresu, to nie są przestępstwa. Każdemu wolno. Ja nie mam żadnej pewności, że gość rzeczywiście znajduje się na waszym terenie, ale spróbujcie.

Zamojska milicja obiecała, że zrobi „generalne przeszukanie”, a kapitan markotny wrócił do Warszawy. Nie wierzył, że Jaszewski opuścił stolicę. Instynktownie czuł, że owszem, przyczał się, ale w Warszawie. Tutaj było jednak badaj jeszcze trudniej niż w Zamościu. Prawie dwa miliony mieszkańców, nieustanny ruch przyjezdnych, dalekie osiedla, ukryte pokoje sublokatorskie, letnie domki, prywatne wille, układy, kontakty, powiązania tak misterne, że niemożliwe do wykrycia.

Nie znali osobistych znajomych Jaszewskiego. W „czternastce” nie utrzymywał towarzyskich kontaktów z kolegami, ale poza murami przedsiębiorstwa żyło, kipiało, działało tysiące związków międzyludzkich, grup, kategorii i typów. Do których należał? Z kim naprawdę przebywał wieczorami lub nocą, kto go znał - i może teraz udzielił schronienia? Nie wiedzieli, czy i ile ma pieniędzy; nie otworzył żadnego konta bankowego, nie posiadał książeczki PKO.

Ale przecież musiał te pieniądze mieć. Patent, o którym wspomniał dyrektor „czternastki”, przyniósł inżynierowi sporo gotówki. Wydał ją czy miał przy sobie? prostytutka „Atonia” skradła mu portfel, nie wykluczało to jednak powiązań Jaszewskiego z jakąś grupą przestępczą, dobrze zakonspirowaną, która go teraz ukryła. Może za pieniądze, może w innych zamiarach.

Sprawdzili, czy istniał przedtem jakikolwiek kontakt pomiędzy trzema ofiarami „Adámasa”, i przekonali się, że nie. Odtworzyli, na ile się dało, godzina po godzinie cały dzień, w którym Magdalena Lenowicz przyjechała rano z Madrytu na lotnisko Okęcie, a w nocy życie jej się skończyło. Dowiedzieli się, że z lotniska wzięła taksówkę, odnaleźli kierowcę. Pamiętał elegancką, przystojną panią z walizami, kolorowymi od zagranicznych nalepek hotelowych. Zawiózł ją na Wilczą osiemnaście albo dwadzieścia, tego już sobie nie przypomina. To wszystko.

Jedna z sąsiadek Magdaleny zobaczyła ją, wychodzącą z domu około jedenastej rano. Pogadały chwilę, napomstowały na którąś już z rzędu awarię ogrzewania, ale sąsiadka śpieszyła się, bo miała zamówioną kolejkę w mięsny, więc poszła. Potem już nikt z lokatorów nie widział pani Lenowicz. Można więc przypuszczać, że z podręczną torbą pojechała na Malowniczą.

Obiad zjadła w restauracji „U Boryny”, zapamiętała ją znajoma kelnerka. Wymieniła nawet menu: barszcz z pasztecikiem, schab po myśliwsku ze śliwkami i kawa. Opuściła lokal gdzieś po piętnastej.

Tutaj następuje kilkugodzinna luka w odtworzeniu dnia Magdaleny Lenowicz. Może była u fryzjera, może odwiedziła kogoś ze znajomych. Szczęsny sądził, że w pewnym stopniu „kryła się” przed kolegami z biura, bo powinna była choćby na krótko zjawić się w pracy.

Bardzo dokładne, cierpliwe wypytywanie lokatorów na Malowniczej osiem pozwoliło ustalić, że wróciła tam około dwudziestej pierwszej. Ktoś ją zobaczył w bramie, zapamiętał ładną twarz. Natomiast nikt nie słyszał, kiedy wychodziła w nocy. Ani ona, ani Jaszewski. Cóż, zimą okna są szczelnie zamknięte, ludzie śpią zazwyczaj mocniej niż latem, nawet psy nie budzą się na odgłos otwieranych drzwi i kroków.

Porucznik Dębski najdłużej rozmawiał z właścicielem lokalu numer sześć, dokładnie pod mieszkaniem, zajmowanym przez Wolskiego. Ruchliwy, energiczny mężczyzna, z zawodu dziennikarz, miał zwyczaj w nocy pisać swoje sążniste artykuły, które mu potem w redakcji skracano o połowę, nad czym cierpiał. Pan ten znał osobiście inżyniera Wolskiego, przeprowadził z nim nawet kiedyś wywiad i od tej pory datowała się ich zażyłość. Kiedy Wolski przyjeżdżał do kraju, opróżniali we dwóch niejedną butelkę, gawędząc o wszystkim, co ich interesowało.

- Nie widziałem co prawda jego ostatniego sublokatora - powiedział dziennikarz Dębskiemu - ale słyszałem go. Musiał mieć gripę, bo kaszłał, kichał, łaził po domu, pewnie nie mógł spać. Przypuszczam, że w tym okresie nie wychodził z mieszkania. Raz przed południem zadzwoniłem do jego drzwi, chciałem mu coś kupić w sklepie, wie pan, tak po sąsiedzku. Ale nie otworzył. Słyszałem potem, że kicha, więc nie umarł.

- A tamtej nocy, kiedy zamordowano panią Lenowicz, nic pan nie słyszał? - spytał porucznik już po raz trzeci, wciąż jednak miał nadzieję, że tamten wreszcie sobie coś przypomni.

- Ba! Gdybym przypuszczał, że... - Tu dziennikarz pogrążył się nagle w rozmyślanii, jaki to byłby fantastyczny artykuł, opisujący na przykład udaremnienie zabójstwa pięknej Magdaleny, z nim samym w roli głównej.

- Mówił pan przecież, że pisze w nocy - nacierał Dębski nieustępliwie. - Nic? Żadnych kroków, zamykania drzwi?

- Psy wyły. Ale to już było rano, jak sklep otwierają. Ludzie mają okropny zwyczaj przywiązywać psa przed sklepem i potem on wyje, bo mu zimno. Mówi pan, w nocy? Nie. Pewnie jednak spałem. Może ja zrobię z panem wywiad?

- O czym? - zdumiał się porucznik, z którym jeszcze nikt nigdy nie przeprowadzał wywiadu.

- O morderstwie, rzecz jasna! Chce pan?

- Nie. Zresztą nie mam czasu.

- To może kiedy go znajdziecie?

- Wtedy z majorem. Jeżeli na górze dadzą zgodę.

Dziennikarz chciał powiedzieć, że jest z szefem Urzędu na „ty”, w porę jednak przypomniał sobie, iż niedawno na tym stanowisku nastąpiła zmiana, więc tykanie nieaktualne.

- Cholera! - zmartwił się. - Miałem tu ofiarę mordercy pod bokiem i zasnęłam. Pechowa noc. Oczywiście, przede wszystkim dla niej - dodał spiesznie, bo miał dobre serce.

Nadeszła odpowiedź ze Szczecina. Major Walczak donosił, że Henryk Jaszewski rzeczywiście przebywał w szpitalu numer trzy w dniach od dziewiętnastego do dwudziestego szóstego grudnia. Znajomy lekarz poddał go obserwacji, wykonał kilka specjalistycznych badań, gdyż podejrzewał u pacjenta nowotwór płuc. Jaszewski dużo palił; Badania te nie wymagały jednak leżenia w łóżku szpitalnym i Jaszewski swobodnie wychodził na miasto. Nowotworu nie stwierdzono.

- A więc mamy tu nieścisłość w zaświadczeniu lekarskim - rzekł Daniłowicz. - Był w szpitalu nie do trzydziestego grudnia, ale do dwudziestego szóstego. W tej sytuacji mógł pojechać tym samym pociągiem co Bieliński.

- Pewnie lekarz dorzucił mu te kilka dni na jego prośbę. Ot, jak się to czasem robi po znajomości.

- Albo i za forszę - mruknął Połowski.

Miał szwagra internistę, z którym od lat toczył wojnę o różne drobiazgi.

Przyniesiono nowe odbitki zdjęć Jaszewskiego, na których technik-artysta domalował brodę i wąsy, na innych okulary, albo też jedno i drugie razem. Szczęsny rozesał wywiadowców do wszystkich dzielnic, aby szukali, pytali i sprawdzali, czy nikt nie widział owej nocy lub nad ranem mężczyzny z torbą, walizką, idącego ulicą, jadącego taksówką, nocnym autobusem, pierwszym kursem tramwaju, telefonującego z budki... Major przypuszczał, że Jaszewski mógł oddać walizkę na przechowanie w dworcowej bagażowni, więc szukali też na dworcach, pytali kasjerki, czy ktoś taki nie kupował biletu dokądkolwiek, nie pił herbaty w nocnym barze. Wywiadowcy, którzy znali swój teren, wzięli „pod włos” tak zwane kobiety lekkiego prowadzenia, małych urków, kombinatorów, ulicznych handlarzy.

Sierżant Kleczko z Pragi gotów był nawet prosić o wypuszczenie z aresztu „Atonii”, aby choć raz przysłużyła się dobrej sprawie i poszukała inżyniera.

Minęło kilka dni. Potem kilkanaście. Kończył się marzec, przez okna i drzwi zaglądała wiosna.

Jaszewskiego nigdzie nie znaleziono.

Był to jeden z najgorszych okresów w długoletniej milicyjnej służbie majora Szczęsnego. Tylko jego żelazny, wysportowany organizm cierpliwie znosił źle przespane noce, nieregularne jedzenie i ciągle napięte nerwy w oczekiwaniu na czwarte morderstwo „Adámasa”. Kto inny dawno by się wykończył albo wylądował w szpitalu. Jednakże i on wreszcie poczuł, że długo tak nie wytrzyma. Próżno powtarzał sobie, iż robią wszystko, co należy; do współdziałania w tej sprawie włączyła się niemal cała milicja, WOP, celnicy (w razie próby ucieczki za granicę), ORMÓ, nawet służba leśna. Jaszewski zapadł się jak pod ziemię i czasami Szczęsny myślał, że zmarł gdzieś, zaszyty w lesie czy opuszczonej melinie.

I oto któregoś dnia na biurku Daniłowicza zadzwonił telefon. Biuro przepustek zawiadamiło, że zgłosił się pewien mężczyzna, który natychmiast pragnie widzieć się z oficerem wydziału kryminalnego. Odmawia jakichkolwiek wyjaśnień, jest niezwykle zdenerwowany. Pułkownik polecił, aby wydano mu przepustkę i wysłał jednego z oficerów na dół, by przyprowadził petenta do jego gabinetu. Mogło się bowiem zdarzyć, że „niezwykle zdenerwowany” zawędruje nie tam, gdzie trzeba.

W chwilę potem wszedł, eskortowany przez podporucznika, człowiek w wieku około czterdziestu lat, o twarzy bladej i oczach rozbieganych ze strachu. Ubrany przyzwoicie, z czarną aktówką w rękę, rozglądał się po gabinecie, jakby niezupełnie orientując się, dokąd przyszedł.

- Niechże pan siada - odezwał się Daniłowicz. - Jak pańska godność? - Nie chciał posłużyć się przepustką, którą oficer położył na biurku. Czekał na głos i pierwsze słowa nieznajomego.

- Ja...

- Dlaczego pan się tak denerwuje? Proszę spokojnie opowiedzieć, co się stało. Zapali pan? - podsunął radomskie.

Obcy odstawił teczkę na podłogę, sięgnął po papierosa; ręce mu drżały. Odkasznął, przetarł chustką spoconą twarz i odetchnął głęboko.

- Nazywam się Świderski Eustachy, magister fizyki z wykształcenia. Pracuję w „Rawarze”. Mieszkam na Przemysłowej jedenaście. - Głos miał przyjemny, ciepły baryton.

Z wolna uspokajał się, patrzył przytomnie.

- Chciał pan się z nami widzieć. Jestem szefem wydziału kryminalnego, pułkownik Daniłowicz. Słucham pana.

- To było dzisiaj nad ranem - rozpoczął Świderski. - Kilka minut przed piątą. Wstałem wcześniej niż zwykle, bo chciałem przed pójściem do pracy przynieść z piwnicy ziemniaki. Żona gotuje, ale nie powinna teraz dźwigać, jest w ciąży. Więc, jak mówię, wstałem i zeszedłem na dół; mieszkamy na trzecim piętrze. Otworzyłem drzwi od piwnicznego korytarza. Miałem ze sobą latarkę, bo tam często światło się nie pali, kradną żarówki. Zaświeciłem i zacząłem iść w kierunku naszej piwnicy. Nagle ktoś z tyłu złapał mnie za ramię i za gardło, zaciskał, ale jestem dość silny, wyrwałem się, tylko latarka wypadła mi z ręki. Promień światła padał teraz z dołu, z podłogi, widziałem tylko czyjeś buty i nogawki spodni. Szamotaliśmy się, to musiał być mężczyzna wysoki, mocny, wyczułem w pewnej chwili, że ma brodę i wąsy. Zdołałem wykrztusić: „Czego chcesz?!” On przewrócił mnie, coś do siebie szeptał, nie rozumiałem ani słowa. Wyrwał mi klucze od mieszkania, szukał chyba portfela, ale nie brałem przecież do piwnicy. Przy kluczach były też dwa od samochodu, który stał przed domem, j On musiał o tym wiedzieć, może przedtem mnie obserwował. Potem uderzył mnie silnie jakimś żelazem; straciłem przytomność. Zapamiętałem I tylko jedno słowo, które powtórzył dwukrotnie: „Adamas!” Kiedy się ocknąłem...

- Chwileczkę! - przerwał szef. Podniósł słuchawkę. - Szczęśny? Chodź do mnie. Niech pan zaczeka. Może kawy?

- Chętnie - odparł magister-fizyk.

Wszedł Szczęśny, pułkownik pokazał mu oczami na przybysza i coś mruknął. Oczy majora rozbłysły jak żarzące się węgle. Wniesiono kawę i Daniłowicz poprosił, aby Świderski opowiedział rzecz całą raz jeszcze od początku. Delikwent westchnął, wypił kawę i posłusznie relacjonował.

- Więc kiedy się ocknąłem - kończył - nikogo już w piwnicy nie było. Ani mojego samochodu na ulicy - dodał z nie ukrywanym żalem. - Wróciłem do mieszkania, nic żonie nie mówiąc, aby się nie złąkla. Poprosiłem ją tylko, żeby nie ruszała się z domu, bo gdzieś zagubiły mi się klucze, więc poszukam po pracy. Na głowie miałem krew od uderzenia, powiedziałem jej, że rąbnąłem o coś tam w piwnicy. Od razu kupiłem nowy zamek z zapasem kluczy - wyjął z teczki, pokazał. - Żonie przykazałem, aby zamknęła się od wewnątrz i

nikomu nie otwierała, póki nie wrócę. Ale tak myślę, że jeżeli on skradł samochód, to już jest daleko.

- Jaki pan ma wóz?

- Stare, ale dobre volvo. Czarne. Numer rejestracyjny: WAE szesnaście dwanaście.

Szczęśny zerwał się, wyszedł do sali stanowiska dowodzenia. Trzeba było natychmiast rozesłać wiadomość do wszystkich jednostek milicyjnych w kraju. Daniłowicz dołał magistrowi kawy i powiedział:

- Więc wyczuł pan w trakcie szamotania, że napastnik ma brodę i wasy. Może coś jeszcze? Miał płaszcz czy tylko ubranie? Jakie buty?

- Chyba płaszcz. Nie, raczej kurtkę. Buty? - Zamyślił się. - W takim oświetleniu to trudno odróżnić. W każdym razie ciemne,

- Miał czapkę?

- Jeżeli miał, to musiała spaść podczas tej walki. Bo to jednak była walka o życie... Wciąż mnie boli gardło i głowa.

- I zapamiętał pan słowo: „Adámas?” Nie przesłyszał się pan?

- Raczej nie. Pomyślałem nawet, że to jakiś obcokrajowiec, że to słowo coś znaczy w jego języku.

Wrócił major, porozumiał się wzrokiem z szefem.

- Pojedziemy z panem do piwnicy - rzekł. - Być może znajdują się tam ślady pobytu tego człowieka.

Znaleźli jednak tylko kilka niedopałków, które mogły być wyrzucone przez lokatorów domu. Przeszukali wszystkie piwnice po kolei. Nie natrafili w żadnej na rozesłane szmaty, okruchy żywności, cokolwiek, co by wskazywało, że ktoś tutaj nocował. „Adámas” albo starannie zatarł za sobą wszelki ślad pobytu, albo znalazł się tu przypadkiem i na krótko.

Szukano więc samochodu.

ROZDZIAŁ 8

Ciepła kwietniowa pogoda od kilku dni zapewniała, że już po zimie; śnieg dawno stopniał, błoto obeschło. Księżyc powoli wypełzał na niebo, jakby zawstydzony, że jest go tylko połowa.

Minęła północ. Czarne volvo pędziło pustą szosą, mijając stare przydrożne topole i uśpione wioski. Samotny kierowca od czasu do czasu spoglądał we wsteczne lusterko, porównywał nazwy miejscowości z mapą, rozłożoną na drugim siedzeniu, zwalniał trochę, by zapalić papierosa, i znów dodawał gazu.

Okolo pierwszej nad ranem zbliżył się do niewielkiego miasteczka. Odczytał na tablicy: „Stara Górka”, wjechał na ulicę, która prowadziła ukosem do rynku. Dostrzegł światła w oknach jednego z budynków i dwa samochody przed otwartymi drzwiami. Chciał skręcić lub wycofać się, ale już było za późno. Milicjant z „lizakiem” w ręku nakazywał zatrzymanie się. Kierowca, po sekundzie wahania, zahamował. Zresztą nie miał wyjścia, liczył tylko na efekt tego, co zrobił parę godzin wcześniej.

Starszy szeregowy podszedł do wozu, zajrzał do środka. Zobaczył mężczyznę o siwych włosach i takiej brodzie, w okularach o złoczonej oprawie. Volvo miało tablicę rejestracyjną ze znakami Wielkiej Brytanii.

- English? - spytał milicjant, przyzwyczajony do zagranicznych turystów. Pomyślał, że wcześniej w tym roku zaczynają się zjeżdżać.

- British - mruknął kierowca, poprawiając pytanie.

- Dobra, jedź pan - odparł starszy szeregowy, nie siląc się już na obcy język. Niedbale przyłożył rękę do czapki, zawrócił do komisariatu. Volvo ruszyło i zniknęło tak szybko, że nie zdążył nawet wejść do budynku.

W dyżurce siedział sierżant sztabowy, pisał list do dziewczyny, która mieszkała strasznie daleko, aż czterdzieści kilometrów stąd. Sierżant podejrzewał, że nie była mu wierna, jednakże nie miał dowodów. Może by i znalazł się niejeden, ale komendant stale powtarzał, iż dowód jest bez znaczenia, jeżeli ludzie w niego nie wierzą. A sierżant nie wierzył. W każdym razie nie chciał.

- Co tam było? - spytał, na widok wchodzącego kolegi.

- Jakiś Anglik, kurza jego twarz. Jeszcze sezon się nie zaczął, a oni już są.

- Czym jechał? - Sierżant nie był ciekawy, musiał jednak trochę odpocząć od listu, przemyśleć argumenty dla niewiernej.

- Takie stare volvo.

- Volvo?

Nagle sierżant zmarszczył brwi, spojrzał na radiogram z Warszawy. „Czarne, trochę zniszczone volvo, numer rejestracyjny...”

- Stare, mówisz? Czarne?

Starszy szeregowy usiadł, rzucił czapkę i „lizak” na stół.

- Nie mówiłem, że czarne. Skąd wiesz?

- I kierowca sam, bez pasażera?

- Sam.

- Brodaty, wąsaty?

- Byłeś tam? - zdziwił się milicjant. - Czy widziałeś przez okno?

- Człowieku! Okulary miał?

- Miał.

- I ty mówisz, że Anglik? Taki on cudzoziemiec, jak ty szach perski!

- Nie Persja, tylko Iran. Nie szach, tylko Chomeini - pouczył kolegę. - O co chodzi?

Ale sierżant już wykręcał numer telefonu Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

- Z oficerem dyżurnym! - krzyczał, bo źle było słycać. - Tu komisariat w Starej Górcie, sierżant sztabowy Bednarz... Bednarz, nie rymarz, przecież mówię! Czarne volvo, stare, z samotnym kierowcą przejechało tędy... Tak, brodaty, w okularach... Ale podaje się za Anglika i wóz ma brytyjskie znaki rejestracyjne... Nie, nie sprawdzaliśmy, cholera! Może dziesięć minut temu... Prosto, na Olsztyn...

Odłożył słuchawkę i spojrzał na milicjanta z wyrzutem.

- Widzisz, coś narobił? To mógł być ten, jak mu tam, Jaszewski, poszukiwany. Trzy zabójstwa. Warszawa się za nim urywa, a ty go puszczasz!

- A czy ja mogłem wiedzieć? Po angielsku gada, znaki brytyjskie, czy to jedno volvo po Polsce jeździ? Skąd wiesz, że to on?

- Powiedziałem, że mógł być on. Już tam w Olsztynie go dostaną i sprawdzą. Jeżeli Anglik, pojedzie sobie dalej. Ale jeżeli to był on i myśmy mogli go zatrzymać... - Sierżant aż poczerwieniał z irytacji. - Łeb ci uknęć! - zagroził. - Rano przyjdzie komendant, dopiero się nasłuchasz.

Czarne volvo wcale nie pojechało prosto do Olsztyna. Dwadzieścia kilometrów za Starą Górką kierowca skręcił w las. Ciągnął się daleko, szerokim pasmem, prowadziła przez niego dobrze utrzymana droga. W głębi lasu kierowca zatrzymał wóz, wysiadł i przechadzał

się, aby rozprostować kości. Wrócił potem do samochodu, wyjął z przegródki paczkę z jedzeniem, a chociaż nie znosił suchego prowiantu, teraz jednak był głodny i gryzł kawał bułki z pasztetem, popijając oranżadą z butelki. Wypalił papierosa, niedopałek wkręcił butem w trawę, aby nie zostawiać śladów. Potem wsiadł do wozu i ruszył dalej.

Okolo szóstej rano wydostał się na szosę, prowadzącą na północ. Spotykał chłopskie furmanki, czasem jakiś autobus pekaesu lub rowerzystę. Zaczął się niepokoić. Wprawdzie tamten milicjant nie zażądał dokumentów, ale teraz w dzień każdej chwili historia mogła się powtórzyć z zupełnie innym zakończeniem. Nie wątpił, że pościg za skradzionym volvo już trwa. Postarał się o brytyjską tablicę rejestracyjną i ufarbował włosy, ale nie miał żadnych zagranicznych dokumentów. W portfelu i w teczce leżało jednak dużo pieniędzy - za patent zapłacili nad podziw wiele - a pieniądze mogą załatwić prawie wszystko.

Skreślił więc na boczną drogę. Przejeżdżał teraz obok campingów nad jeziorami. Wiosną i latem zatrzymywali się tu obcokrajowcy, amatorzy wędkarstwa. Wczesną wiosną zwabiały ich łososie.

To, co sobie teraz obmyślił, mogło się zdarzyć zupełnie wyjątkowo i nie miał nadziei, że się uda. Na razie zaszył się z wozem między puste, zamknięte na głucho domki campingowe, wyłączył silnik, ułożył się na tylnym siedzeniu, nakrył kocem. Bez kilku choćby godzin snu nie miał szans na bezpieczną jazdę.

Spał twardo, obudził się po południu, skostniały i obolały wskutek skurczonej pozycji. Pobiegał trochę, pogimnastykował się, zjadł resztę zapasów, butelkę po oranżadzie wrzucił do jeziora między trzciny. Potem z wolna ruszył znów na północ.

Kiedy przejechał kilkanaście kilometrów, dostrzegł coś, co mogło być spełnieniem jego pragnień. Właśnie tych, zdawało się, prawie beznadziejnych. Z boku przy drodze stało zaparkowane granatowe BMW z autentyczną brytyjską rejestracją. Przy podniesionej masce kręcił się jakiś mężczyzna, to zaglądając do środka, to sięgając po narzędzia, rozłożone na kawałku brezentu. Usłyszawszy nadjeżdżający wóz podniósł głowę, potem rękę gestem prośby o zatrzymanie. Odezwał się po angielsku, co nie było dziwne, zważywszy, że volvo miało brytyjskie znaki.

Jaszewski zahamował, wysiadł i zbliżył się do obcokrajowca. Jednym rzutem oka ocenił jego wysoką sylwetkę, rysy człowieka już nie pierwszej młodości, ufny wyraz twarzy. Miał krótką brodę i okulary.

- Może pan mi pomóc? - pytał tamten. - Nie rozumiem, dlaczego nie zapala.

- Spróbuję - odparł swoją poprawną angielszczyzną.

To, co potem nastąpiło, nie trwało dłużej niż cztery sekundy. Uderzony w głowę pierwszym z brzegu narzędziem Anglik upadł i stracił przytomność. Jaszewski wyjął z jego marynarki portfel, przełożył do swojego paszport, bilet lotniczy i inne dokumenty; zawahał się przy pieniądzach, ale wziął, portfel odrzucił na drogę. Potem do granatowego BMW przeniósł dużą torbę, jedyny bagaż, który w tej chwili posiadał. Samochód uruchomił w przeciągu pięciu minut, co chwila spoglądając na bladą twarz leżącego. Skierował się, jak przedtem, na północ.

Komendant komisariatu w Starej Górcie zużył wielki zapas słów, aby dosadnie przekonać dwóch swoich podwładnych o poniesionej w nocy porażce. Dostało się zarówno starszemu szeregowemu, jak i sierżantowi, który jako dyżurujący powinien był stanąć na wysokości zadania. Na zakończenie komendant dał do zrozumienia, że jeżeli obaj w najkrótszym czasie nie zrehabilitują się, to lepiej, żeby ich święta ziemia więcej nie nosiła. A w każdym razie komisariat.

Starszy szeregowy siedział teraz smętnie na ławce przed budynkiem i rozmyślał. Łatwo powiedzieć: zrehabilituj się. Ale jak? Czym? Żeby jaki pożar i dzieci w środku. Albo napad rozbójniczy na staruszkę. Albo żeby panią komendantową... nie, lepiej kogo innego. No, to by się wykazał. Dzieci z płomieni wyrwał, chuliganów za rączkę do kicia, panią... albo inną. Cóż, kiedy nic takiego w Starej Górcie się nie dzieje.

Szarzało już, od pobliskiej rzeczki ciągnął chłód. Dźwignął się z ławki, a wtedy usłyszał szum silnika i zobaczył czarne volvo, z wolna wjeżdżające na rynek. Patrzał i oczom nie wierzył, serce zatłukło mu z wrażenia.

- O, czekaj! Teraz ja cię dostanę! - szepnął. Wyskoczył na środek jezdni, zamachał „lizakiem”. Volvo zatrzymało się posłusznie. Milicjant podszedł, zajrzał do wnętrza wozu. Za kierownicą siedział samotnie mężczyzna z jasną bródką i w okularach. Chciał się odezwać, ale starszy szeregowy go uprzedził. Jego zboląla ambicja żądała głębokiej satysfakcji.

- Z kim mam przyjemność? - spytał basem.

Kierowca popatrzał na niego, dłonią wskazał na czoło, obwiązane chustką.

- I'm British - powiedział.

Dalej nie dopuszczono go do głosu.

- Ja ci dam british! - wrzasnął starszy szeregowy. - Wyłaż z wozu. Ale już!

Mężczyzna z owiazaną głową nie zrozumiał ani słowa. Widząc jednak zdecydowaną postawę przedstawiciela władzy, na wszelki wypadek wygramolił się z samochodu i podniósł obie ręce w górę.

- Naprzód! - Milicjant lekko popchnął go w stronę otwartych drzwi komisariatu. - Tylko bez kawałów.

W chwilę później zdumionym oczom komendanta i jego zastępcy ukazał się mężczyzna z rękami uniesionymi pod sufit. Tuż za nim kroczył starszy szeregowy.

- Obywatelu kapitanie, zatrzymałem poszukiwanego Jaszewskiego i czarne volvo - oznajmił z dumą.

Kapitan Staniewski odchrząknął, przyjrzał się nieznanemu i powiedział spokojnie:

- Proszę opuścić ręce. Nie jesteśmy na froncie. - Widząc jednak zupełny brak zrozumienia na twarzy obcego, gestem pokazał mu, co ma zrobić.

Tamten z ulgą opuścił ramiona, dotknął bolącej głowy i zaczął mówić po angielsku, wyraźnie domagając się czegoś, komuś złożyć i o coś prosić.

- Chwileczkę - komendantowi przemknęła nieprzyjemna myśl, że zaszła tu pomyłka. - Niech pan siada. - Wskazał krzesło. - Gdzie to volvo? - zwrócił się do milicjanta.

- A stoi przed domem.

Kapitan wyszedł na ulicę, obejrzał dokładnie samochód i wrócił do komisariatu, zgnębiony niemożnością rozwikłania sytuacji. Volvo było z pewnością to samo, o które - wraz z kierowcą - upominała się Warszawa. Ale kierowca był inny. Wystarczyło porównać jego twarz ze zdjęciem.

- Kto zna angielski? - spytał zastępcę.

- Ksiądz proboszcz - odparł porucznik bez wahania. Był tutejszy.

Kapitan zastanowił się i pokręcił głową. Jakoś nie wypadało - ani proboszczowi, ani jemu.

- Kto jeszcze?

Okazało się, że nauczyciel z technikum. Ściągnięto więc nauczyciela i nareszcie Anglik znalazł pełne zrozumienie swojej przygody, która zresztą mogła się skończyć o wiele gorzej.

- Więc tak - rozpoczął nauczyciel, rad z wrażenia, jakie wywołała jego bezbłędna angielszczyzna. - Facet nazywa się Henry Thomas Collins, mieszka w Manchesterze, przyjechał do Polski jako turysta. Miał zamiar, bo nie wiem, czy w tej sytuacji nie rozmyśli się, zorientować się w możliwościach campingowych nad tutejszymi jeziorami. Jest zapalonym wędkarzem. Przyjechał swoim wozem...

- Marka, kolor i znaki rejestracyjne? - gwałtownie przerwał kapitan, który już domyślił się, co zaszło.

Nauczyciel zapytał Anglika, który zanotował dokładną odpowiedź i podał kartkę komendantowi. Zastępca przejął ją, wyszedł do sąsiedniego pokoju, aby przekazać radiogram do Olsztyna i do Warszawy.

- Co dalej?

- Przyjechał nad jedno z jezior, zatrzymał się, bo samochód nie chciał zapalić, coś tam nawaliło. Wtedy zobaczył czarne volvo z angielskimi znakami. Wsiadł z niego mężczyzna dość wysoki, z siwą bródką i w okularach. Pan Collins poprosił o pomoc, tamten odpowiedział po angielsku, że dobrze czy że spróbuje, coś takiego. Zbliżył się i od tego momentu Anglik nic nie pamięta. Poczuł tylko gwałtowny ból w głowie, stracił przytomność. Kiedy się ocknął, nie było jego wozu, stało natomiast volvo. Anglik zobaczył swój portfel, leżący na ziemi, pusty. Oczywiście, u nich też są napady, więc domyślił się, że go okradziono. Co prawda nigdy nie przypuszczał, że w Polsce zrobi to właśnie jego rodak. Mówi, że łobuzy i złodzieje trafiają się wszędzie. Przewiązał sobie głowę, zobaczył, że w stacyjce wozu są kluczyki, więc wsiadł i tu przyjechał. Z mapy, którą miał w kieszeni, dowiedział się o najbliższym miasteczku, czyli naszym. Zupełnie nie rozumie, dlaczego ten pan - wskazał na starszego szeregowego, który był coraz smutniejszy go aresztował.

- Niech pan mu powie, że nie jest aresztowany - rzekł kapitan. - Przeciwnie, zrobimy wszystko, żeby mu pomóc odzyskać wóz i resztę.

Nauczyciel przetłumaczył, Henry Thoms Collins z zadowoleniem kiwnął głową. Spymano go potem, czy nie zaprowadzić go do lekarza, na co również wyraził zgodę. W towarzystwie nauczyciela i porucznika pojechał radiowozem do ośrodka zdrowia, który na szczęście był czynny, czysty i nie zatłoczony. A kiedy okazało się, że miejscowy chirurg włada zupełnie nieźle angielskim, pan Collins rozpromienił się, poddał zabiegowi oczyszczenia i zaszycia płytkiej ranki, po czym z nieustającym zadowoleniem przyjął od lekarza zaproszenie na kolację. Był już bowiem zgłodniały, jako że jego zapasy żywności jechały teraz z innym kierowcą w granatowym BMW.

Dalsze losy Anglika potoczyły się nieco inaczej, niż to sobie uprzednio zaplanował. Chirurg, wędkarz z zamiłowania, zaproponował mu w najbliższy weekend wyjazd motorową łodzią nad jeziora, zanim odstawią go do brytyjskiego konsulatu dla załatwienia formalności. Collins potrzebny był też milicji jako świadek. Tak więc jego pobyt w Polsce zapowiadał się interesująco i na dłużej.

Wiedział, że pościg będzie szybki i daleko skradzionym samochodem nie zajędzie. Przedtem mogli szukać po całej Polsce, teraz krąg, w którym on się znajdował, zacieśnił się. Należało więc pozbyć się wozu. Albo zmienić na inny.

Późnym wieczorem dostał się z lasu na drogę, która prowadziła do dużej gminy Rajsko. Sądził, że tutaj jeszcze nie dotarły informacje o poszukiwaniach granatowego BMW; w takiej wsi mógł być najwyżej posterunek milicji, nie komisariat. Dojrzał z daleka niski, drewniany zajazd w stylu dawnej karczmy. Przed budynkiem parkowało kilka samochodów. Podjechał bezszelestnie, zahamował w odległości paru metrów. Czekał. Po kwadransie z zajazdu wyszedł zataczając się mężczyzna, otworzył szarego wartburga, chwilę czegoś w nim szukał, potem na chwiejnych nogach wrócił do budynku. Klucze zostały w stacyjce, widać kierowca nie dbał o bezpieczeństwo wozu albo też był zbyt pijany.

Jaszewski wysiadł, zabrał swoją torbę, do której zdążył przełożyć trochę potrzebnych drobiazgów z walizy Anglika. Stał chwilę, nadsluchiwał. Na parkingu było jednak pusto, tylko z zajazdu przez otwarte okna dolatywały głośne rozmowy, śpiew i okrzyki. Bawiono się tam wesoło.

Po dwóch minutach siedział już w wartburgu. Tak jak poprzednio, i tutaj kluczyki znalazł w stacyjce. Zapуścił silnik. Ostrożnie, cofając wóz i lawirując między paru ciężarówkami, wyostał się na drogę. Teraz zwiększył szybkość. Nie zapalał reflektorów, wystarczał mu jasno świecący księżyc. Jechał ciągle na północ.

Dopiero wczesnym rankiem wyszli z zajazdu dwaj właściciele zaparkowanych samochodów. Jeden z niemałym trudem władował się do swego fiata. Drugi z otwartymi ustami i oczyma okrągłymi ze zdumienia sterczał nieruchomo przed wspaniałym granatowym BMW.

- Jasiak! - krzyknął wreszcie do przyjaciela. - Chodź no tu.

Tamten wychylił się z samochodu, popatrzał. Widok był tak zaskakujący, że opuścił fiata i podszedł bliżej.

- Gdzie twój wóz? - zapytał zdziwiony. - Czyj to taki... o, rany! Co za kareta!

- Jasiak, czy ja jestem pijany?

- A bo ja wiem. .Gdzie twój wartburg?

- Jasiak - zapłakał nagle przyjaciel. - Nie ma mojego wozu!

- Nie ma, mówisz? - Kumpel rozejrzał się dokoła.

Wszyscy już odjechali, na parkingu tkwił tylko samotnie rower z pogiętą szprychą.

- Nie ma! Zabrali mi mój samochód.

- Zabrali? Kto ci zabrał?

- Żeby ja wiedział, to bym go, skurwiela! - sypnął wiązaną, aż gęstą od starannie dobieranych przymiotników.

- Czekaj no. Nie ma twojego? A ten czyj? - Pokazał BMW.

- Ten? - Płaczący zamyślił się głęboko.

Pytanie było za trudne.

- Ty nie wiesz i ja nie wiem. No, to go bierz! - wykrzyknął kumpel i trzepnął kolegę w plecy, aż zadudniło. - Wsiadaj, jedziemy do domu.

Przyjaciel ostrożnie umieścił się w granatowym BMW, westchnął. Oba wozy ruszyły w drogę.

Gmina Rajsko ciągnęła się od jednego lasu do drugiego, chyba ze sześć kilometrów. Posterunek milicji usadowił się w samym środku, obok poczty i siedziby PRON-u. Dyżurny kapral z przyczyn technicznych odebrał pierwszą wiadomość o skradzionym czarnym volvo dzień później niż komisariat. Zanim jednak milicjanci zdążyli się rozejrzeć po okolicy, przyszła kolejna informacja. Już nie czarne volvo było poszukiwane, ale granatowe BMW z angielskimi znakami. Dokładnie takie, jakie stało od rana przed domem Kazimierza Wądoła, gospodarza na jedenastu hektarach z sadem i pasieką.

Plutonowy, idąc przez wieś, zobaczył samochód i przystanął, aby przyjrzeć się pięknej maszynie. Nagle służbista, wytrenowana pamięć zaalarmowała: to TEN! Plutonowy skręcił w zabudowania Wądoła, wszedł przez otwarte drzwi do sieni, stamtąd od razu do kuchni. O tej godzinie wszyscy w Rajsku jedli śniadanie.

- Czołem, panie plutonowy! - odezwał się ojciec Kazimierza, żołnierz z drugiej wojny, pięć medali i jeden krzyż. - Co tak rano? Przytrafiło się nieszczęście albo kradzież?

- Czyj to samochód przed chałupą? - Plutonowy zdjął czapkę, siadł na brzegu ławy, ale co chwila rzucał okiem na podwórze.

- Mój - bąknął Kazimierz i ścierpła mu skóra.

- Naprawdę? - Podoficer pokiwał głową z wyrzutem. - Chłopie, mnie nie ocyganisz, nie od dziś tu jestem. Dobrze wiem, że masz wartburga. Od kiedy stoi u was to BMW?

- Od świtu. Zamienili mi! Jak pragnę skonać szybko i bezboleśnie, panie Franku, ktoś zamiast mojego wartburga podstawił tego zagranicznika, a sam pojechał moim. No, to co miałem robić? Wziąłem. Niech mi oddadzą...

- Zaraz! -. przerwał plutonowy. - Od początku. Albo nie. Idźmy na posterunek. Znaczący, jedziemy tym wozem.

Meldunek o znalezionym BMW przekazano z Rajska telefonicznie do Starej Górk, Olsztyna i Warszawy. Był to sprawnie działający posterunek, toteż nie minęła godzina, a pan Henry Thomas Collins z głębokim wzruszeniem odbierał z ręki plutonowego kluczyki swojego samochodu. Ponieważ w poruszaniu się po mieście towarzyszyli mu nieustannie to nauczyciel z technikum, to chirurg (jeżeli nie było pilnych operacji), wygłosił przed nimi dłuższe przemówienie na temat wyjątkowej sprawności i bezbłędnego działania polskiej milicji, o czym mógł się osobiście przekonać. Brakowało jeszcze wprawdzie dokumentów, pieniędzy i paru drobiazgów, ale nie wątpił, że i to się znajdzie.

Kapitan Staniewski podziękował za uznanie w imieniu tutejszych jednostek, Urzędu Wojewódzkiego i, bodaj że Komendy Głównej, ale głowę miał już zaprzątniętą poszukiwaniem szarego wartburga, którym w nieznanym kierunku jechał przestępca. Nie było też żadnej pewności, że na którymś z kolei kilometrów nie zmieni on wozu na inny. Pocięsział się tylko, że Jaszewski zdążył już przejechać granicę województwa, wobec czego niech się teraz martwią inni. Posterunek w Rajsku podlegał komisariatowi w Starej Górcie, więc chwała zostaje w rodzinie.

Major Szczęsny siedział w gabinecie swego szefa i wpatrywał się w mapę samochodową Polski, rozłożoną na biurku. Wiedzieli już o wartburgu, o przygodzie Anglika i dobrej pracy posterunku w Rajsku. Sądząc po kierunku, w jakim posuwał się Jaszewski, celem jego ucieczki mógł być Olsztyn, Elbląg, nawet Gdańsk.

Każda godzina, nawet minuta, w czasie której przestępca nie porzucił jeszcze wartburga, nie przesiadł się do innego samochodu, pociągu czy autobusu - przybliżała jego zatrzymanie. Zaalarmowano wszystkie jednostki milicyjne, w każdej też specjalny funkcjonariusz tkwił okrągłą dobę' przy telefonie i teleksie. Gdyby nie gęsta mgła, utrzymująca się od rana niemal na całym obszarze kraju, użyliby śmigłowców.

Właśnie ta mgła pomagała przestępcy w ukrywaniu się. Nie sposób było zatrzymywać każdy samochód na drogach, legitymować każdego kierowcę wartburga; takich wozów jeździło po Polsce tysiące. Jaszewski już raz pokazał, że potrafi działać sprytnie i z zaskoczenia.

Szczęsny przedtem widział w nim jedynie na wpół obłąkanego mordercę; teraz dostrzegł również groźnego przeciwnika, który jak wąż przemyka się między przeszkodami i ginie we mgle. Ale im stawało się trudniej, tym major bardziej zacinał się w sobie, zbierał wszystkie siły, aby nie dopuścić do przegranej. A za taką - uważał nie tylko ucieczkę Jaszewskiego za granicę, co było możliwe mimo gęstej sieci, zarzuconej na wszystkie drogi, porty i lotniska. Przegraną byłoby również czwarte zabójstwo.

Wszedł Daniłowicz, przysiadł obok mapy.

- Ucieka wciąż na północ - mruknął. - Wybrzeże. Jak sądzisz, czy ma jakieś oparcie w załogach zagranicznych statków?

Szczęśny odłożył papierosa, wypił parę łyków zimnej kawy.

- Może mieć. Wciąż nie znamy jego bliskich kontaktów. Mówi dobrze po angielsku, po niemiecku. Diabli wiedzą, czy nie związał się kiedyś z obcym wywiadem.

- Nasz kontrwywiad nie stwierdził nic takiego.

- Pytałeś?

- Tak. Rozmawiałem z Polewskim. On temu stanowczo zaprzecza. Rezydenci czy aktywni agenci wywiadu nie pasują zresztą do takich patologicznych zabójców, jak Jaszewski. Sztylet, listy do nas, to nie robota szpiegów.

- Pewnie masz rację. Ale kontakt z obcym marynarzem można nawiązać bez podłoża szpiegowskiego. Ot, znajomość, która może się kiedyś przydać. Drobnym przemyt, kupno, sprzedaż. Jaszewski ma pieniądze. Musi mieć. Teraz zresztą ma też brytyjski paszport i obcą walutę. Dokumenty nie przydadzą się, każdy wopista z miejsca go zatrzyma. Ale dolary czy funty szterlingi otwierają wiele dróg. Wiesz, boję się... - Urwał, przetarł zmęczone oczy.

- Rozumiem. Boisz się kolejnego morderstwa. A ja jestem pewien, że on teraz nie będzie zabijał. Przecież natychmiast zostawiłby ślad swego pobytu.

- Jeżeli nie ukryje gdzieś zwłok. A my znajdziemy je po tygodniu. Albo wcale.

Ostro odezwał się aparat służbowego kabla. Szczęśny chwycił słuchawkę, uruchomił magnetofon i włączył głośnik. Mówił oficer dyżurny WUSW w Toruniu.

- Szary wartburg z tymi znakami, jakie podaliście w komunikacie, stoi porzucony przy ogródkach działkowych na Rubinkowie, to jest dalekie przedmieście Torunia - referował. - Dokładnie: na Klonowej w pobliżu ulicy Marii Skłodowskiej-Curie. Wóz jest pusty. To znaczy - dodał spiesznie - w bagażniku znaleźliśmy sześć kilogramów idaredów.

- Czego?

- Zdaje się, że są to idaredy, ale nie jestem pewien. No, jabłka - tłumaczył, trochę zdziwiony.

- Jasne - mruknął Daniłowicz. - Przecież to samochód tego rolnika z Rajska.

- Ślady? - rzucił major do słuchawki.

- Pies doprowadził do placu Skarbka i stracił trop.

- Co tam jest w pobliżu?

- Przystanek kolejowy Toruń Wschodni. Szukamy teraz, rozpytujemy.

- Dajcie znać natychmiast po uzyskaniu dokładniejszych informacji.

Odłożył słuchawkę, spojrzął na mapę.

- Więc jednak nie na północ. Gdzieś po drodze skręcił na Toruń. Żeby nie ta cholerna mgła, już byśmy go mieli. Stefan, chyba polecę?

Pułkownik popatrzał na zegarek, potem w okno.

- Trochę się przerzedziło. Zaczekaj, spytam pilota.

Kilka minut po osiemnastej śmigłowiec wystartował w kierunku Torunia. Prócz pilota siedzieli w nim Szczęsny i Połowski. Mgła opadła i wieczór zrobił się pogodny, chociaż chmurny. W hałasie motorów trudno było rozmawiać, więc milczeli, z rzadka tylko rzucając jakieś słowa. Major zastanawiał się nad kilku rzeczami naraz: czy Ja-szewski rzeczywiście wsiadł do pociągu, czy koledzy z toruńskiej milicji nie przeoczyli ważnego śladu, czy w połowie kwietnia las jest już dostatecznie pewnym schronieniem dla człowieka, czy zbieg ma przy sobie mapy tamtejszych rejonów...

- Jak myślisz, na co on liczy? - spytał kapitan.

- A na co ty byś liczył w jego sytuacji?

- Chyba na tę zagraniczną walutę. Anglik nie chciał czy nie mógł podać, ile tam było, mówił tylko, że sporo. Jaszewski mógł kupić gdzieś po drodze używany samochód. Jadąc nocami i po bocznych drogach, przedostanie się na Wybrzeże.

- Wykluczone! - zaproponował Szczęsny. - Nasi są teraz już wszędzie, gdzie tylko można przejechać. Ale wiesz, co ja bym zrobił na jego miejscu? Nie wydawałbym pieniędzy na kupno wozu, bo traci się przez to możliwość ucieczki za granicę. Natomiast wcisnąłbym się w zatłoczony pakaes albo podmiejską kolejkę. Zmienić samochód, to podpada, ale zmienić płaszcz, czapkę, to drobiazg. Ludzie teraz ciągle jeżdżą, wszędzie ścisk, jak wyłowisz z tłumu mężczyznę, podobnego do setek innych?

- Wczoraj w prasie i w telewizji był list gończy.

- Był i co z tego? Myślisz, że tak od razu ktoś zapamięta? Że mu się będzie chciało dzwonić czy iść do milicji, nie mając pewności, że to nie pomyłka.

Śmigłowiec zatoczył kilka skrętów, zniżył się i usiadł na trawiastym pasie przy ogródkach działkowych osiedla Rubinkowo. Oficerowie podeszli do milicyjnej ekipy, otaczającej szary wartburg. Stały tam też dwa radiowozy, z jednego dolatywał głos oficera dyżurnego na stanowisku dowodzenia w WUSW. Przywitali się z kolegami, rozejrzeli po terenie.

- Żadnych wiadomości? - spytał Szczęsny porucznika Wesołowskiego, który kierował ekipą.

- Jak dotąd, nie - odparł. - W wozie wyraźne odciski palców, zgadzają się z liniami papilarnymi poszukiwanego. Sześć niedopałków marlboro. Mamy informację z Rajska, że właściciel wartburga pali tylko extra mocne.

- Dajcie mi jeden radiowóz - poprosił Szczęsny. - Pojeździmy z Bohdanem po okolicy, może coś... - urwał.

Porucznik popatrzał na jego twarz zmęczoną, zatroskaną.

Trzy morderstwa - myślał. - A ta kanalia nie daje się złapać!

- Proszę wziąć. Kierowca dobrze zna teren.

Noc była ciepła, zanosilo się na deszcz. Las, okryty bujną wiosenną zielenią, chronił przed ludzkimi oczami. Ale w lesie trudno się pożywić, zwłaszcza w kwietniu.

Jaszewski brnął wytrwale przez gęste krzewy i zarośla, coraz bardziej znużony i zgłodniały. Ciężka mu torba, ciało nie myte od kilku dni swędziło, przepocona bielizna przykro ocierała skórę. Po południu zjadł resztkę zapasów, które znalazł w granatowym BMW; została mu tylko jedna puszka holenderskiego piwa, schowana na czarną godzinę. Bał się, że ta godzina niedługo nadejdzie.

Z mapy orientował się, że idąc na zachód przedostanie się do małej stacyjki kolejowej w Mirowicach. Unikał szosy i wiosek, wiedział, że wszędzie muszą być rozstawione patrole milicyjne; sądził jednak, iż osobowym pociągiem przebrany w kolejarski mundur i czapkę dojedzie bez przeszkód do Bydgoszczy lub Tczewa. Stamtąd - na Gdańsk. W porcie poszuka człowieka, z którym kiedyś łączyły go różne sprawy i który zobowiązany jest do wdzięczności, a w każdym razie do pomocy.

Ten kolejarz - myślał, przystając co chwila na obolałych nogach - nawinął się w najstosowniejszej chwili. Szedł obok ogródków działkowych, pijany prawie do nieprzytomności, i dał się rozebrać bez żadnego oporu. Ciekawe, co teraz zrobi... Teraz? Przecież to było wczoraj wieczorem. A on znajduje się w lesie od blisko doby.

Przysiadł na pniaku i odpoczywał. Na rękę spadła wpierw jedna kropla, potem coraz więcej; szum deszczu zagłuszył szelest liści, poruszanych wiatrem. Nadstawił dłoń, zlizywał te krople, trawiony nieznośnym pragnieniem. Walczył z chęcią otworzenia puszkę z piwem, bał się jednak tej chwili, kiedy w torbie nie pozostanie już nic do picia. Zerwał parę listków, żuł powoli, ale tylko rozbudziły uczucie głodu. W portfelu miał dużo pieniędzy, choć wolałby teraz zamiast jednego czy dwóch tysięcy złotych chleb, chociażby suchy.

Deszcz zacinał coraz gęstszy. Jaszewski wstał, skierował się w zarośla; mała polanka obrzeżona była jałowcem i tarniną. Pokłął sobie palce o cierniste gałązki, więc skręcił w bok, pod drzewa. Nagle uczył gwałtowny ból w lewej nodze. Coś ją mocno trzymało, a im bardziej starał się wyszarpnąć stopę, tym bardziej ból się potęgował. Zrazu pomyślał z przerażeniem, że to jakieś zwierzę - wilk czy ryś - złapało go za nogę. Nie słyszał jednak żadnego warczenia, nic nie poruszało się tam, w dole. Schylił się więc ostrożnie, a wtedy zrozumiał: złapał się w potrzask, zastawiony przez kłusownika.

Co za przekłety pech! - myślał, próbując wymacać miejsce, w którym żelazo daje się otworzyć. Musi przecież być takie miejsce, kłusownik nie wydiera lisa czy zająca z potrzasku, ale go otwiera. Nie znał konstrukcji żadnej pastwy, nigdy się tym nie interesował. Bardzo ostrożnie usiadł w trawie, wyjął z kieszeni zapalniczki i oświetlił uwięzioną nogę. Bolała coraz mocniej, ból pełzał w górę aż do kolana, mięśnie drętwiały. Zapalniczki szybko gasły na deszczu; w żaden sposób nie zdołał wymacać czegoś, co otwiera potrzask. Każdy ruch ciała rozdrażniał skaleczoną stopę. W końcu postanowił, że przesiedzi tak aż do rana, a wówczas może łatwiej się uwolni.

Zaczynało już widnieć, kiedy usłyszał szczekanie psa. Zaniepokoił się; to mogła iść milicyjna obława. Znowu zaczął obmacywać pułapkę. Bez skutku. Pies biegł wyraźnie w jego kierunku, teraz był już blisko. Dojrzał zwinnego brązowego wyżła i poczuł ulgę. To nie był w każdym razie pies milicyjny, takich nie używają do tropienia.

Wyżeł z głośnym sapaniem przedarł się przez krzaki i stanął obok niego. Przez chwilę patrzyli na siebie, człowiek i pies, ten ostatni wyraźnie zdziwiony. W potrzasku nie było zwierzęcia, na które pewnie czekał jego pan, kłusownik.

- Pomóż mi otworzyć - mruknął Jaszewski do psa.

Z wolna ogarniała go gorączka, stopa zdrętwiała, nie czuł jej. Wyżeł szczeknął głośno. Na polankę wyszedł mężczyzna w mundurze leśnika. Zobaczył uwięzionego człowieka i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

- Co pan tu robi? - spytał. - Ej, czyżby kłusownik złapał się we własne sidła? - Roześmiał się na całe gardło.

- Nie jestem kłusownikiem - odparł Jaszewski. - Jestem, kolejarzem. Wraciałem przez las, trochę zabłądziłem i wpadłem w to cholerne urządzenie. Niech mnie pan uwolni, bo już nogi nie czuję.

- Widzę, że kolejarz. Po cóż pan łąził w nocy po lesie?

Leśniczy nie śpieszył się z otwarciem sidła. Widać było, że nie bardzo wierzy w zapewnienia o niewinności.

- Na co pan czeka? - krzyknął Jaszewski zachrypniętym głosem.

- Nie drzyj się, człowieku, w lesie. Ja tego nie lubię.

Przykucnął obok niego, wprawnym ruchem rozwarł metalowe kleszcze. Jaszewski spróbował wstać, ale nie mógł. Noga w kostce była spuchnięta, zakrwawiona. Leśniczy pomógł mu się podnieść, potem zabrał do swej torby potrzask, mruzczał coś o sk... kłusownikach.

- Dokąd pan chce iść? - spytał, widząc, że obcy chwieje się na jednej nodze i nie może stąpnąć na drugiej.

- Do stacji w Mirowicach.

- W Mirowicach?! Toż to ze dwadzieścia kilometrów. W tym stanie ani kilometra pan nie ujdzie. - Pomyślał chwilę, a potem rzekł stanowczym tonem: - Zabieram pana do leśniczówki. Nogę trzeba opatrzyć, zawinąć. Potem wsadzę pana na swój motor, mam przyczepę. No, chodź, nieszczęsny więźniu! - Znow się roześmiał, podparł Jaszewskiego mocnym ramieniem i zaczęli iść przez polankę.

Wyżeł buszował po krzakach, co chwila wyskakiwał obok nich, to znowu znikał w wysokiej trawie.

- Musiał pan być chyba na niewąskim cyku - zauważył leśniczy. - Tak daleko poleżeć w las?

- Może i byłem - odburknął Jaszewski. - Szwagier miał imieniny. Wypiło się.

- Ale że ja pana nie znam? - zdziwił się jego wyzwoliciel. - Nie jesteś, bracie, ani z Mirowie, ani z żadnej okolicznej stacji.

- Mieszkam w Białymstoku.

- A ten szwagier gdzie?

Nie odpowiedział. Stęknął, oparł się mocniej na ramieniu leśniczego. Skaleczona noga stała się dobrym pretekstem do unikania odpowiedzi na niewygodne pytania.

Krok za krokiem, coraz to przystając dla odpoczynku, dowlekli się wreszcie do leśniczówki. W obejściu gospodarskim krzątała się kobieta i młody chłopak. Na ich widok przystanęli, a młody zawołał ze śmiechem:

- Tato, udał ci się kłusownik! Sam pan konduktor albo maszynista. Jeszcze go musisz podpieścić, żeby szedł!

- Po coś go tu sprowadził? - spytała kobieta niechętnie. - Wsadź łobuza na motor i odwieź na milicję. Marek ci pomoże, jakby się rzucił.

- Jużecie mądrzy oboje, a nic nie wiecie! - zżymał się leśniczy. - To nie kłusownik. Kolejarz. Szedł przez las i złapał się w kłusownicze sidła. Nogę ma skaleczoną.

- Sidła pewnie rudego Ignaca z Poręby - orzekł syn fachowo, zaglądając do ojcowskiej torby. - A myśleliśmy, że już przestał.

- Gdzie on tam przestanie, zapowietrzony! Daj, Kasiu, ciepłej wody i trochę czystych szmat. Opatrzę człowiekowi nogę.

Kiedy Jaszewski siedział na ławie, poddając się z ulgą opatrunkowi, leśniczyna przyjrzała mu się z uwagą, a potem wywołała męża do kuchni i szepnęła:

- Franek, on mi wcale na kolejarza nie wygląda. Brudny, jakby się tydzień nie mył, ale koszula jakaś zagraniczna, krawat, spodnie z drogiej wełny i złoty sygnet na palcu. Buty też eleganckie, chociaż zabłocone. Franek, ty go spytaj o dokumenty. Przecież jesteś na państwowej służbie. Może to jakiś złodziej?

Leśniczy zamyślił się. Jemu też dziwne wydawało się to błędzenie po lesie i ubiór, niby kolejarzki, niby nie. Kiwnął głową, wrócili do pokoju. Jaszewski drzemał, oparty o ścianę. Gospodyni popatrzała na niego i trochę pożałowała.

- Panie! - szarpnęła go za rękaw. - Chce pan ciepłego mleka?

- Proszę - zwilżył językiem zeschnięte wargi. - I chleba. Ja zapłacę. - Pomacał po wewnętrznej kieszeni marynarki, chciał wyjąć portfel, ale kobieta zachnęła się. - - U nas nie ma takich zwyczajów, żeby za poczęstunek brać pieniądze - powiedziała surowo.

Po chwili przyniosła kubek z parującym mlekiem, pokrajany chleb na talerzu i kawał białego sera. Postawiła przed nim na stole, zaczął jeść łapczywie. Gospodarze wymienili spojrzenia. Tak je człowiek, który od dłuższego czasu błąkał się zgłodniały i spragniony.

- Marne musiały być te imieniny, że taki pan wygłodzony - zauważył leśniczy. - A jak pan się nazywa?

- Nowacki - mruknął, przelękając ser. Już parokrotnie użył tego nazwiska, tak mu jakoś pasowało.

- Ma pan dokumenty?

W oczach, przygasłych znużeniem, zabłysła czujność. Odstawił pusty kubek, obrzucił całą trójkę ostrym wzrokiem.

- Mam - odparł krótko.

Leśniczemu nie chciało się żądać okazania dowodu czy służbowych papierów. Brudny i niemily, zawsze to był gość. Przyjęli go pod swój dach, nijako było gościa legitymować.

- Mógłbym się trochę przespać? - spytał Jaszewski. - Choćby tu, na ławie. - Zdawał sobie sprawę, że nie zaproszą go do czystej pościeli. Dom wyglądał schludnie i dostatnio.

- Dam mu poduszkę i koc - zdecydowała leśniczyna.

Przyniosła i rozłożyła na ławie, dostatecznie szerokiej, aby można się było na niej wyciągnąć. Przymknęła potem drzwi, usiedli wszyscy troje w kuchni, zabrali się do śniadania.

- Słuchaj, a jak on nas okradnie i oknem ucieknie? - zaniepokoiła się kobieta. - Tu nie będzie słychać.

Chłopak zerwał się, chwycił siekierkę.

- Pójdę pod okna - powiedział. - Jakby co, zatrzymam go.

Jaszewski spał twardo, nie w głowie mu była kradzież. Minęło południe, zbliżał się wieczór. Leśniczy zapalił lampę i wziął do ręki wczorajszą gazetę, której jeszcze nie zdążył przeczytać. Obrócił parę stron. Nagle rzuciło mu się w oczy małe, ale wyraźne zdjęcie mężczyzny. I podpis: list gończy. Przeczytał raz, drugi.

- Kasiu, chodź no tu! - rzekł szeptem. - Popatrz na tego z fotografii.

Leśniczyna podeszła, przyjrzała się.

- Matko rodzona! - jęknęła. - Toż to on!

Milczeli kilka minut.

- I co zrobimy? - spytała wreszcie. - Zadzwonisz na komisariat?

- Trzeba - mruknął niechętnie. - Szukają go. Psiakrew, nie lubię takich...

Dalsze słowa przerwał mu szum samochodu; po ścianach przebiegły światła reflektorów, wyżeł zaczął ujadać.

Leśniczy wyszedł na ganek. Dwa radiowozy milicyjne zatrzymały się przed domem. Wsiadło kilku mężczyzn, w mundurach i po cywilnemu.

- Ano, toście się w porę zjawili - rzekł. - Miałem do was dzwonić.

Nagle z tyłu domu coś się zakotłowało, ktoś krzyknął. Dwóch milicjantów skoczyło w tamtym kierunku. Po chwili ukazali się, prowadząc mężczyznę w kolejarским płaszczu; nogi miał bose, jedną zawiniętą bandażem. Za nimi szedł chłopak.

- Tato, chciał uciec! - zawołał. - Zatrzymałem go.

Zbliżył się major Szczęsny i kapitan Połowski. Szczęsny przez dłuższą chwilę mierzył wzrokiem Jaszewskiego, jakby nie wierząc, że nareszcie pościg zakończony.

- „Adamas” - powiedział z satysfakcją w głosie. - A jednak!

ROZDZIAŁ 9

Koniec sierpnia był w tym roku chłodny i deszczowy. Zła pogoda wcześniej wypędziła wczasowiczów z urlopów nad morzem i w górach; tylko wytrwali wędkarze siedzieli jeszcze nad jeziorami mazurskimi, owinięci w brezentowe peleryny, z oczami utkwionymi w czerwony spławik.

Wznowiono, po letniej przerwie, rozprawy sądowe i w korytarzach, w bufecie na dole, w pokojach sędziowskich i adwokackich można było zauważyć ożywiony ruch. Wróciły z chemicznych pralni czarne togi, powoli zappełniały się kioski z książkami wydawnictw prawniczych, ktoś zdążył wybić szybę w drzwiach, zanim go ujęto, komuś wymierzono już „piętnastkę” za rozbój.

Przeclawski przyjechał do gmachu sądów godzinę wcześniej, niż by wymagało rozpoczęcie procesu. Zamknął się w swoim gabinecie, uprzedzając, iż nie odbiera telefonów i z nikim nie chce rozmawiać. Położył przed sobą na biurku akta sprawy, ale nie otworzył. Od dwóch miesięcy wertował je z największą uwagą, znał niemal na pamięć każdy dokument. Jednakże chociaż był sędzią doświadczonym, wiele lat przewodniczył lub uczestniczył w rozprawach - tych ciężkich, najbardziej odpowiedzialnych, kiedy przestępcy groziła kara najwyższa - nigdy jeszcze nie zetknął się z czymś takim jak to, o czym mówiły te akta.

Na ławie oskarżonych miał zasiąść człowiek, który trzykrotnie zabił. Nie z chęci zysku, dla rabunku; nie z zemsty za wyrządzoną mu krzywdę; nie dlatego, że jemu grożono, a więc niejako uprzedzał wykonanie wyroku na siebie, bronił się. Nie usuwał też niewygodnych świadków ani ludzi, którzy go szantażowali. Wreszcie - nie był szaleńcem. Przez długie tygodnie przebywał na obserwacji w zamkniętym zakładzie, badany wnikliwie przez lekarzy psychiatrów. Orzekli, iż przy pewnych odchyleniach od normy, zaburzeniach życia uczuciowego, przy „zespole hipochondrycznym w klasyfikacji psychopatologicznej” był jednak zdolny rozpoznawać swoje czyny, a więc działał świadomie i przy pełnej orientacji. Wskazywali na wysoki stopień inteligencji pacjenta, bystrość, nawet przebiegłość, przejawianą zwłaszcza w trakcie ucieczki. Nie byli jednak w stanie wyjaśnić istotnej przyczyny zabójstw, które popełnił, gdyż odmawiał wszelkich rozmów na ten temat i zaciął się w końcu w uporczywym milczeniu.

Sędzia Przeclawski kilkakrotnie wczytywał się w orzeczenie psychiatrów, rozważał każde zdanie i próbował zrozumieć, kim jest człowiek, którego przyjdzie mu sądzić. Znał osobiście Antoniego Zawilskiego, cenił go i ogromnie żałował, iż zamordowano go okrutnie.

Jak wielu innych, i on nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek żywił aż tak straszną nienawiść do profesora, by sięgnąć po narzędzie śmierci. Wtedy, w listopadzie ubiegłego roku, skłonny był raczej przypuszczać, iż zabójstwo Zawilskiego to dzieło człowieka o chorym umyśle, kogoś, kto błąkał się podczas śnieżycy po parku i w ataku szału zamordował osobę, zupełnie mu nieznaną.

Potem jednak nastąpiło kolejne zabójstwo, tym samym - czy takim samym, bo wówczas nikt tego nie wiedział na pewno - sztyletem. I jeszcze jedno, znowu w nocy, w pustym przejściu podziemnym. Znowu sztylet. Żadnych powiązań między trzema ofiarami. Żadnych motywów.

Sędzia zapalił fajkę, wstał, podszedł do okna.

Wychodziło na podwórze, zamknięte murami; przy samochodach kręcili się ludzie, kogoś wyprowadzano z „budy”. Siąpił drobny deszcz.

Jak dotrzeć do wnętrza tego człowieka? - myślał, przechadzając się po pokoju. - Jakimi słowami, pytaniami, sposobem prowadzenia rozprawy zmusić go do wyjawienia prawdy? Przecież ta prawda w nim tkwi, przecież on sam doskonale wie, dlaczego zabijał. Z premedytacją, okrutnie. DLACZEGO?

Usiadł przy biurku, spojrzął na zegarek; jeszcze dwadzieścia minut do rozpoczęcia rozprawy. Oskarżać będzie prokurator Łabędzki; stary lis, świetny prawnik i - jak Przeclawski wiedział od lat - nieubłagany, zwłaszcza wobec morderców. Grywali od czasu do czasu w brydża i spotykali się na zebraniach związku prawników. Łabędzki systematycznie chodził na koncerty muzyki dawnej w Filharmonii; współczesnej nie cierpiał, twierdząc, że rozstraja mu nerwy i ogłusza. Sędzia przyznawał mu rację, ale kiedy był sam w domu, zakradał się do pokoju syna i nastawiał płyty z muzyką rockową, która go bawiła.

Jeszcze szesnaście minut. Kto go broni? - zastanowił się, Aha, Węgrzyniak. Prokurator będzie miał dobrego przeciwnika. Węgrzyniak znany był z tego, że nie przegrywał procesów; tak mu się udawało czy takie brał sprawy - nie wiadome. Dlatego sędzia zdziwił się, kiedy mu powiedziano, że mecenas podjął się obrony trzykrotnego mordercy. Takiego mordercy!

Chyba będzie kwestionował orzeczenie psychiatrów - myślał dalej - i domagał się ponownego badania przez inny zespół lekarzy. Potem może wystąpić o zastosowanie artykułu dwadzieścia pięć paragraf pierwszy: „Nie popełnia przestępstwa, kto z powodu niedorozwoju umysłowego, choroby psychicznej...” - i tak dalej. Oczywiście, Łabędzki wytoczy najcięższe działło, sypną się argumenty nie do zbiccia. Rozgrywka między tymi dwoma może być pasjonująca - prawie ucieszył się i natychmiast zreflektował: to sąd, nie partia szachów.

Dziesięć minut. Wyjął z szafy termos, nalał sobie kawy; lubił mocną, w domu parzoną. Popatrzał na nie otwarte akta i znowu wrócił myślami do przestępcy. Pożałował nagle, że nie przesłuchiwał go jako oficer milicji lub prokurator. Może wycisnąłby z niego cokolwiek o motywach zbrodni. Może trzeba było przemówić do serca... bo chyba je ma? Gdzie tam, do serca! Zabijał z premedytacją, sztyletem, okrutnie i na zimno. A jeżeli psychiatrzy się mylą i to naprawdę szaleniec? Wtedy szpital psychoneurologiczny albo zamknięcie w zakładzie, na długo, bardzo długo. Może na zawsze. Ile on ma lat? Otworzył akta, spojrzął na dokument, chociaż pamiętał, ale chciał się upewnić. Czterdzieści trzy kończy w czerwcu. Piękny wiek dojrzałego mężczyzny.

Pięć minut. Wstał, zabrał teczkę z aktami i wyszedł z pokoju.

Mecenas Węgrzyniak nałożył togę z zielonymi wyłogami, przejrzał się w lusterku i mrugnął porozumiewawczo. Z tamtej strony patrzyła na niego twarz czerstwa, pełna energii i - co tu ukrywać? - zadowolona z siebie. Szpakowata czupryna trzymała się dzielnie mimo pięćdziesiątki przekroczonej... no, mniejsza z tym. Niedawno. Krótka przycięty wąs, mocno zarysowane brwi i lekko wysunięty podbródek, podobno znamionujący stanowczość.

Z pewnym zatroskaniem klepnął się po wystającym brzuchu. Pod togą właściwie nie było go widać, ale mecenas wiedział, że tyje. I cóż na to poradzić, że lubił jeść? Człowiek najedzony, to człowiek zadowolony - powtarzał w domu~ kiedy rodzina zgodnie namawiała go do diety odchudzającej. - Samą marchewką przeżyje królik, ale nie ja.

Wziął akta pod pachę i poszedł na salę. Zawsze wchodził przed prokuratorem, nie mówiąc już o sędzie. Chciał rozejrzeć się po publiczności, ocenić ją tak na oko, wyszukać wzrokiem znajomych. Z niechęcią myślał o swoim kliencie. Do tej pory zawsze udawało mu się nawiązać z oskarżonymi kontakt, zyskać ich zaufanie i wysłuchać zwierzeń. A ten - nie. To już nie zwykły upór - myślał, stojąc w ławie obrońców, bo chciał, żeby go widziano, a wzrostu mu natura poskaپیła. - To po prostu karygodna głupota. Ja się staram, robię co mogę, a on jak osioł zaparł się w miejscu i ani kroku. Milczy.

Sala była już pełna, publiczność z zaciekawieniem obserwowała mecenasa, snując różne przypuszczenia co do sposobu obrony.

- Oj, jaki śliczny! - pisnęła któraś z kobiet, przyglądając mu się z upodobaniem. - Taki okrągłutki!

Nie usłyszał tego na szczęście, bo siedziała w samym końcu.

Prokurator Łabędzki wypalił ostatniego papierosa przed wejściem na salę rozpraw. Nie przywiązywał specjalnej wagi do swego wyglądu, ale wiedział, że sprawia dodatnie wrażenie. Wysoki, szczupły, miał twarz dużą, męską, z wydatnym nosem, lekką łysinę od czoła i ciemne, niepokojące oczy, które w nieoczekiwanych momentach rozpalały się zimnym, ostrym blaskiem. Recydywiści bali się go, oszustki i prostytutki - co młodsze, ładniejsze - daremnie próbowały usidlić go kobiecym wdziękiem. Łabędzki był nieubłagany rzecznikiem prawa, zawartego w kodeksach. Raz tylko w ciągu kilkunastoletniej pracy prokuratorskiej zdarzyło się, że nagle w trakcie rozprawy odstąpił od oskarżenia. I nie zrobił tego w stosunku do pięknej kobiety ani też osoby wpływowej, zamożnej - na odwrót, przed sądem stanęła przestępczyni z samego dna nędzy, zmaltrretowana przez bliskich, kłębek zszarpanych nerwów i sił fizycznych.

Ale to było raz. Dzisiaj Łabędzki gotów był stoczyć walkę z całym światem, aby zabójca nie uszedł karze. W przeciwieństwie do sędziego nie martwił się milczeniem oskarżonego i brakiem motywów zbrodni. Nic jej nie usprawiedliwia, fakt pozostaje faktem i żadna przyczyna go nie podważy. Wiedział, że zażąda najwyższego wymiaru kary, a jeżeli sąd go nie wymierzy, będzie apelował. Do mowy oskarżycielskiej wpisał sobie fragment zdania z książki Simonowa: „Nikt nie rodzi się żołnierzem”: „...zrozumieć ich i żałować nawet po śmierci nie sposób, ponieważ za życia nikogo nie rozumieli i nie żalowali”. Dla takich ludzi nie ma litości, jeżeli w ogóle słowo to mieści się w jakimkolwiek kodeksie.

Był zadowolony, że na ławie obrońców zasiądzie mecenas Węgrzyniak. Podobnie jak Przeclawski zdziwił się nieco, iż taki wytrawny adwokat podjął się sprawy nie do obrony. Mogli przecież wyznaczyć kogoś z urzędu. Zabójca wprawdzie zgodził się na Węgrzyniaka, ale wyglądało na to, że właściwie wszystko jest mu obojętne...

Tak. Ta milcząca obojętność zastanawiała prokuratora i trochę psuła mu szyki. Przestępca zrezygnowany, ze zwieszoną głową, jakby gotów natychmiast stanąć pod szubienicą - w pewnym stopniu wiąże ręce. Atut dla obrońcy, który z pewnością nie omieszka tego wykorzystać.

Łabędzki spojrzał na jeden z protokołów przesłuchań. Przebiegł oczami kilka zdań i natrafił na powtarzające się kilkakrotnie słowo: „Adámas”. Niepokonany. Tak on myślał, za takiego się uważał. A jeżeli właśnie to jest przyczyną upartego, zrezygnowanego milczenia? Bo teraz powinien nazwać siebie: pokonany, z czym tak mu trudno się pogodzić. Przegrał swoją wielką grę. Potworną, zbrodniczą grę o życie.

Drzwi uchyliły się, zajrzała jedna z sekretarek.

- Panie prokuratorze, już czas - przypomniała delikatnym szeptem.

Od paru lat kochała tego groźnego człowieka, ale on nie zwracał na nią uwagi. Mimo to wciąż miała nadzieje.

Dwóch milicjantów z paskami pod brodą wprowadziło na salę Henryka Jaszewskiego i zasiadło po obu jego bokach, w ławie między oknami. Morderca był starannie ogolony, ubrany w szary odprasowany garnitur, koszulę w kratkę i ciemny krawat. Szedł, a później siedział z głową lekko pochyloną, nie patrzył na nikogo i, zdawało się, że nie słucha szmeru głosów na sali ani nawet tego, co szeptał mu do ucha zniecierpliwiony obrońca.

Prokurator zajął swoje miejsce po prawej stronie stołu sędziowskiego, na którym - dziwnie samotnie, jeszcze bez kodeksu i akt - leżał cienki, ostry sztylet. Dowód rzeczowy. Człowiek z wyobraźnią mógłby dostrzec na nim ślady krwi. Dziennikarze w ławie prasowej zaszeptali, patrząc na to, co określa się jako narzędzie zbrodni.

- Makabra! - wstrząsnął się jeden z reporterów.

- Umyty - mruknął pogardliwie stary wyga dziennikarski, jeden z najstarszych sprawozdawców sądowych. - Nie przesadzaj.

Major Szczęsny stał jeszcze w korytarzu, rozmawiał z Michałem Zawilskim.

- Nie mogliśmy jej tego wyperswadować - mówił Michał, patrząc na otwarte drzwi do sali. - W ogóle nie chciała słuchać.

- Przecież pańska matka nie jest świadkiem, tylko pan - odrzekł Szczęsny. - Proces ją wykończy nerwowo.

- Powiedziała, że wytrzyma. Nie rozumiem jej i boję się o nią. Tłumaczyłem ja, potem Jacek, w końcu Jadwiga z Mariolką. Ale matka jest niezwykle uparta, jak sobie coś postanowi, żadna siła jej od tego nie odciągnie. Przyznam się panu, że nawet w duchu modliłem się, żeby na te dni zachorowała. Niegroźnie, rzecz jasna, ot, jakaś niewielka grypa. No, ale przyjechała ze mną i siedzi teraz na sali.

- Sama?

- Nie, jest tam Jacek. Ja muszę czekać na wezwanie jako świadek. Szczerze mówiąc, nie wiem, czego.

- To będzie raczej... - Major urwał, bo woźny ogłosił:

- Proszę wstać, sąd idzie!

Szczęsny wśliznął się na salę i usiadł z boku, obok Bohdana. Miejsca za stołem sędziowskim zajęli, prócz Przeclawskiego, który przewodniczył, dwaj inni sędziowie.

Obrońca był jeden, Węgrzyniak uznał, że pomoc mu niepotrzebna. Zresztą kolega, który najczęściej z nim pracował, wyjechał do Wrocławia.

- Otwieram rozprawę numer... - zaczął Przeclawski., Potoczyły się słowa proceduralne, sala zastygła w uważnym milczeniu. Przewodniczący sprawdził obecność stron i oskarżonego, po czym oddał głos prokuratorowi. Łabędzki podniósł się, odchrząknął, obrzucił salę błyskawicznym spojrzeniem, sięgnął do rozłożonych przed nim dokumentów i rozpoczął czytanie aktu oskarżenia.

Szczęśny nie słuchał; znał to wszystko, prowadził przecież śledztwo i ujął przestępcę. Patrzył na „Adámasa”. Jakże trafnie powiedział wtedy stary złotnik: „Niech pan nie szuka mordercy wśród jubilerów i kolekcjonerów diamentów. Ten podpis to kamuflaż”. Obejrzał się, na którejś ławce odnalazł wzrokiem jubilera i uśmiechnął się do niego przelotnie. Wiedział, że stary przyjdzie na proces. Jego kolega po fachu, ten, który bezwiednie podsunął Jaszewskiemu pseudonim, siedział teraz na korytarzu, gdyż otrzymał wezwanie na świadka w rozprawie. Wprawdzie miał przyjść dopiero za kilka dni, ale zaciekała go nagle atmosfera sądów, której nie znał. Była to w każdym razie jakaś rozrywka w monotonii życia starego człowieka. Warsztat zamknął, wywiesił kartkę „Z powodu wyjazdu”...

Wezwanie otrzymał również kelner z restauracji na dworcu Centralnym, pani Bajerowa, leśniczy z lasów północnej Polski, kolejarz ze stacyjki Mirowice, doktor Henryk Pochylski, Edmund Świdzki, Jan Balcerzak z synem Ryśkiem, „Atonia” i „Atrofia” i jeszcze kilkanaście osób, zarówno z Przedsiębiorstwa Badawczo-Rozwojowego numer czternaście, jak i różnych innych miejsc. Do akt dołączono także zeznanie Henryka Tomasza Collinsa, przetłumaczone na polski.

Niespodziewanie - po ukazaniu się listu gończego - zgłosił się do prokuratora właściciel dwóch warsztatów i jednej pralni chemicznej, Wacław Stolarski. Roztrzęsiony i pełen strachu opowiedział o znajomości z rzekomym dyrektorem firmy polonijnej Mirosławem Nowackim, którego zaprosił do swego domu na Sadybie. Prokurator wysłuchał całego opowiadania, a potem rzekł tak nawiasem, że pan Stolarski powinien być szczęśliwy, bo prawdopodobnie uniknął śmierci. Biegły prawnik skojarzył sobie bowiem od razu tę scenę z trzecim listem „Adámasa”, w którym morderca przyznawał się do porażki.

- Uratował pana bokser, siostrzeniec - dodał z zadowoleniem, bo chętnie chodził na mecze.

- A mówiłem, że to gangster! - rzekł potem z triumfem młody sportowiec. - On na pewno coś knuł.

- Wydaje się, że masz rację - przyznał wuj.

Był jednocześnie zgnębiony i szczęśliwy; nie zabito go, ale w dalszym ciągu miał kłopoty z częściami elektronicznymi dla swoich warsztatów.

Stolarski również otrzymał wezwanie na świadka, chociaż oskarżyciel publiczny nie obiecywał sobie wiele po jego zeznaniu. Jaszewski może przecież wyprzeć się jakichkolwiek złych zamiarów wobec człowieka, z którego - ot, po prostu, zażartował z tą polonijną firmą i dyrektorowaniem.

Pani Bajerowa siedziała samotnie na końcu korytarza, przeżywając na przemian grozę i głęboki żal. Odkąd powiedzieli jej, że ten sympatyczny, taki porządny sublokator, za którego chciała się wydać, jest trzykrotnym mordercą - świat się dla niej zawalił. Lubiła go przecież, szanowała, prała bieliznę i podawała herbatę do śniadania. W myślach szła z nim po schodach w Pałacu Ślubów-, w tej modrej jedwabnej sukni z koronkowym kołnierzem i w czarnych czółenkach, a on miał na sobie nowe ciemne ubranie, białą koszulę i jakiś gustowny krawat, najlepiej w prążki.

Łzy znów napłynęły jej do oczu. Potem jednak przypomniała sobie, że przecież mogła zostać ogłuszona, z prawą komorą przebitą sztyletem; ta myśl za każdym razem wywoływała u niej: zimne poty i bicie - żywego, na szczęście - serca.

Po odczytaniu aktu oskarżenia sędzia zarządził półgodzinną przerwę. Szczęsny i Połowski zeszli do bufetu, ustawili się w kolejce do kasy.

- Popatrz, on już przyjechał - kapitan pokazał oczami mężczyznę w kolejarskim płaszczu, który pił herbatę przy stoliku. - A ma wezwanie na pojutrze.

- Może chce coś załatwić przy okazji.

Stanęli w drugiej kolejce, wzięli kawę i kanapki.

- Wiesz, gdyby nie twój nagły refleks, to być może długo jeszcze szukalibyśmy „Adámasa” - powiedział Bohdan, patrząc na kolejarza.

Szczęsny wzruszył ramionami.

- Tam, koło tych lasów toruńskich, byłem w takim usposobieniu, że wszystko, nawet najmniejszy drobiazg, wydawało mi się podejrzane - odparł. - Patrzę z samochodu, widzę, że lezie jakiś facet tylko w ubraniu i bez czapki, a dzień był chłodny, deszczowy, idzie i rozgląda się, czegoś szuka. To mnie zastanowiło. Jak nam powiedział, że ktoś zdarł z niego kolejarski płaszcz i czapkę, nie pomyślałem o zwykłym złodzieju, ten by raczej zabrał portfel, ale o Jaszewskim. Że chce zmienić wygląd, ukryć się. Pomógł nam zresztą porucznik Wesołowski, bezbłędnie wytypował właśnie tę leśniczówkę. Nie przyszło mi tylko do głowy, że „Adámas”

złapie się w potrzask kłusownika. Gdyby nie skaleczona noga, pewnie byśmy go w leśniczówce nie zastali. No, ale wtedy już cały teren był otoczony, nie wymknąłby się.

- Jak sądzisz, czy przerwie na rozprawie to swoje milczenie?

- Nie wiem. Chciałbym go naprawdę zrozumieć, ale nie bardzo mi się udaje. Chodźmy, pół godziny minęło.

Sędzia Przeclawski postukał lekko w stół, aby uciszyć salę, która gadała namiętnie, po czym odwrócił twarz w lewo i rzekł:

- Oskarżony, proszę wstać.

Jaszewski podniósł się ociężale. Patrzył gdzieś w bok, chwilami nerwowo zaciskał i rozwierał palce.

- Co oskarżony chce wyjaśnić sądowi? Czy przyznaje się do winy?

Wbrew swoim zwyczajom sędzia zadał od razu dwa pytania i skrzywił się, niezadowolony. Tak mu się jakoś powiedziało. Na sali panowało głębokie milczenie. Morderca zwiesił głowę. Nie odpowiedział. Więc sędzia powtórzył, tym razem powoli i głośniejszym głosem:

- Czy oskarżony przyznaje się do winy?

- Winy? - Nagle w kierunku sędziowskiego stołu strzeliło ostre, złe spojrzenie. - Ja miałem rację - odrzekł, kładąc akcent na każde słowo. - Ja.

- Czy mamy z tego wnosić, że oskarżony nie przyznaje się do zarzucanych mu czynów, zawartych w akcie oskarżenia?

- Zrobiłem to. Ale wymierzyłem tylko sprawiedliwość.

Sala zaszemrała. Mecenas Węgrzyniak zaklął w duchu i postanowił zażądać ponownego zbadania klienta przez inny zespół psychiatrów. Tylko artykuł dwadzieścia pięć może uratować Jaszewskiemu głowę.

- Jak to oskarżony rozumie? Proszę wyjaśnić sądowi.

- Nie potrzeba.

- Owszem, trzeba. Przypominam oskarżonemu, że stoi przed sądem.

Szczęśny wciąż patrzył na Jaszewskiego i w myślach przebiegał opis każdej z trzech zbrodni. Sądził, że Bohdan miał rację, kiedy zacytował niedawno fragment o zazdrości i zawiści, zanotowany podczas studiów prawniczych. Jak to on wtedy powiedział? „Zazdrość często prowadzi do zawiści, a wówczas opanowują człowieka najniższe instynkty i prowadzą do czynów przestępczych”. Czy prokurator... o, właśnie, na to czekałem - pomyślał z zadowoleniem.

- Chciałbym, aby oskarżony ustosunkował się do paru zdań, które teraz odczytam - rzekł Łabędzki. - Cytuję z książki Marii Szyszkowskiej „Twórcze niepokoje codzienności”, strona dziewięćdziesiąta siódma. Autorka pisze tak: „Zawiść... wiąże się z żądzą niszczenia innych. Ma zostać im wymierzona kara za nasz niedosyt powodzenia lub za to, że stoją mu na drodze”. I dalej: „Zawiść uruchamia nieraz czyny o niskich działaniach”.

Opuścił rękę, w której trzymał książkę, i spojrzął na Jaszewskiego.

- Proszę, niech oskarżony odpowie - zachęcił sędzia. Był przekonany, że Łabędzki trafił w sedno.

- Wymierzyłem sprawiedliwość - powtórzył „Adámas” z uporem. - Obojętnie, z jakich pobudek.

- Więc, według oskarżonego, sprawiedliwością było pozbawienie życia trojga niewinnych ludzi?

Twarz Jaszewskiego drgnęła, poruszył wargami, jakby coś szeptał do siebie.

- W czym na przykład zawiniła ta młoda kobieta, Magdalena Lenowicz?

Nagle zaczął mówić. Szybko, połykając wyrazy, wyraźnie wzburzony. Chwilami trudno go było zrozumieć.

- Pogarda... potraktowała mnie jak... poniżyła... nie mogłem...

- W śledztwie - podjął sędzia, kiedy Jaszewski umilkł - oskarżony nie wyjaśnił, w jaki sposób wywołał z mieszkania Magdaleny Lenowicz i spowodował, że znalazła się w podziemnym przejściu. Może teraz powie?

- To nie było trudne - wzgardliwy uśmiech. - Zadzwoiłem z automatu jako Wolski. Nie poznała głosu, mówiłem przez chusteczkę. Prosiłem, żeby przyjechała na dworzec Gdański, bo zostałem okradziony i nie mam na taksówkę. Potem czekałem na nią w tym przejściu, musiała iść tamtędy. W tunelu było dość ciemno. Uderzyłem. Upadła. Pochyliłem się, rozpiąłem futro. Wbiłem sztylet. Potem odszedłem.

- Ten sztylet? - Sędzia pokazał na stół.

- Tak. Miałem go zawsze przy sobie.

- A więc motywem zabójstwa był, jak można się domyślić, brak odwzajemnienia uczuć oskarżonego ze strony pani Lenowicz. Znaliście się przecież zaledwie kilkanaście godzin!

W następnych dniach procesu zeznawali świadkowie. Przed sądem przesuwali się kolejno ludzie w jakiś sposób związani albo z ofiarami „Adámasa”, albo z nim samym.

Kierownictwo i pracownicy Przedsiębiorstwa Badawczo-Rozwojowego numer czternaście byli wstrząśnięci, zdumieni, rzucali ukradkowe spojrzenia na ławę oskarżonych i powtarzali zgodnie, iż „nigdy nie przypuszczali, że coś takiego!” Dyrektor wystawił zabójcy dobrą opinię „służbową”, jak podkreślił, wspominając jego niewątpliwe zdolności techniczne, uzyskany patent, pracowitość. Koledzy przyznawali, że nie był lubiany, z nikim się nie zaprzyjaźnił, no, ale to jeszcze nie świadczy o...

Poruszenie na sali wywołała pani Bajerowa, która bez ogródek oświadczyła, iż myślała o swoim sublokatorze jako o przyszłym mężu. Chwaliła jego spokojny tryb życia, regularne uiszczanie opłaty, żadnych tam, proszę Wysokiego Sądu, kobiet nie sprowadzał, wódki nie pił, chyba że trochę. W końcu stwierdziła stanowczo, że całe oskarżenie to pomyłka i ona w te morderstwa nie wierzy.

Jaszewski słuchał tego ze spuszczoną głową, nie drgnął nawet. Nie poruszył się również, kiedy rozpoznawał go Rysio Balcerzak, bardzo przejęty swoją rolą, umyty starannie i ostrzyżony na tę okazję, ubrany w granatowy garnitur zamiast, jak zwykle, w dżinsy.

„Atonia” i „Atrofia”, obie tym razem przedstawione z właściwych imion i nazwisk oraz daty urodzenia, czego nie mogły przeboleć, zeznawały gorliwie, gdyż rola świadków - a nie oskarżonych - o wiele bardziej im odpowiadała. Zapytane podchwytliwie przez Węgrzyniaka o profesję zgodnie podały „przy mężu” i „gospodyni domowa”, wywołując zduszony śmiech na sali.

Wbrew przypuszczeniom samego prokuratora Wacław Stolarski okazał się ważnym świadkiem. Stało się tak za sprawą samego „Adámasa”, który z niewiadomej przyczyny nagle opowiedział o wszystkim, co zdarzyło się w mieszkaniu na Sadybie. Okazało się, że zarówno rzekomo podziwiany świecznik, jak i ukryty za plecami pogrzebacz miały służyć za wstępne narzędzie zbrodni - do ogłuszenia ofiary. Słyszając to, Stolarski zasłabł i trzeba go było wynieść z sali, a sędzia zarządził przerwę.

Głębokie milczenie panowało, kiedy zeznawał Michał Zawilski. Szczupły, jasnowłosy młody człowiek mówił cicho, z widocznym trudem, pamiętając, że gdzieś na sali siedzi jego matka. Przeclawski starał się oszczędzić uczucia, jakie niewątpliwie ogarniały syna ofiary, stojącego o dwa kroki od zbrodniarza. Skrócił więc czas jego zeznań do kilku niezbędnych minut.

Marta Bielińska, ubrana bardzo skromnie, ciemno, rozplakała się, kiedy przyszło do opisywania ostatniego dnia, w którym widziała swego męża żywego. Zajmując jednak miejsce wśród publiczności, zerknęła raz i drugi na doktora Pochylskiego, a on odwzajemnił

jej spojrzenie z wyraźną życzliwością. Szczęsny dojrzał to i pomyślał, że wdowieństwo pani Marty nie potrwa długo. Cóż, stara miłość nie rdzewieje.

Sala ożywiła się, kiedy przed sądem pojawił się leśniczy w zielonym służbowym uniformie z dwoma baretkami odznaczeń. Opowiedział, jak to zamiast lisa czy zająca w sidła złapał się morderca, dodając od siebie, iż był to w jego służbie jedyny pozytywny przypadek kłusownictwa. Opisał, jak - nie wiedząc o niczym - umyli i zabandażowali mu ranę, dali jeść i dopiero kiedy w gazecie zobaczyli zdjęcie wraz z listem gończym...

W trakcie zeznań świadków Łabędzki i Węgrzyniak krzyżowali słowne szpady, zadawali mądre lub chytre pytania, zbijali cudze argumenty i podsuwali własne, a Wysoki Sąd słuchał tego cierpliwie, od czasu do czasu wtrącając właściwe uwagi.

„Adámas” siedział wciąż pochylony, z głową i opuszczoną i wzrokiem utkwionym w plecy swego obrońcy. Nie ułatwiał mu w niczym zadania, choć również nie przeszkadzał. Przeclawski w pewnym momencie zorientował się, że mecenas ostrożnie, lecz coraz wyraźniej prowadzi do „dwudziestki piątki” Kodeksu Karnego. To podkreślił dziwne (nie użył słowa: nienormalne, lecz wisiało ono w powietrzu) zachowanie swego klienta w różnych sytuacjach, to zacytował fragment naukowego dzieła z dziedziny psychopatologii w medycynie, zasypując sędziów takimi określeniami, jak: zespół anankastyczny, podłoże schizofreniczne i tym podobne. Bagatelizując motyw zazdrości, użyty kilkakrotnie przez prokuratora, kładł nacisk na zespół natręctw: „jeżeli tego nie zrobię, przytrafi mi się nieszczęście” - jako powód, może nawet konieczność zabijania.

Łabędzki wysłuchiwał tych bezceństw (jak uważał) na ogół spokojnie; miał przed sobą - i Wysoki Sąd ją miał - opinię lekarzy psychiatrów, którzy z pewnością znali się na takich sprawach lepiej niż adwokat. Dopuszczany do głosu, zbijał po kolei każdy argument obrońcy i tak to szło przez kilka godzin. Wreszcie Wysoki Sąd, może w obawie, iż ta słowna potyczka wyczerpie już teraz przemówienia stron, które przecież miały nastąpić dopiero pod koniec procesu, postanowił zarządzić przerwę do poniedziałku. Przeclawski już chciał wstać, kiedy niespodziewanie na sali podniosła się wysoka, siwowłosa kobieta w czerni i wolno podeszła do barierki dla świadków. Sędzia poznał Elżbietę Zawilską, nie rozumiał, dlaczego to zrobiła, ale opanowawszy niepokój zapytał cicho:

- Czy chciała pani coś dodać do zeznań syna?

- Nie, Wysoki Sądzie - odparła spokojnym głosem. - Chciałam prosić, aby Wysoki Sąd pozwolił mi zadać oskarżonemu jedno pytanie.

Na sali zapanowała taka cisza, że słychać było zza okien daleki szum autobusów. Przeclawski zawahał się, spojrzął na obu pozostałych sędziów, coś im szepnął, a potem odparł:

- Sąd zgadza się, chociaż... No, proszę. Oskarżony niech wstanie.

Jaszewski podniósł się, wbił wzrok w ziemię. Doskonale wiedział, kim jest ta pani, znał ją z widzenia i z obserwacji życia Zawilskich, kiedy przygotowywał się dopiero do zabójstwa.

- Chcę zapytać oskarżonego - mówiła Elżbieta, odwróciwszy głowę w stronę ławy, gdzie stał „Adamas” - w czym zawinił mój mąż, Antoni Zawilski, że zabrał mu życie?

Przez dwie minuty na sali trwało straszne milczenie. Węgrzyniak westchnął, ostentacyjnie zamknął teczkę z aktami i swoją mową obrończą, przygotowaną na następne dni. Łabędzki nieruchomo wpatrywał się w oskarżonego, czekając na odpowiedź, chociaż wątpił, że ją usłyszy.

Jaszewski uniósł głowę, spojrzął nie na Zawilską, lecz na sędziów, jakby jedynie dla nich przeznaczał to, co powie.

- Był szczęśliwy - rzekł z nienawiścią w głosie. - Ja nigdy.